KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/170 1961



• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. MIEROSZEWSKI : **ONI I MY**

Zb. JORDAN : **REWIZJONIZM W POLSCE**

E. KARPIŃSKA : **ZIELONOSĆ I PAJĘCZYNA**

J. ŁOBODOWSKI — LAUREAT NAGRODY LITERACKIEJ "KULTURY" ZA r. 1961

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski: *Oni i my* 3
Zbigniew Jordan: *Rewizjonizm polski* (I) 15

WIERSZE

Wacław Iwaniuk: *Widziałem obrazy Van Gogha* .. 30
Danuta Irena Bieńkowska: *Powroty* 31
Andrzej Busza: *Operacja* 32
" " *Jak można myśleć* 33
" " *Zabawa* 34
" " *Argument* 34
" " *Bunt* 35

ARCHIWUM POLITYCZNE

Borys Lewickyj: *Drugi pogrzeb Stalina* 37
Londyńczyk: *Kronika angielska* 44

KRAJ

Ewa Karpińska: *Zieloność i pajęczyna* 50
Benedykt Heydenkorn: *Zmiany struktury ludnościowej w Polsce* (dok.) 72

SPRAWY I TROSKI

Wincenty Cygan: *Uchodźcy* 79

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Marian Romeyko: *Jeszcze o pierwszych dniach Rzeczpospolitej* 97
Aleksander Kawałkowski: *Cenzura i historia* 110
Adam Ciołkosz: *W 20-tą rocznicę zamordowania Henryka Erlicha i Wiktora Altera* 116

KRONIKA KULTURALNA

P.H.: *Nagroda Literacka „Kultury" za rok* 1961 119
K.A. Jeleński: *Polski sezon jesienny w Paryżu* .. 121
Henryk Schoenfeld: *Zawiłości i uproszczenia* 128

KSIĄŻKI

Janina Miedzińska: *Polskie prawo pracy i demokracja* 136
Tymon Terlecki: *Rosja w Europie* 145
Tymon Terlecki: *Szekspir odczytany na nowo* 150
— *Nadesłane nowości wydawnicze* .. 154
— *Komunikat* 155



A. Bregman, M. Epstein, E. Gieratowa, Zb. Grabowski, G. Herling-Grudziński, J. Krzeczunowicz, St. Maczek, RI-GO: *Listy do Redakcji* 156

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Grudzień – Décembre 1961

INSTYTUT



LITERACKI

REDAKCJA „KULTURY" SKŁADA SWOIM PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE.

DALSZE WPŁATY NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont., Kanada	49,00 NF
S. J. New Jork	49,00 ,,
Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne im. Sylwestra Gruszki w Sydney, Australia	138,00 ,,
Benedykt Heydenkorn, Toronto, Ont., Kanada	28,00 ,,
Z. Koziański, Paryż	50,00 ,,
Zbigniew Jordan, Londyn	50,00 ,,
Kazimierz Wierzyński, Cambridge, Mass., USA	49,00 ,,
Julia Barcińska, Rio de Janeiro, Brazylia	15,00 ,,
W. Liebertowa, Montreal, Quebec	28,50 ,,
Krystyna Krakowska, Montreal, Quebec	14,50 ,,

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass	14,50 ,,
B. Wądołkowski, Lyndhurst, N.J.	28,50 ,,
W. Hauswald, Montevideo, Urugway	28,50 ,,
A. Anyż, San Luiz Potosi, Meksyk, po raz szósty	23,00 ,,
Jadwiga Świrska, Sao Paulo, Brazylia	15,00 ,,

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Oni i my

Cat-Mackiewicz w ,,Kierunkach'' wyraził optymistyczny choć niestety nieprawdziwy pogląd, że na emigracji zwyciężyła linia polityczna reprezentowana przez ,,Kulturę''. Skoro odrzucacie koncepcję ,,państwa na obczyźnie'' — dlaczego nie wracacie do kraju? — zapytuje Cat z niewinną miną. ,,Byłby bal'' — gdybyśmy wrócili — w to nie wątpię.

Charakterystyczną również była wypowiedź Tadeusza Myślika, który na łamach ,,Tygodnika Powszechnego'' wystąpił z programowym artykułem pt. ,,Propozycje dla emigracji''.

Zacznijmy od Cata i od podstawowego pytania: dlaczego nie wracamy?

Koncepcja ,,państwa na emigracji'' leży w gruzach, o ziemie nad Odrą i Nysą można walczyć w kraju, Polska — jak po raz setny przypomina nam to ,,Tygodnik Powszechny'' — leży nad Wisłą — jaki jest więc cel tułać się wśród obcych?

Cel jest tylko jeden, ale bardzo istotny.

Ani Cat-Mackiewicz ani Stefan Kisielewski podobnie jak 99 procent społeczeństwa polskiego nie są komunistami. W Polsce Ludowej w analogii do Związku Sowieckiego i innych państw obozu wschodniego — nie wszyscy są członkami partii. Innymi słowy w Polsce Ludowej wolno nie być komunistą. Ale nie wolno być antykomunistą.

Stefan Kisielewski z całą pewnością nie jest komunistą, ale również z całą pewnością nie jest antykomunistą.

Czy trzeba być antykomunistą — czy nie wystarczy po prostu nie być komunistą?

To są podstawowe zagadnienia nad którymi warto głębiej się zastanowić.

W Anglii nie ma powodu być antykonserwatystą — wystarczy nie być konserwatystą. Walka, której celem jest poprzez zwycięstwo wyborcze usunięcie konserwatystów od wła-

dzy — stanowi działalność polityczną całkowicie legalną. Gdyby konserwatyści rozwiązali parlament, przywódców opozycji osadzili w więzieniu i w całej Anglii zaprowadzili rządy dyktatorskie — wówczas ,,nie być konserwatystą'' byłoby za mało. Każdy demokrata musiałby być w takiej sytuacji antykonserwatystą, zdecydowanym walczyć wszystkimi legalnymi i nielegalnymi metodami o przywrócenie ustroju demokratycznego w Anglii.

Gdyby komuniści byli jedną z kilku partii wyłonionych poprzez demokratycznie przeprowadzone wybory — wówczas nikt z nas nie musiałby być antykomunistą. Wystarczyłoby nie być komunistą i zwalczać komunizm legalnymi metodami.

Antykomunizm jako zjawisko polityczno-socjalne jest niewątpliwie obcym ciałem w demokratycznej i tolerancyjnej kulturze Zachodu. Jest bowiem z definicji postawą nietolerancyjną. Liberalnie i demokratycznie myślący człowiek może zaakceptować antykomunizm tylko jako czasowy ,,stan wyjątkowy''. Ale niestety nie ma przed nami innego wyboru. Nie możemy być tolerancyjni w stosunku do tych, którzy programowo likwidują tolerancję — nie możemy być liberalni w stosunku do tych, którzy programowo likwidują wszelki liberalizm — nie możemy walczyć metodami demokratycznymi z tymi, którzy programowo likwidują demokrację.

Polak wracający do kraju może pozostać nie-komunistą, ale musi przestać być antykomunistą. Ponieważ komuniści identyfikują interesy partii z interesami państwa — przeto antykomunizm jest uznawany za działalność antypaństwową karaną więzieniem.

Wszystkie partie totalitarne, sprawujące w danym okresie władzę, głoszą nieodmiennie, że naczelnym interesem narodowym — któremu wszystko inne musi być podporządkowane jest utrwalenie dyktatury. Nie ma większej zbrodni w obliczu Boga i narodu jak domaganie się likwidacji dyktatury tych, którzy są przy sterze (i przy żłobie).

Obywatel, który nie chce popaść w kolizję z prawem obowiązującym w Polsce Ludowej musi zaakceptować powyższy punkt widzenia.

Jedną z zasadniczych przyczyn, które spowodowały, że my i nam podobni emigranci nie wróciliśmy do kraju jest nie tyle brak opozycji, ale jej całkowita impotencja. Gdyby w Polsce istniała opozycja, choćby z najskromniejszym, ale konkretnym programem politycznym — gdyby wywierała wpływ nawet za tę cenę, że od czasu do czasu jakiś opozycyjny działacz lądowałby nie w Radzie Państwa, ale w więzieniu — wówczas obowiązkiem naszym byłoby wrócić. I nie brakłoby chętnych do powrotu.

Mamy w tej chwili *trzy orientacje polityczne,* które dzielą Polaków.

Przedstawiciele pierwszej orientacji głoszą, że wszystko należy podporządkować postulatom ideologicznym tzn. antykomu

nizmowi. Wszystko jest lepsze od komunizmu nawet semi-protektorat niemiecki.

Przedstawiciele drugiej orientacji głoszą również, że wszystko należy podporządkować postulatom ideologicznym z tym, że przez ideologię rozumieją komunizm. Wszystko jest lepsze od upadku „dyktatury nad proletariatem" — nawet satelictwo i zależność.

Wreszcie przychodzimy do trzeciej orientacji politycznej. Reprezentanci tej orientacji głoszą, że wszystko należy podporządkować postulatom geopolityki. Związek Sowiecki jest naszym najbliższym i najpotężniejszym sąsiadem. Bezpieczeństwo na zewnątrz — rozwój gospodarczy — obrona granicy na Odrze i Nysie — wszystko to stanowi treść sojuszu polsko-sowieckiego. Korzystać z dobrodziejstw tego sojuszu możemy tylko za cenę konkretnych przemian ustrojowych. Przedstawiciele omawianej orientacji mimo, że nie są ani komunistami ani nawet socjalistami — uważają, że powyższą cenę należy zapłacić. Jest to szkoła nie tyle pozytywizmu co determinizmu geopolitycznego.

Argument geopolityczny jest tak realistyczny i potężny, że można nim *de facto* wszystko usprawiedliwić. Ale nadużywanie tego argumentu prowadzić musi do pogodzenia się z własną narodową „małoletnością". Uporczywe propagowanie małoletności politycznej prowadzi w konsekwencji do rozbrojenia opozycyjnych nastrojów w społeczeństwie. Wiem, że Kisiel (i nie tylko Kisiel) uśmiechnie się w tym miejscu. „Rozbrojenie" dla geopolityków to spłowiały rekwizyt z epoki feudalnej.

Orientacja geopolityczna stawia sobie za cel zdobycie statusu mniejszości dla większości. Ambicje ideologów geopolitycznych dalej nie sięgają. Katolicy i nie-komuniści stanowią znakomitą większość w narodzie polskim i dla nich walczy się o status mniejszości w ramach ustroju, który się całkowicie akceptuje ze względu na racje geopolityczne.

Jeżeli ideolodzy geopolityczni piszą na nasz emigracyjny benefis sentencje: „Polska leży nad Wisłą" — to uważają, że stwierdzenie tego faktu zawiera w sobie oczywistą akceptację Polski Ludowej. Polska leży nad Wisłą i dlatego, że leży nad Wisłą jest Polską Ludową. Jeżeli godzicie się z Wisłą, musicie pogodzić się i z „ludowością" tzn. z komunizmem.

„Kultura" nie podpisuje się pod żadną z trzech powyżej wymienionych orientacji politycznych.

Pierwszy raz w naszej historii mamy do czynienia z orientacjami, które postulatom ideologicznym podporządkowują interesy narodowe. W tej perspektywie nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy ideologicznymi komunistami, a ideologicznymi antykomunistami. Jedni byliby gotowi oprzeć się na bagnetach sowieckich, by bronić swej dyktatury — drudzy byliby gotowi maszerować nawet z Bundeswehrą by zadośćuczynić postulatom swojej ideologii.

Odrzucamy obie powyższe orientacje ponieważ odrzucamy zasadę prymatu jakiejkolwiek ideologii nad interesami narodowymi. Jesteśmy z komunistami wszędzie tam gdzie służą bezspornym polskim interesom i jesteśmy z antykomunistami wszędzie tam, gdzie służą bezspornym polskim interesom.

Gdzie należy wykreślić granicę pomiędzy interesami narodowymi a postulami ideologicznymi?

Zacznijmy naszą analizę od stwierdzenia ogólnego. Żadnymi względami ideologicznymi nie można usprawiedliwić działania na szkodę własnego narodu. To jest zasada podstawowa, która obowiązuje wszystkich Polaków po obu stronach barykady. Polak, który w danej sytuacji, w imię choćby najwznioślej pojętego antykomunizmu — godziłby się na oderwanie od Polski Ziem Zachodnich, w perspektywie polskich kryteriów oceny byłby agentem działającym na szkodę własnego narodu. Tam gdzie kończą się bezsporne polskie polskie interesy zaczyna się działalność agenturalna. Obojętne są w tym wypadku ideologiczne motywy — bo żadnymi motywami ideologicznymi — lewicowymi czy prawicowymi — nie można ani uzasadnić ani usprawiedliwić działania na szkodę własnego narodu.

Różnice przekonań istniały zawsze. I wskutek tego istniały zawsze różne interpretacje interesów narodowych. Inaczej ,,dobro'' Polski wyobrażał sobie Piłsudski, inaczej Witos, a jeszcze inaczej Dmowski. Rewolucyjność totalnych ideologii — jak komunizm czy faszyzm — polega nie tyle na przemianach ustrojowych, ile na odrzuceniu podstawowych kryteriów oceny interesów narodowych.

W ustroju demokratycznym o tym co leży, a co nie leży w interesie państwa i narodu decyduje wola większości. W ustroju totalnym decyduje o wszystkim wola rządzącej mniejszości. Nawet gdyby ustrój demokratyczny nie miał żadnej innej zalety prócz wyżej wymienionej — należałoby walczyć do upadłego o jego restaurację.

Pełnię suwerenności należałoby określić następująco: suwerenny naród w suwerennym państwie. Rosja Sowiecka jest niewątpliwie państwem suwerennym, ale naród rosyjski nie jest w pełni suwerenem w swoim własnym domu.

Interesy narodowe to nie tylko granice, przemysł, i eksport ale również prawo do własnej modły życia. To jest coś więcej niż państwowa niepodległość, bo można być niewolnikiem we własnym niepodległym państwie.

W przeciwieństwie do tradycjonalistów, tak w kraju jak i na emigracji — zdajemy sobie sprawę, że pełna suwerenność państwowa dla małych i średnich państw jest w dzisiejszej epoce nieosiągalna. Uznajemy również wszystkie konsekwencje wypływające z naszej sytuacji geopolitycznej. Pisałem wielokrotnie na tych łamach (oraz w specjalnym numerze rosyjskim ,,Kultury'') — że każdy rząd w Warszawie, najdemokratyczniej wyłoniony, nie mógłby być wrogo nastrojony w stosunku do Rosji.

Każda inna postawa byłaby sprzeczna z najelementarniej pojętym zdrowym rozsądkiem. Leży w naszym bezpośrednim interesie mieć dobre stosunki z najbliższym sąsiadem Polski, tym bardziej, że ów sąsiad jest drugim mocarstwem świata. Za dobre stosunki z tak potężnym sąsiadem warto jest zapłacić wysoką cenę. Ale nie *każdą* cenę.

Ceną za dobre stosunki z Rosją nie może być rezygnacja 30-milionowego narodu z podstawowego prawa do własnej modły życia.

Używam terminu ,,modła życia'' w odróżnieniu od tradycyjnego terminu ,,niepodległość''. Możemy się godzić z ograniczeniami państwowej suwerenności (niepodległości) pod warunkiem, że prawo do własnej modły życia zostanie uszanowane. Gdyby Polska znalazła się w przyszłości w pasie państw zdemilitaryzowanych i zneutralizowanych — oznaczałoby to poważne ograniczenie naszej suwerenności, ale równocześnie zwiększyłoby możliwości dostosowania polskiej sytuacji wewnętrznej do życzeń i przekonań większości społeczeństwa. Finlandia nie jest w pełni suwerennym państwem — nie ma możliwości wyboru sojuszników — jej polityka zagraniczna niemal w całości determinowana jest racjami geopolitycznymi — niemniej Finowie w niepomiernie większym stopniu niż Polacy korzystają z prawa do własnej modły życia.

Niepodlegli i mocarstwowi, z własnymi bombami atomowymi, nie będziemy zapewne nigdy. Nie jest żadną ujmą w dzisiejszym świecie godzić się na ograniczenia suwerenności pod warunkiem, że owe ograniczenia nie są wymuszone siłą i nie negują praw danego narodu do organizowania życia zgodnie z wolą i przekonaniami większości.

Polska Ludowa jest państwem satelickim nie dlatego, że na jej terytorium znajdują się wojska sowieckie i nie dlatego, że należy do Paktu Warszawskiego. Polska Ludowa jest państwem satelickim dlatego, i wyłącznie dlatego, że naród polski został pozbawiony prawa do organizowania własnego życia.

W myśl realizmu politycznego i pod naporem racji geopolitycznych można zrezygnować z jednej trzeciej terytorium państwowego, można uznać konieczność ograniczeń suwerenności, można zrezygnować ze swobody wyboru sojuszników — jednym słowem można zrezygnować ze wszystkiego, ale nie z prawa do organizowania własnego domu i własnego życia. Nie ma racji ani geograficznych ani ideologicznych, ani boskich ani ludzkich, którymi można by wymusić kapitulacje w tych sprawach. Pozbawić historyczny naród elementarnego prawa decydowania o ustroju i systemie rządu można tylko przemocą. To nie geopolityka tylko *przemoc* powoduje, że Polska Ludowa jest państwem satelickim. Jest nonsensem walczyć z geopolityką, ale jest obowiązkiem walczyć z przemocą.

Różnica między Polakami zagranicznymi, którzy w 99,9% są antykomunistami, a niekomunistycznymi ugrupowaniami w

kraju polega na tym, że niekomuniści krajowi akceptują ustrój jako konsekwencję układu geopolitycznego, a my kategorycznie odmawiamy zgody w tej sprawie.

Pozostajemy zagranicą, by tworzyć aktywną opozycję, której w Polsce Ludowej nie ma. Pozostajemy zagranicą, by wydawać niezależne pisma, jak ,,Kulturę'', i książki, które w kraju nie mogłyby się ukazać. Pozostajemy zagranicą, by walczyć o taki układ stosunków w Europie środkowo-wschodniej, który by narodowi polskiemu przywrócił choćby częściowo podstawowe prawo samostanowienia i własnego rządu.

Pozytywistom krajowym, którzy nasz program uważają za mrzonkę, odpowiadamy: pewnych postulatów nie mierzy się realizmem tylko stopniem ich absolutnej niezbędności. O rzeczy korzystne czy pożądane walczy się wówczas, gdy istnieją po temu warunki. O rzeczy niezbędne walczy się w każdych warunkach.

Gdybyśmy mieli podsumować nasze dotychczasowe rozważania to należałoby stwierdzić, że wprowadzamy ścisłe rozróżnienie pomiędzy interesami narodowymi, a postulatami ideologicznymi. Jesteśmy jak najdalsi od przyjęcia poglądu, że należy pogodzić się z komunizmem czy to w imię interesów narodowych, czy to w imię racji geopolitycznej. Tylko tam, gdzie interes narodowy przeważa jesteśmy gotowi — przejściowo — uznać komunizm za mniejsze zło. Napisałem kiedyś na tych łamach, że gdybyśmy mieli możliwość zmiany ustroju za cenę utraty ziem nad Odrą i Nysą — należałoby utrzymać Ziemie Odzyskane nawet, gdyby to oznaczało przedłużenie rządów komunistycznych o dalsze 20 lat.

Stefan Kisielewski w artykule pt. ,,Pan chce naprawić błędy...''. (Tyg. Powszechny nr 43/655) — pisał między innymi:

> ,,Nieraz słyszę pytanie: czy pan jest w końcu za ustrojem czy przeciw ustrojowi? To samo pytanie, w szerszej skali, zadają nam licznie odwiedzający Polskę cudzoziemcy. Zakładają oni, że mnóstwo ludzi jest tutaj ,,przeciwko ustrojowi'', i że gdyby było jakieś powszechne na ten temat głosowanie, w ten negatywny sposób by się wypowiedzieli.
>
> Uważam takie postawienie sprawy za absurdalne. Ludzie twierdzący u nas, że są ,,przeciw ustrojowi'''', są w gruncie rzeczy przeciw jego wadom, usterkom, negatywom. Mało kto z umiejących myśleć politycznie i społecznie jest przeciwko samej globalnej zasadzie''.

To jest niezmiernie charakterystyczna wypowiedź, która w pełni uwypukla zasadniczą różnicę pomiędzy podejściem krajowych nie-komunistów a naszą opinią w tej sprawie.

Jeżeli przez ,,globalną zasadę'' rozumieć socjalizm — jesteśmy za globalną zasadą. Ale właśnie dlatego, że jesteśmy za socjalizmem jesteśmy przeciwko obecnemu ustrojowi Polski Ludowej. Ponieważ w ramach obecnego ustroju narzuconego Pol-

sce nie jest rzeczą możliwą budowanie socjalizmu, tak jak my go rozumiemy.

Nie jest ani naszym zadaniem ani powołaniem wystawianie dla kraju ,,recepty na socjalizm''. Nie podpisujemy się również pod żadnym z licznych programów socjal-demokratycznych głoszonych na Zachodzie. Akceptujemy szereg przemian dokonanych w Polsce, z których wiele uważamy za pozytywne. Jesteśmy przeciwnikami jakiejkolwiek kontr-rewolucji. Jest natomiast naszym głębokim przekonaniem, że socjalizm wyzuty z wolności — choćby nawet mógł pochwalić się poważnymi osiągnięciami produkcyjnymi — socjalizmem nie jest. Jest totalizmem i niczym więcej.

Czy musi tak być? Czy istnieje jakiś funkcjonalny związek pomiędzy Nową Hutą a ,,Nową Kulturą''? Czy na to by Nowa Huta sprawnie produkowała — ,,Nowa Kultura'' musi być nudna, ocenzurowana i nie do czytania? Czy na to by za 50 lat wszyscy mieli samochody, pralki elektryczne i telewizory dziś nauka musi być poddana kontroli partyjnej, literatura dławiona, kościół prześladowany, prasa wyjałowiona?

W naszym przekonaniu przemiany gospodarczo-socjalne w Europie środkowo-wschodniej są trwałe i pozostaną. Reprywatyzacja przemysłu nie jest ani możliwa ani pożądana. Reforma rolna jest faktem nieodwracalnym, który zamknął pewien okres. Polska nie ma wyboru pomiędzy ustrojem komunistycznym i kapitalistycznym. Nie mamy natomiast najmniejszych wątpliwości, że przy sprzyjających warunkach naród polski drogą ewolucji, nada obecnemu totalnemu, udogmatyzowanemu ustrojowi cechy ustroju socjalistycznego. Socjalizm nie musi ani tłumić wolności ani bać się wolności, tak jak tłumi i boi się wolności komunizm.



P. Klaudiusz Hrabyk wystąpił na łamach ,,Polityki'' z 14.10. br. z artykułem pt. ,,Atut, którego nie możemy przegrać''. Owym ,,atutem'' jest 8,833,669 Polaków zagranicznych. (Jak p. Hrabyk tak dokładnie nas policzył — pozostaje jego tajemnicą).

,,Polityka'' reprezentuje oczywiście oficjalny i dogmatyczny pogląd na emigrację. Sprawa jest prosta i nieskomplikowana. P. Hrabyk zapewnia swoich czytelników, że tzw. ,,emigracja polityczna'' składa się co najwyżej z kilkuset osób. Pozostałe 8 i pół miliona to są emigranci zarobkowi, gotowi do jak najszerszej współpracy z Polską Ludową. Trzeba tylko te masy oświecić, przyciągnąć i stworzyć dla nich program konkretnego współdziałania z władzami i instytucjami PRL. P. Hrabyk, który w swym barwnym życiu był endekiem, senatorem, emigrantem politycznym, a obecnie jest ,,specem'' od Polaków zagranicznych w Polsce Ludowej — oczywiście nadaje się znakomicie na naszego organizatora i ,,Führera''.

Jak ktoś chce być fałszywie informowany — jest fałszywie informowany. P. Klaudiusz zna problem emigracyjny i mógłby napisać rzetelny artykuł w tej sprawie, ale „Polityka" nie wydrukowałaby takiego artykułu.

Jak przedstawiają się fakty?

Dopóki będzie istniał w Polsce obecny ustrój całą Polonię zagraniczną uważać należy za emigrację *polityczną* — ponieważ wszyscy Polacy zagraniczni są przeciwnikami komunizmu. Polonia zagraniczna liczy wielokrotnie więcej przekonanych antykomunistów niż PZPR zarejestrowanych, partyjnych komunistów.

Każda emigracja polityczna ląduje z legalistycznym bagażem, który po pewnym czasie staje się anachronizmem. Prezydenci jedno i trój-głowi, awansowanie oficerów, nadawanie odznaczeń i orderów, to wszystko nas ośmiesza choć — jak zaznaczyłem — „pretendenctwo" jest jedną z klasycznych chorób emigracyjnych. Ale z tego się wyrasta. Klub „Białej Emigracji", który uprawia tę żenującą zabawę maleje z każdym dniem.

W naszej opinii byłby już najwyższy czas skończyć z legalistyczną mitologią, która przestaje być patetyczna, a po 22 latach staje się komiczna. Polaków w W. Brytanii należy zorganizować analogicznie jak zorganizowani są Polacy w Kanadzie, w Australii czy w Stanach Zjednoczonych. Londyn nie jest „stolicą" Polonii zagranicznej, nie ma absolutnie żadnych tytułów przywódczych (poza tym że jest największym skupiskiem inteligenckim), a W. Brytania jest takim samym krajem osiedlenia jak 60 innych krajów, w których mieszkają Polacy.

Przez Polonię rozumiemy ogół Polaków przebywających stale zagranicą. Cała Polonia stanowi dziś „emigrację zarobkową" i przyjąć należy, że większość Polaków zagranicznych posiada obywatelstwo kraju osiedlenia.

Przed drugą wojną światową część Polonii była nastrojona pro-rządowo a część opozycyjnie. Jednak znakomita większość Polaków zagranicznych do roku 1939 uważała rząd w Warszawie za legalny rząd niepodległej Polski. Dziś znakomita większość Polaków zagranicznych nie uznaje rządu w Warszawie za legalny rząd niezależnej Polski i Polacy zagraniczni, w swej masie, są przeciwnikami nie tylko rządu, ale i ustroju panującego w Polsce. I w tym zasadniczym sensie cała Polonia jest dziś *de facto* emigracją polityczną.

Z powyższego należałoby wysunąć logiczny wniosek i zlikwidować nadrzędną rolę Polonii brytyjskiej. Polacy w Wielkiej Brytanii winni zorganizować Kongres Polonii Brytyjskiej na wzór Kongresu Polonii Kanadyjskiej, a resztki „państwa na obczyźnie" złożyć w archiwach Instytutu im. Gen. Sikorskiego. Wówczas powstałaby możliwość wyłonienia Komitetu czy Rady Naczelnej, która reprezentowałaby wszystkie, a przynajmniej większość Polonii zagranicznych. Rada Naczelna — czy

jakąkolwiek nazwę owa instytucja by przybrała — posiadałaby autentyczne, na demokratycznej procedurze oparte prawo przemawiania (w ramach uchwalonych pełnomocnictw) w imieniu milionów Polaków zagranicznych.

Byłoby nonsensem podejmowanie jakiejkolwiek próby reformowania ,,legalistów'' czy to z obozu p. Zaleskiego czy to z obozu Rady Trzech. Tych panów należy pozostawić w spokoju i organizować Kongres Polonii Brytyjskiej całkowicie niezależnie. Jeżeli Polacy brytyjscy tej inicjatywy nie podejmą — za kilkanaście lat Polonia brytyjska nie będzie miała żadnej reprezentacji. Z naczelnego miejsca spadnie na szary koniec. Bo legalizm i tzw. ,,partie historyczne'' nie mają ani przyszłości ani następców. To jest impreza jednego pokolenia i obliczona na czasokres jednego pokolenia. Pokolenia, które schodzi ze sceny.

Odrzuca się koncepcję polityczną wówczas kiedy staje się jałowa. Koncepcja ,,państwa na emigracji'' uznaje restaurację drugiej Rzeczypospolitej jako jedyną dopuszczalną formę polityki niepodległościowej. W ten sposób politykę emigracyjną odrywa się całkowicie od rzeczywistości. Bo przedmiotem naszych zainteresowań i przedmiotem naszej działalności politycznej może być tylko Polska obecna i współczesna w jej dzisiejszych granicach.

Wypunktujmy zasadnicze wnioski wypływające z naszych dotychczasowych rozważań:

I. Wielomilionowa Polonia zagraniczna jest w swej masie antykomunistyczna i w tym sensie jest emigracją polityczną.

II. Tylko minimalny odsetek Polaków zagranicznych gotów jest zaakceptować czy to legalistyczną koncepcję reprezentowaną przez Radę Trzech i p. A. Zaleskiego — czy to koncepcję opozycji licencjonowanej, reprezentowanej przez ,,Znak'' i ,,Tygodnik Powszechny''.

III. Przebywając na Zachodzie nie mamy powodu redukować naszej działalności politycznej do ram opozycji ,,Jego Królewskiej Mości'', by użyć określenia Kisielewskiego — ponieważ nikt z nas nie uznaje komunistycznej ,,Królewskiej Mości''.

IV. Kryzys emigracyjny jest konsekwencją braku ,,trzeciego programu''. Polak zagraniczny mając do wyboru albo ,,pretendentów'' prezydenckich, grzęznących w żenujących anachronizmach — albo licencjonowaną opozycję ,,Jego Królewskiej Mości'' — odwraca się od polityki plecami.

V. Skupić Polaków zagranicznych mogłaby tylko realistyczna, bezpretensjonalna organizacja, głosząca realistyczny, bez-

pretensjonalny program polityczny. I tylko tego typu organizacja i tego typu program mógłby przyciągnąć młode pokolenie.

VI. W ramach wielomilionowej Polonii jest miejsce na partie polityczne, na różnorodne szkoły myśli politycznej i ośrodki inicjatywy politycznej — ale nie ma miejsca ani na bezkrytyczną mitologię (legalizm) ani na bezkrytyczną kolaborację.

VII. Przez kolaborację należy rozumieć działanie, które nie służąc interesom narodu polskiego wzmacnia pozycję rządzącej partii komunistycznej. Nie jest kolaboracją działanie na oczywistą korzyść narodu polskiego nawet — jeżeli w danej sytuacji jest to zbieżne z działalnością komunistów.

VIII. Żadnymi względami ideologicznymi, antykomunistycznymi czy jakimikolwiek innymi nie wolno uzasadniać czy usprawiedliwiać działania na szkodę narodu polskiego.

Polska Ludowa jest państwem polskim. Nie ma innego państwa polskiego. Nie walczymy przeciwko Polsce Ludowej, ale przeciwko obecnemu systemowi komunistycznej, monopartyjnej dyktatury. Nie wolno podpalać własnego domu, by się pozbyć nieproszonego gościa. Innymi słowy nie możemy akceptować tych metod walki z komunistyczną dyktaturą, które narażają bezsporne interesy narodu polskiego.

IX. Choć nie można niestety wyłączyć możliwości wojny — program polityczny emigracji — aby harmonizować z pragnieniami absolutnej większości Polaków w kraju — winien być programem pokojowym. Wraz z koncepcją ,,państwa na obczyźnie'' winniśmy odrzucić ideę ,,wyzwolenia siłą'' i skupić nasze wysiłki w celu zapewnienia — w pierwszym etapie — Polsce i innym krajom Europy środkowo-wschodniej statusu neutralnego.

Z chwilą gdy przestaniemy myśleć sloganami, dla każdego z nas stanie się jasne, że członkostwo w bloku komunistycznym oznacza akceptację hegemonii Rosji — członkostwo w bloku antykomunistycznym oznaczać by musiało akceptację hegemonii Niemiec. Jedynie stworzenie pasa neutralnego umożliwiłoby w chwili obecnej Polsce i innym krajom środkowo-wschodniej Europy zachowanie pewnej niezależności tak od Rosji jak i od Niemiec.

X. Co należy robić? Nie należy tworzyć doktryny geopolitycznego lojalizmu, który w gruncie rzeczy jest tylko odmianą starej daty lojalizmu zaborczego. (I to nie w pełni, bo lojalizm zaborczy — w przeciwieństwie do obecnego lojalizmu — dążył do autonomii). Wprzęganie myśli katolickiej do tej roboty i nadużywanie katolicyzmu w celu oddziaływania po tej linii na

Polaków zagranicznych — jest przejawem tępoty i oportunizmu pewnych kół inteligencji w kraju.

W „Kulturze" od dwóch lat ukazują się książki „szufladowe" autorów rosyjskich. Mamy realne podstawy do sądzenia że tych książek będzie więcej. Dlaczego te książki trafiły do „Kultury"? Te książki trafiły do „Kultury", bo nie jesteśmy białą emigracją — bo „Kultura" reprezentuje — może jeszcze nie w pełni zdefiniowany — ale ów „trzeci program".

Skąd ci autorzy sowieccy dowiedzieli się o „Kulturze"? Jest oczywiste, że dowiedzieli się o nas od Polaków krajowych. Innymi słowy, można w pewnym sensie powiedzieć, że „Kultura" poprzez Polaków krajowych wywiera większy wpływ na Rosjan niż na Polaków w kraju. Bo jak do tej pory — z wyjątkiem Stawara — rosyjska twórczość „szufladowa" jest większa i cenniejsza niż polska.

Czego to wszystko dowodzi? Polska myśl jest dla Rosjan i innych narodowości w Związku Sowieckim — atrakcyjna i służyć może za katalizator przemian pod warunkiem, że będzie dynamiczna i przyjazna, a nie lojalistyczna i wyjałowiona z wszelkiej inicjatywy. Żaden Terc, Arżak, ani Iwanow nie zdeponuje niczego ani w „Tygodniku Powszechnym" ani w „Znaku".

I. Iwanow we wstępie do swojej książki, wydanej przez „Kulturę" pisze:

> „Niech więc moja sztuka teatralna demaskuje i kompromituje ten „najbardziej demokratyczny system", tak wychwalany przez Chruszczowa. Niech stanie się pożyteczną dla tych wszystkich, którzy stojąc na humanistycznych pozycjach odrzucają zarówno państwo burżuazyjne, jak i sowiecką dyktaturę".

I dalej:

> „W tych warunkach rola każdego uczciwego sowieckiego pisarza polega na tym, aby wykazać, że sowiecki chrzan nie jest słodszy od burżuazyjnej rzodkwi. Jeżeli kompromitowanie tej burżuazyjnej rzodkwi jest sprawą sumienia pisarzy krajów burżuazyjnych, to sowiecki chrzan obciąża całkowicie nasze sumienie".

Być może, że za dziesięć czy za piętnaście lat Historia odnotuje, że wielki ferment rozpoczął się od owych rosyjskich książek wydanych przez emigracyjną „Kulturę" i przez nas zaprezentowanych Zachodowi.

Co więc należy robić? Należy zwalczać beztreściowy i bezideowy lojalizm w kraju i mentalność „Tylonu" na emigracji. Bo dziś konkretne działanie polityczne to nie tylko walka o granice. To przede wszystkim walka o postawę człowieka. Książka Stawara czy Terca stokroć więcej znaczy w aspekcie realnej polityki niż wszystkie zjazdy ACEN, które kosztują setki tysięcy dolarów. Z tych książek bowiem wyziera kształt rzeczy, na które czekamy.

XI. Nie wszyscy na emigracji możemy uprawiać politykę. Jednak wszyscy powinniśmy mieć świadomość kierunku. Reportaże i opowiadania drukowane w ,,Kulturze'' przez inteligentów emigracyjnych odwiedzających kraj — dostarczają (często) ilustracji już nie tylko zatraty poczucia kierunku, ale wprost zatraty sensu polskości. Polskość w swym dynamicznym wyrazie jest ciągle problemotwórczą siłą polityczną w Europie. Gardzę wszelkim szowinizmem, ale z poczuciem realizmu stwierdzam, że nie ma rzeczy w Europie i poza Europą dla której warto byłoby porzucić polskość.

Polski intelekt, literatura, piśmiennictwo polityczne, polskie niezależne ośrodki, mają do spełnienia olbrzymie zadanie i wiele zależeć będzie czy dorośniemy do wymiarów zadania, które nas czeka.

W naszym przekonaniu wchodzimy w fazę historyczną o niezmiernej doniosłości.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Rewizjonizm w Polsce (I)

JEGO CECHY UNIWERSALNE I SPECYFICZNE

Kto pragnie zdać sprawę ze współczesnego sporu o rewizjonizm, napotyka natychmiast na duże trudności. Aby przystąpić do sformułowania sensu tego sporu, trzeba określić co najmniej zakres spornych zagadnień. Zakres ten natomiast jest nie tylko szeroki, lecz i pozbawiony ostrych granic. Obejmuje on sprawy tak różnorodne, iż łączy je cienka lub iluzoryczna nić faktycznych i logicznych zależności.

Do zakresu sporu o rewizjonizm należą problemy tradycyjnie zaliczane do filozofii, nauk społecznych i historycznych. Ale starcia polemiczne wokół rewizjonizmu, bądź w przeszłości bądź w teraźniejszości, nie ograniczają się do spraw akademickich i oderwanych. Dotyczą one również tych aspektów myślenia i poznania, którym przypisuje się znaczenie ze względu na sposób życia i praktyczne decyzje. Spory wokół rewizjonizmu przenikają do *no man's land,* gdzie myśl przekształca się w działanie lub działanie znajduje wyraz w myśli. Wkraczają także na ziemię niczyją hipotetycznych związków przyczynowych między poznaniem a społecznymi i egzystencjalnymi warunkami ludzkiego istnienia. Przeciwnicy w sporze nie tylko próbują przekonać się o słuszności swych stanowisk, ale i wpłynąć na zmianę postaw w stosunku do podstawowych problemów życia jednostkowego i zbiorowego. Te wszystkie okoliczności składają się na to, iż spór o rewizjonizm łączy w sobie cechy akademickiej dyskusji, politycznej kontrowersji i egzystencjalistycznego turnieju, w którym kopie zastępuje refleksja nad sensem życia i historii, tajemnicą własnej osobowości, tragicznością moralnego wyboru, zachowaniem w granicznych sytuacjach, nieodwołalnością śmierci, istotą *humanitas* i *felicitas.*

Rozległość i nieuchwytność problematyki uwikłanej w sporze znajduje wyraz w różnorodności sposobów posługiwania się nazwą ,,rewizjonizm''. Inne ma ona znaczenie w ustach polityka, inne kreślona piórem publicysty rzecznika oficjalnej dok-

tryny, inne wreszcie w wywodach partyjnego ideologa lub filozoficznego obrońcy panującej ortodoksji. Wyrażeniem tak wieloznacznym jak ,,rewizjonizm'', nie można się konsekwentnie posługiwać. Słowo nadużywane nie tylko traci sens określony, ale i przestaje mieć w ogóle sens poznawczy. Zamiast odnosić się do rzeczy, którą ma oznaczać, jego znaczenie sprowadza się do sensu emocjonalnego, to znaczy do wyrażania uczuć mówiącego. Słowo mobilizujące uczucia zatraca zaś funkcję komunikatywną przekazywania myśli.

Powyższą opinię należy uzasadnić. Uzasadnienia dostarczy przegląd wypowiedzi o rewizjonizmie Wiesława Gomułki, Adama Schaffa i Stefana Żółkiewskiego. Poprzedzić go trzeba jeszcze jedną dodatkową uwagą dla zorientowania czytelnika w planie tego artykułu.

Mowa w nim będzie przede wszystkim o rewizjonizmie w filozofii. Ponieważ każdy temat wymaga ograniczeń, wystarczy podać względy jakie kierowały wyborem. Po pierwsze w opinii piszącego, filozoficzny rewizjonizm posiada szczególną doniosłość, gdyż dotyczy podstaw marksizmu-leninizmu, a nie poszczególnych praktycznych następstw tej doktryny. Po wtóre, dzieje filozoficznego rewizjonizmu w Polsce obfitują w dociekliwe i dramatyczne starcia polemiczne, których echo prędko nie zaniknie. Ciekawią one nadal intelektualne koła w Europie, a w miastach uniwersyteckich na Zachodzie pobudzają do podobnych dyskusji. Wreszcie, w jednym z ostatnich numerów *Kultury* Zygmunt Zaremba analizował rewizjonizm jako zjawisko polityczne i społeczne (1). Uwalnia to od obowiązku zajęcia się tą stroną zagadnienia.

Rewizjonizm w ujęciu ortodoksji

Gomułka nazwał rewizjonizm negacją lub odstępstwem od zasad wspólnych, dla całego międzynarodowego ruchu komunistycznego, od ,,powszechnych, sprawdzonych przez praktykę walki klasowej zasad marksizmu-leninizmu'' (2). Chodzi w tym wypadku o zasady podane do wiadomości w moskiewskiej deklaracji 12 partii komunistycznych z listopada 1957 roku. Definicja Gomułki ma charakter polityczny i pragmatyczny, służy umocnieniu dyscypliny partyjnej.

Zasady moskiewskiej deklaracji są sformułowane ogólnikowo i dopuszczają różnorodne interpretacje. Definicja Gomułki wymaga przeto uzupełnienia. Rewizjonizm jest negacją lub odstępstwem od zasad moskiewskiej deklaracji w wykładni nadanej im przez kierownictwo Partii. Stosownie do tego rewizjonistą jest członek Partii, który podaje w wątpliwość nieomylność przywódców w zakresie ideologii i polityki.

(1) Istota rewizjonizmu sowieckiego, *Kultura* 1961, 10/168.
(2) *Nowe Drogi* 1959, 4/118, p. 80.

Schaff ma inny pogląd na tę sprawę. Jak się obrazowo wyraża, rewizjonizm jest bankructwem naukowym i ideologicznym. Albowiem rewizjonizm wyrasta „duchowo z ożenku egzystencjalizmu z kantyzmem", a przebudowywanie „marksizmu" z tych pozycji to jest „po prostu plajta". Schaff nie zgadza się z opinią, iż rewizjonizm związany jest z polityką. W jego mniemaniu ten pogląd jest jedną z największych mistyfikacji popaździernikowego okresu. Rewizjoniści nazywając się „klerkami" sami określili swą pozycję, gdyż „klerk" znaczy tyle co „intelektualista oderwany od życia". Przebywają oni na wyżynach egzystencjalistycznej metafizycznej „bredni", przewodniczą „istnym sabbathom snobizmu", wypowiadają się w ciemnych i nieczytelnych artykułach, rzekomo tak pisanych dla zmylenia cenzury. Pomimo „zaciekłego reklamiarstwa" nie ma w szeregach rewizjonistów samodzielnych myślicieli. Są to sprzedawcy z drugiej ręki starego i skądinąd znanego już towaru. Albowiem duchowe koligacje rewizjonistów z Bernsteinem, burżuazyjnym filozofem Cohenem, z Natorpem, Vorländerem, de Manem i Blumem, wreszcie z Sartre'm, rozbijają mit ich rzekomej oryginalności. Mit ten stworzyła „wrzaskliwa, pełna zarozumiałości propaganda", uprawiana przez „cmokierów" rewizjonistycznych na wzór „cmokierów" z dworu rabina cudotwórcy.

Będąc oderwany od życia i polityki rewizjonizm w Polsce zrodził się na gruncie typowo moralizatorskim. Ponieważ jest moralizatorski, gubi się w naśladownictwach egzystencjalizmu, a ideowo sięga do Kanta, którego etyka jest „klasyczną formułą subiektywistycznej moralności". Ale „dobudowywanie marksizmu" w dziedzinie moralności w oparciu o Kanta, to oczywisty absurd, a w swych ideologicznych następstwach likwidacja „marksizmu", wyrzeczenie się rewolucji na rzecz przemian moralnych (3).

Żółkiewski łączy w jedną całość idee Gomułki i Schaffa oraz dorzuca nowe, niejednokrotnie znane z łamów *Prawdy*, *Izwiestii* i *Komunisty*. Rewizjonizm jest awangardą ideologii burżuazyjnej i nosicielem kultu burżuazyjnych instytucji społecznych. Politycznie rewizjonizm jest związany z reformizmem socjaldemokratycznym. Cechą charakterystyczną rewizjonizmu jest poniechanie analizy klasowej, co z jednej strony prowadzi do idealizacji i sublimacji (!) obcych instytucji, z drugiej do lekceważenia „analizy klasowych wpływów w rozwoju nauki". W konsekwencji rewizjoniści łatwo rezygnują z „rygorów wewnętrznej konsekwencji systemu myśli marksistowskiej" oraz szukają „nowinek we wszelkich niemarksistowskich systemach metodologicznych". Na przykład, atakują historyzm (co w tym kontekście znaczy: historyczność moralności), przeczą, iż w „świecie historycznym czyn moralny jest naprawdę konieczny",

(3) A. Schaff, *Spór o Zagadnienia Moralności*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1958, pp. 56-70.

cofają się na pozycje przedheglowskie i nawracają do imperatywu kategorycznego Kanta, atrybutu niezmiennej ahistorycznej natury ludzkiej.

Opisując rodowód rewizjonizmu Żółkiewski zgadza się z Schaffem, ale jest od Schaffa hojniejszy. Rewizjonizm należy traktować raczej jako potomka mariażu „subiektywizmu neopozytywistycznego" z „indywidualizmem egzystencjalistów" aniżeli jako owoc schaffowskiego ożenku kantyzmu z egzystencjalizmem. Rewizjoniści zdradzają „marksizm" z pozycji racjonalistycznych inspirowanych przez neopozytywizm, oraz z pozycji irracjonalistycznych, zwłaszcza w ich egzystencjalistycznej postaci. W rewizjonistach odżywają tendencję neokantowskie, stare teorie socjalizmu humanistycznego oraz nowe wojującego anty-komunizmu. Kto popełnił tyle wykroczeń przeciw rygorom metodologii marksistowskiej nie jest w stanie uchronić się od błędu „krytykowania słusznych stanowisk marksistowskich" i cofania się z ich „nowatorskich pozycji poznawczych" (4).

Ta reprezentatywna próbka opinii nie pozostawia wątpliwości, iż ortodoksyjni krytycy rewizjonizmu nie posługują się tym pojęciem dla celów opisowych lub klasyfikacyjnych. Sen na który składa się fantazyjne połączenie fragmentów różnych przeżyć doświadczonych na jawie, nazwał Freud zbitką senną. Ossowski stworzył analogiczny termin zbitki pojęciowej na oznaczenie pojęć stworzonych z niespojnych elementów zaczerpniętych z różnych dziedzin rzeczywistości. Sposób używania terminu „rewizjonizm" przez marksistów-leninistów uprawnia do zaliczenia go do kategorii zbitek pojęciowych. Jest on bowiem nazwą kolektywną dla tych wszystkich poglądów, z którymi nie zgadza się posługujący się tym terminem ortodoks. Jest on nadto naładowany potężnym ładunkiem emocjonalnym, służąc, jak niegdyś idealizm, do wyrażania gniewnej dezaprobaty i ujemnej, czasem pogardliwej, politycznej, intelektualnej lub moralnej oceny w stosunku do osób opatrywanych nalepką „rewizjonisty". Takie nalepki pisał kiedyś Tadeusz Kotarbiński broniąc się przed przypisywaniem mu poglądów nigdy nie wyznawanych, nie są czysto informacyjne, ale „dynamicznymi przezwiskami" (5). Jako zbitka pojęciowa o sensie emocjonalnym rewizjonizm spełnia rolę narzędzia w walce politycznej i polemice zmierzającej do zdyskredytowania i poniżenia przeciwnika. Mówi więcej o tych, którzy się tym narzędziem posługują, aniżeli o tych, do których ma się ono rzekomo odnosić.

Ale rewizjonizm jest terminem relatywnym eliptycznie użytym, to znaczy wymaga uzupełnienia przez wymienienie czegoś co rewizjonizm rewiduje. Pod tym względem wszyscy wyżej wspomniani ortodoksi marksizmu-leninizmu są z sobą zgodni co

(4) S. Żołkiewski, *Kultura i Polityka*, Warszawa, PIW, 1958, pp. 205-211; *Nauka Polska* 9, 1961, 1/33, p. 27; *Perspektywy Literatury XX Wieku*, Warszawa, PIW, 1960, pp. 121-123.

(5) *Wybór Pism*, T. 2, Warszawa, PWN, 1958, p. 192.

do tego, iż rewizjonizm zmierza do odstępstwa, negacji, zniekształcenia lub przekształcenia niezmiennych prawd skodyfikowanych w doktrynie ,,marksizmu''. Gomułka wylicza uniwersalne zasady składające się na absolutną prawdą marksizmu-leninizmu. Takiej listy nie znajdziemy w wypowiedziach Schaffa i Żółkiewskiego. Są oni natomiast pewni, o czym nas powiadamiają, iż istnieje jakiś zespół prawd niezmiennych odkrytych przez twórców ,,marksizmu''. ,,Rewizjonizm'',pisał Schaff, ,,to przekreślenie teorii marksistowskiej, jej likwidacja przez odrzucenie, wbrew wymowie faktów, podstawowych tez marksizmu (6). Żółkiewski podkreślał, iż rewizjonizm kwestionuje ,,słuszne stanowiska marksistowskie'' lub porzuca marksowskie pozycje w teoriach politycznych, społecznych, ekonomicznych, często filozoficznych (7). Gdy marksista-leninista wytyka błędy rewizjonistom, zakłada on *explicite* lub *implicite*, iż marksizm-leninizm zawiera prawdy niewzruszone i nieodwołalne w sensie metodologicznym. W znaczeniu, jaki ten termin posiada w metodologii ogólnej, marksista-leninista jest przeto dogmatykiem.

Tzw. błędny i twórczy rewizjonizm

Schaff dostrzegł tę konsekwencję i czynił wysiłki, by się od niej uchronić. Rewizjonizm jest pojęciem historycznym, jakie po raz pierwszy użyto dla określenia działalności Bernsteina na przełomie ubiegłego i obecnego wieku. To był błędny rewizjonizm, pierwowzór wszystkich podobnych prób podejmowanych w okresie późniejszym. Dla anty-rewolucyjnego typu rewizjonizmu Schaff proponuje nazwę ,,likwidatorstwo'', termin zaczerpnięty z przemówienia Gomułki (8).

Z drugiej strony istnieje twórcze rozwijanie marksizmu-leninizmu, a taki twórczy rozwój jest również rewizją. Ponieważ twórczy rewizjonizm jest *ex definitione* cechą charakterystyczną marksizmu-leninizmu, marksizm-leninizm nie jest zbiorem dogmatów, a myślą wiecznie twórczą; *quod erat demonstrandum.* Wystarczy rozplątać ,,matactwo semantyczne'' tych, którzy o semantyce nic nie wiedzą, by rozsypał się w nicość zarzut o dogmatyzm i wikłanie się w sprzecznościach. ,,Marksizm jest ze swej istoty rewizjonistyczny'', ale dzięki rewizji twórczej, a nie błędnej i likwidatorskiej (9).

Schaff poparł swe wywody krytyką dogmatyzmu, w której metodologiczny sens tego terminu splata się w niezrozłączną całość z sensem politycznym, znanym z dyskusji partyjnych. ,,Dogmatyk'' w tym ostatnim znaczeniu jest synonimem ,,stalinisty'' lub ,,konserwatysty''. Nie ma takiej tezy w ,,marksiz-

---

(6) *Spór o Zagadnienia Moralności,* p. 31.
(7) *Nowe Drogi* 1959, 7/121, p. 68.
(8) *Przemówienia,* T. 2, Warszawa, Książka i Wiedza, 1959, p. 19.
(9) *Spór o Zagadnienia Moralności,* p. 30-34.

mie'', pisał Schaff, którą wolno zachować, jeśli przemawiają przeciw niej fakty. Nie ma takiej tezy w ,,marksizmie'', której nie wolno poddać dyskusji, jeśli pojawiają się nowe fakty i argumenty. Fakty należycie stwierdzone należy uznać wbrew wszelkim autorytetom. Trzeba myśleć samodzielnie i bez kompromisów szukać prawdy. Odmienne stanowisko w stosunku do każdej z wyżej wymienionych reguł charakteryzuje pozycję dogmatyczną (10).

Powyższe wywody zwrócone przeciw dogmatyzmowi w Partii, to znaczy przeciw ,,stalinistom'' i ,,konserwatystom'', czynią z Schaffa ortodoksyjnego rewizjonistę (znaczenie tej nazwy podane będzie niebawem). Ale nie uwalniają go od zarzutu, iż pozostaje on dogmatykiem w metodologicznym sensie. Któż bowiem według Schaffa ma o tym rozstrzygnąć, czy dana rewizja jest twórcza lub błędna? Czy zgodzi się on bez zastrzeżeń i ograniczeń na to, by rozstrzygały fakty, posłuszeństwo regułom logicznego myślenia, niezależnie gdzie one doprowadzą, oraz wywód należycie przeprowadzony na poparcie danego stanowiska? Jeżeli jest tak w istocie, dlaczego mówi o ,,przekreślaniu teorii marksistowskiej'', ,,odrzucaniu podstawowych tez marksizmu'' i ,,likwidatorstwie''? Czy więc rzeczywiście rozstrzygają fakty a nie autorytety, względy logiczne i rzeczowe, a nie ideologiczne? Czy rzeczywiście należy odrzucić każdą tezę sfalsyfikowaną przez rozwój wydarzeń lub rezultaty badań szczegółowych? Czy rzeczywiście żadna podstawowa teza ,,marksizmu'' nie jest chroniona przed rzuceniem jej na wody nieskrępowanej dyskusji? Czy każdemu wolno myśleć samodzielnie i bez kompromisów szukać prawdy?

W jednym z ostatnio opublikowanych artykułów Schaff udzielił *expressis verbis* odpowiedzi na te pytania. Broniąc prawa marksistów-leninistów do różnicy poglądów, do głoszenia nie tylko różnych ale i przeciwstawnych opinii, Schaff kończy swój wywód następująco:

,,Ale przy całej tolerancyjności i szerokości ujęcia sprawy, są jednak granice, których nie można przekroczyć bez przekreślenia swej przynależności do marksizmu'' (*Nowe Drogi* 1961, 3/142, p. 81).

Nie można z językowej propozycji: ,,marksizm'' to tyle co ,,wiecznie twórcza doktryna'', wyprowadzać twierdzenia, iż marksizm jest wiecznie twórczą doktryną; ergo jest wolny od dogmatyzmu. Nie można z innej nominalnej definicji: ,,polityka z pozycji marksizmu'' znaczy tyle co ,,polityka, która nie ogranicza poszukiwania prawdy'', dochodzić do wniosku, iż polityka marksistowska jest związana z dążeniem do prawdy (11). Wystarczy dla zabawy nazwać niebo Ziemią, a Ziemię niebem,

(10) *Spór o Zagadnienia Moralności*, p. 29-30.
(11) A. Schaff, *Marksizm a Egzystencjalizm*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1961, p. 126.

by natychmiast okazało się, iż żyjemy w niebie. Przypisując słowom zdolność stwarzania realnych odpowiedników, praktykujemy nieświadomie myślenie magiczne, opisane przez naszego znakomitego rodaka Bronisława Malinowskiego. Wiadomą jest rzeczą, iż obrona przed pozostałościami magicznego myślenia, przed urojeniami językowymi i hipostazami, nie zawsze jest łatwą rzeczą. Wystarczy przypomnieć, iż Leibniz wywiódł istnienie monad z definicji ,,monady'', teoria deskrypcji i symboli niezupełnych powstała przed 50 laty, reizm osiągnął dopiero wiek męski, a nominalizm jest chłopięciem, współczesne teorie humanistyczne i socjologiczne, ,,marksistowskie'' i ,,niemarksistowskie'' roją się od hipostaz. Surrealizm w malarstwie poprzedził surrealizm myślenia, produkt nieostrożnego posługiwania się językiem.

Definicje słowne są umowami co do sposobu posługiwania się wyrażeniami pewnego języka. Takie umowy są dogodne lub niedogodne, poprawnie lub niepoprawnie zbudowane ze względu na język, w którym są sformułowane (definicje wyżej wspomniane są w pewnym sensie dogodne, ale nie są poprawne). Nie wystarczają natomiast do wykazania, iż rzeczy oznaczane przez terminy występujące w definicji mają się tak właśnie, jak definicja nominalna proponuje lub zaleca. Podobnej konkluzji nie można również wyprowadzić z definicji rzeczowej, chyba że się uprzednio podało dowód, iż definicja rzeczowa jest zdaniem prawdziwym. Jeśli omawiane definicje marksizmu i polityki z pozycji marksizmu są definicjami realnymi, a nie nominalnymi, nie wystarczy być samemu przekonanym, iż są one zdaniami prawdziwymi. Trzeba nadto przekonać innych, to znaczy podać dowód ich prawdziwości. Definicja realna może być bowiem również zdaniem fałszywym lub nie mieć żadnego określonego sensu.

Niestety, marksistowska metodologia nawet w jej obecnej fazie, którą charakteryzuje obudzenie się świadomości, iż logiczne badania nad językiem, w szczególności nad stosunkiem wyrażeń języka do oznaczanych przez nie przedmiotów, stanowią doniosłą dziedzinę filozofii, nie odznacza się dbałością o przestrzeganie reguł logicznych i zaleceń metodologicznych usprawniających formalnie poprawne i rzeczowo trafne myślenie. Praktycy metodologii marksistowskiej wykazują również skłonność do wypowiadania zdań, z których jedno jawnie zaprzecza drugiemu, uznając jednocześnie, iż taka para zdań nie może być jednocześnie prawdziwa. Przykładu dostarcza teza, iż ,,marksizm'' jest z swej istoty nieustannie twórczą rewizją wszystkich zastanych własnych i cudzych poglądów, ale rewizja jego podstawowych tez jest likwidatorstwem. Tak pojęty rewizjonizm jest ochronną otoczką osłaniającą jędrne jądro metodologicznego dogmatyzmu i hołdowania prawdzie poręczonej autorytetem. Albowiem o tym, czy pewna rewizja jest ,,twórcza'' lub ,,błędna'', to znaczy likwidatorska, nie rozstrzyga jej sens i zasadność, a jej autorstwo, kto ją przeprowadza lub kto ją apro-

buje. Dotyczy to również warunku mówiącego o tym, iż rewizja jest twórcza wtedy i tylko, jeśli jest ,,rewizją prawdziwą, to znaczy zgodną z rzeczywistością''. Czym jest bowiem rzeczywistość, a co jej zmistyfikowanym pozorem, co jest zgodne lub niezgodne z faktami życia społecznego i historycznego rozwoju, o tym rozstrzygają autorytety. Jeżeli konfrontacji ,,tez teoretycznych z faktami'' dokonuje jednostka lub mniejszość ludzi odmiennie myślących, pozbawionych politycznego wpływu i władzy, rewizja staje się ideologicznym likwidatorstwem. Gdy od ogólników i deklaracji przechodzimy do konkretów i realizacji werbalnych zapewnień, samodzielność myślenia i bezkompromisowe szukanie prawdy napotyka granice określone dyscypliną i hierarchią partyjną.

Chociaż wszyscy są równi, jedni są równiejsi od pozostałych. Lekceważenie tej zasady narusza fundament władzy i porządku, który jest również zawarty w tym, co Żołkiewski nazywa ,,rygorami metodologii marksistowskiej''. Metodologiczny dogmatyzm ,,twórczego'' rewizjonizmu jest postawą ludzi politycznie zaangażowanych. Kto walczy o realizację swych celów i ideałów, zazwyczaj skłania się do uznania treści swych wierzeń za prawdy niewzruszone czyli dogmaty. Jego wiara ogranicza własne samodzielne myślenie i podporządkowuje je ideologii. Sprawa to arcyludzka, a jeśli nie łączy się z nią fanatyzm i nietolerancja nie ma w niej niczego, co budzić by mogło zdumienie. Zło rozpoczyna się wówczas, gdy postawę i reguły postępowania charakterystyczne dla polityka i ideologa identyfikuje się z postawą uczonego i normami obowiązującymi w postępowaniu naukowym.

Rozróżnienia ,,twórczego'' i ,,błędnego'' rewizjonizmu nie daje się utrzymać bez wprowadzenia pojęcia instytucjonalnego marksizmu, to znaczy doktryny zamkniętej, o której zawartości decyduje uprzywilejowana grupa jego wyznawców. Nazywanie podobnej doktryny nauką lub naukowym światopoglądem jest nieporozumieniem lub tym co C.L. Stevenson nazywa *persuasive definition*, wyrażeniem mającym wywoływać w słuchaczach pewne echa emocjonalne oraz nakłaniać ich do przyjęcia określonej zalecanej postawy w stosunku do tego, co rzekomo definicja wyłącznie opisuje.

Podobne nieporozumienie odnajdujemy w poglądach, iż istnieje wyraźna i raz na zawsze ustalona granica między ortodoksją z jednej a rewizjonizmem z drugiej strony. Od śmierci Marksa i Engelsa spór o to, jakie poglądy są ortodoksyjne a jakie rewizjonistyczne toczy się nieprzerwanie. Najczęściej spór toczy się o sprawy, jakimi Marks i Engels nigdy się nie zajmowali, gdyż dotyczy zagadnień jakie pojawiły się dopiero po ich śmierci. Jednemu ze spornych rozwiązań nadaje się nazwę ,,jedynego słusznego stanowiska marksistowskiego'', inne opatruje się etykietką poglądów ,,antymarksistowskich'', ,,rewizjonistycznych'' lub ,,likwidatorskich''. Z tego stanu rzeczy należy wy-

ciągnąć wniosek, iż nie tylko pojęcie rewizjonizmu, ale również ortodoksji jest zmienne i relatywne. Każda ortodoksja powstaje w wyniku rewizji ortodoksji poprzednio panującej, którą opatruje się *ex post* honorowym tytułem ,,autentycznego marksizmu''. Nie ma ortodoksji niezmiennej co do treści. Co najwyżej nie zmienia się jej szata słowna, pod którą jednak ukrywa się sens i treść nowa. Mannheim, a po nim wielu innych socjologów, analizowało to zjawisko i wyjaśniło jego funkcję społeczną. Tak zwana funkcjonalna teoria ideologii, wywodząca się z socjologii Durkheima i rozwinięta przez Mannheima — zajmował się nią ostatnio Hochfeld na łamach *Studiów Filozoficznych* (12) — upatruje w ideologii jedno z ważnych narzędzi konsolidacji zwartości grup społecznych oraz dokonywania zmian w taki sposób, iż nie naruszają istniejącej struktury społecznej.

Również opis ortodoksji może być użyty w charakterze *persuasive definition*. Celem usunięcia niebezpieczeństwa błędów, na jakie definicja tego typu nas naraża, wysunięta została sugestia, by nie identyfikować ortodoksji marksizmu-leninizmu z określonymi ,,zasadami'', ,,słusznymi stanowiskami'' lub ,,podstawowymi tezami marksizmu''. Ortodoksja jest zespołem pewnych intelektualnych dyspozycji i postaw do życia aprobujących istnienie prawd niewzruszonych i obowiązujących wszystkich w danym okresie lub na danym etapie, jak to określali przywódcy partii komunistycznych. W terminologii piszącego, ten zespół dyspozycji i postaw jest psychicznym odpowiednikiem metodologicznego dogmatyzmu, stanowiącego wspólny formalny element wszelkiej ortodoksji. Stosownie do rozpatrywanej propozycji, ortodoksję charakteryzują trwałe dyspozycje i postawy, a ich wytwory, prawdy nieodwołalne właśnie wyznawane, są zmienne w czasie co do treści lub sensu. Dla dyspozycji do ortodoksji charakterystyczna jest również ostrożność w dokonywaniu zmian doktryny, podyktowana obawą o ,,oportunizm''. Interpretując ostrożność w terminach socjologicznych chodzi o to, by każdorazowe ,,tezy podstawowe marksizmu'' nie stały się jawnie ideologią grupy panującej. Funkcją ideologii wyznawanej przez grupę panującą jest utrzymanie w stanie nienaruszonym struktury społecznej, która jest jednym z gwarantów zachowania władzy (13).

Rewizjonizm w obrębie Niemieckiej Socjal-Demokracji i rewizjonizm polski

Dotychczasowe rozważania pozwoliły podać kilka cech charakterystycznych dla ortodoksji w jej rewizjonistycznej postaci.

(12) Socjologia, Materializm Historyczny, Ideologia, *Studia Filozoficzne* 1960, 6/21.

(13) D. Joravsky, *Soviet Marxism and Natural Science*, London, Routledge and Kegan Paul, 1961, p. 14.

Trzeba się z kolei zająć rewizjonizmem właściwym jako zespołem pewnych intelektualnych postaw i reguł metodologicznych. Niektóre z nich mają charakter uniwersalny, inne są specyficzne ze względu na czas i miejsce.

Była już o tym mowa, iż Schaff wywodzi rewizjonizm w Polsce z „ożenku egzystencjalizmu z kantyzmem". W miarę upływu czasu przzodek egzystencjalistyczny zajął w rodowodzie polskiego rewizjonizmu miejsce ważniejsze. Mówiąc językiem genetyków, w masie dziedzicznej rewizjonizmu egzystencjalizm jest cechą dominującą, kantyzm — recesywną (14). Miało to pewne związki z ewolucją poglądów Schaffa. Zajmując początkowo pozycję wysoce krytyczną w stosunku do egzystencjalizmu, Schaff doszedł niedawno do przekonania, iż problematyka egzystencjalizmu jest bardzo doniosła. Chociaż jej rozwiązania znane z filozofii Sartre'a oraz jej naśladownictw w publikacjach polskich rewizjonistów są z gruntu błędne, problematyka egzystencjalistyczna mieści się całkowicie w ramach „marksizmu" (jak wiadomo, wzbudziło to sensację w redakcji *New York Times* i kilku innych dzienników amerykańskich).

Tak zwana filozoficzna antropologia stanowi integralną część twórczości Marksa w młodzieńczym okresie jego działalności. Ortodoksi stronili lub przemilczali filozoficzną antropologię Marksa. Zwrócił na nią uwagę najpierw Henri Lefebvre, a Jezuita Jean-Yves Calvez rozpatrywał ją gruntownie w dziele *La Pensée de Karl Marx* (1956). Filozofia młodego Marksa przyciągnęła szeroką uwagę po ukazaniu się książki Heinricha Popitza *Der entfremdete Mensch* (1953), a jej aktualność przejawiła się w twórczości Ernsta Blocha, Sartre'a i Kołakowskiego (15). Schaff, jak się zdaje, jest pierwszym filozofem w całym bloku sowieckim, jeśli pominie się rozprawę Cz. Nowińskiego (16), który złożył swój podpis pod *nihil obstat* w stosunku do zagadnień dotąd stojących poza zakresem ortodoksji marksizmu-leninizmu. Dalsze rozważania okażą, w jakiej mierze uczynił to pod faktycznym wpływem potępianego filozoficznego rewizjonizmu.

Zagadnienie stosunku „marksizmu" do egzystencjalizmu wymaga specjalnego omówienia, gdyż ani pojęcie wolności w egzystencjalizmie Sartre'a ani pojęcie determinizmu w filozofii Marksa nie mieszczą się w uproszczonych interpretacjach, jakie znajdujemy w zbiorze artykułów *Marksizm a Egzystencjalizm*. Na niedostatki analizy egzystencjalizmu w interpretacji Sartre'a,

---

(14) Zob. na przykład *Nowe Drogi* 1959, 13/127, p. 17; *Marksizm a Egzystencjalizm*, pp. 9-10.

(15) L. Kołakowski, Karol Marks i Klasyczna Definicja Prawdy, *Studia Filozoficzne* 1959, 2/11.

(16) Filozofia Zaangażowania, *Kultura i Społeczeństwo* 4, 1960, nr. 1-2
nież uwagę Żołkiewski w swej pochlebnej recenzji ostatniej pu-

której poświęcona jest pierwsza część tej książki, zwrócił rów-blikacji Schaffa (17). Warto także krótko stwierdzić, że Schaff obala swój własny zarzut w stosunku do filozoficznego rewizjonizmu o naśladownictwo egzystencjalizmu Sartre'a charakteryzując egzystencjalizm tak właśnie, jak to czyni w swoim zbiorze artykułów (18). Po tym komentarzu wróćmy do drugiego źródła polskiego rewizjonizmu, to znaczy do kantyzmu i rewizjonizmu Bernsteina.

Bernsteinowski rodowód polskiego rewizjonizmu wspomniany jest przez Schaffa ogólnikowo, raczej dla pogrążenia przeciwnika w kołach partyjnych przez wskazanie jego niebezpiecznych przodków aniżeli dla rozpatrzenia rzeczywistych różnic i podobieństw. Warto jest jednak zająć się sporem o rewizjonizm w niemieckiej socjal-demokracji przed z górą 60 laty, gdyż analiza sporu jest pouczająca i prowadzi do tezy o nieuniknioności rewizjonizmu w obrębie każdej odmiany ortodoksyjnego „marksizmu".

Na pozór wydawać się może, że nie ma żadnych podobieństw między rewizjonizmem niemieckim a rewizjonizmem współczesnym, bądź w Polsce bądź w innych krajach bloku sowieckiego. Dwa względy daje się przytoczyć na poparcie tego poglądu.

Spór o rewizjonizm w łonie niemieckiej socjal-demokracji dotyczył nade wszystko programu i taktyki politycznej. Był to w istocie rzeczy spór pragmatyczny, a nie teoretyczny. Chociaż sprawy z zakresu ekonomiki, historii i filozofii odgrywały pewną rolę, jednak pytanie jaka droga doprowadzi najskuteczniej do osiągnięcia władzy w państwie było zagadnieniem nadrzędnym, a problemy teoretyczne zagadnieniem podrzędnym. Służyły one jako argumenty mające wesprzeć zalecenia dotyczące alternatywnych rozwiązań w zakresie programu i spraw praktycznych.

Różnica poglądów między Bernsteinem a Kautskym dotyczy dwóch spraw, obu o pragmatycznym charakterze. Według Bernsteina przejście do socjalizmu nastąpi w wyniku powolnego rozszerzania się reform społecznych i politycznych, jakie zaczęto wprowadzać w ówczesnych Niemczech, mianowicie upowszechniania prawa wyborczego, rozwoju związków zawodowych, umów zbiorowych, upowszechniania oświaty, wzrastającego uprzemysłowienia i wpływu klasy robotniczej, potężniejącej liczbowo i świadomej swych celów. Według Kautskiego przejścia do socjalizmu nie można osiągnąć na drodze powolnych przemian. Nie można nawet rozpocząć budowy społeczeństwa socjalistycznego zanim rewolucja społeczna nie obali autokratycznych rządów, by na ich miejsce ustanowić demokrację parlamentarną. Jak wiemy dzisiaj, ani Bernstein ani Kautsky nie mieli w pełni

(17) *Nowa Kultura* 12, 1961, 44/605, p. 2
(18) *Marksizm a Egzystencjalizm*, p. 137.

racji. Rozwój wydarzeń przyznał częściowo słuszność obu, każdemu pod innym względem.

Należy natomiast podkreślić, gdyż ta sprawa pojawi się ponownie w dalszych rozważaniach, że za alternatywą praktyczną: albo rewolucja albo ewolucja, ukrywała się różnica koncepcji procesu historycznego. Kautsky szedł za Marksem i zakładał, iż rozwój historyczny podlega określonym prawom, które nieuniknienie prowadzą do socjalizmu. Według Bernsteina ludzkość uwalniała się powoli od władzy jaką historyczna konieczność sprawuje nad ich losami. Miejsce bezosobowych sił historycznych przyczynowo wyznaczających poczyniania człowieka zajmowała wolność wyboru i świadoma kontrola nad naturalnym i społecznym otoczeniem. W związku z tym Bernstein sądził, iż nie można oczekiwać nieuniknionego nadejścia socjalizmu. Socjalizm mogą urzeczywistnić jedynie ludzie, którzy realizację socjalizmu uznają za swoją powinność. Stając się wolni mogą oni walczyć o urzeczywistnienie swych ideałów.

Drugą charakterystyczną cechą niemieckiego sporu o rewizjonizm było opowiedzenie się obu stron w sporze za demokracją. Bernstein i Kautsky podzielali ten sam ideał socjalizmu i obaj opowiadali się za socjalizmem i demokracją. Kautsky będąc ortodoksyjnym wyznawcą Marksa konsekwentnie bronił zasady, iż jedynie większość może sprawować rządy, a nie odwrotnie. Z tej właśnie przyczyny, za krytykę dyktatury mniejszości ustanowionej w Rosji po Rewolucji Październikowej Lenin nazwał Kautskiego ,,renegatem''. Kautsky i Bernstein byli w zgodzie co do spraw zasadniczych oraz celów, jakie socjal-demokracja będzie urzeczywistniać po zdobyciu władzy. Dzieliła ich różnica poglądów, jakie środki są najskuteczniejsze w realizacji wspólnych celów. Z tych względów Bernstein w pełni zasługuje na miano rezwizjonisty. Albowiem bez zgody co do spraw zasadniczych nie można nawet mówić o rewizjonizmie. Zarówno wyznawcy jakiejś doktryny, jak i ci, którzy chcą ją poddać rewizji muszą podzielać wspólne podstawowe przekonania. W przeciwnym razie rewizjonista nie byłby tym, co ten termin sugeruje, ale założycielem całkowicie odmiennej szkoły myślenia.

Jeśli porównamy niemiecki rewizjonizm z współczesnym polskim rewizjonizmem, jasną staje się rzeczą, iż pod omówionymi względami niewiele mają z sobą wspólnego. W polskim rewizjonizmie zagadnienia teoretyczne dominują nad sprawami praktycznymi. Polscy rewizjoniści nie są politykami, chociaż wielu z nich ożywia głębokie i trwałe zainteresowanie zagadnieniami politycznymi. Ich założeniem jest przeświadczenie wspólne wszystkim intelektualistom, iż myśl jest jednym z czynników kształtujących rzeczywistość. Albowiem ostatecznie nie ma innej drogi zmieniania rzeczywistości prócz zjednywania ludzi dla pewnych idei, które z kolei pobudzają ich do właściwych działań. Jeśli ten warunek nie jest spełniony, powstaje sytuacja opisana przez

Engelsa w *Ludwiku Feuerbachu:* ,,Jednostki działające zamierzają osiągnąć pewne cele, ale rzeczywiste wyniki ich czynów są czymś niezamierzonym, albo też, o ile zdają się nawet zrazu odpowiadać zamierzonemu celowi, to mają ostatecznie inne zupełnie następstwa od zamierzonego''.

Polscy rewizjoniści rekrutują się z szeregów filozofów, socjologów, ekonomistów, historyków, krytyków literackich, pisarzy i poetów. Ze względów, o jakich będzie mowa, mają oni wspólny język i cieszą się poparciem w szerokich kołach ludzi nauki, w szczególności przedstawicieli nauk humanistycznych, społecznych i historycznych. Nauka nie produkuje dogmatów i każdy dogmat hamuje jej rozwój. Kto walczy z dogmatyzmem jest naturalnym sprzymierzeńcem wszystkich nieuprzedzonych umysłów.

Czynnikiem decydującym o teoretycznej orientacji polskiego rewizjonizmu są dobrze znane okoliczności czasu i miejsca. Możliwości działalności politycznej we właściwym tego słowa znaczeniu są ograniczone do grona osób współuczestniczących w kierownictwie Partii. Dolne szeregi partyjne, nie mówiąc już o nie-partyjnym społeczeństwie, działać mogą w charakterze posłusznych wykonawców. Jedynie umysły obarczone heglowskim spadkiem dialektycznym twierdzić mogą poważnie, iż dyktatura proletariatu jest formą demokracji, uczy jej i służy oraz umożliwia działanie polityczne szerokim masom społeczeństwa. Z równym sensem można dowodzić, iż ptaki najlepiej uczą się latać w klatce i że dzięki zamknięciu będą się mogły w przyszłości wzbić w otwarte przestworza. Gdy drogi swobodnej działalności politycznej są zamknięte, praca myśli i oddziaływanie na umysły koncentrują wszystkie wysiłki.

Również pod drugim z wyżej wspomnianych względów nie ma podobieństwa między niemieckim a polskim rewizjonizmem. Albowiem odmiennie niż to miało miejsce w niemieckiej socjaldemokracji, polscy rewizjoniści i wyznawcy panującej ortodoksji różnią się w sprawach fundamentalnych. Stosownie do wymienionego warunku ograniczającego właściwy użytek słowa ,,rewizjonizm'', nie należałoby w ogóle mówić o polskim rewizjonizmie. Lepiej jednak nie wprowadzać nowej nazwy klasyfikacyjnej, gdyż zamiast zmniejszyć powiększyłoby to jedynie zamęt terminologiczny.

Powyższego twierdzenia nie należy rozumieć w ten sposób, iż nie ma zgody co do ostatecznych celów socjalizmu. Cel odległy i w perspektywie naszego życia niemal utopijny, nie dostarcza powodów do różnicy poglądów. Ale jeśli chodzi o punkt wyjścia w drodze do socjalizmu oraz środki jego realizacji, rewizjoniści i ortodoksi różnią się w sposób zasadniczy i fundamentalny. Co jest warunkiem niezbędnym budowy socjalistycznego społeczeństwa dla ortodoksów, jest dla rewizjonistów unicestwieniem w samym zarodku szansy osiągnięcia socjalizmu.

Niezależnie od stopnia względnej tolerancji, jaką okazują współcześni polscy ortodoksi, to znaczy niezależnie od stopnia gotowości uznania prawa do różnienia się w poglądach w sprawach praktyki i teorii, wyznawca panującej ortodoksji nie wyrzeka się dwóch meta-dogmatów (19). Po pierwsze, wierzy on w meta-dogmat, iż ,,marksizm'' zawiera prawdy nieodwołalne i absolutne, odkryte przez ,,klasyków marksizmu'', których nie można negować lub podać w wątpliwość bez popadania w błędy. Po wtóre, wierzy on w meta-dogmat, iż w określonych warunkach historycznych i społecznych istnieje jedna i tylko jedna droga do socjalizmu. Poza nią nie ma zbawienia i w odmienny sposób nie można zbudować dobrego społeczeństwa. Te dwa meta-dogmaty uzasadniają dwa twierdzenia czerpiące z meta-dogmatycznych aktów wiary przypisywaną im oczywistość i pewność. Teorie ,,marksizmu' o świecie, społeczeństwie, historii, człowieku i jego uwikłaniu w rozwoju społecznym i historycznym dostarczają wiedy prawdziwej i kto tej wiedzy nie uznaje lub w nią wątpi jest z konieczności w błędzie. W dziedzinie praktyki, jedynie Partia, to znaczy jej kierownictwo, jest zdolna wykryć tę jedyną drogę, jaką w danych warunkach historycznych i społecznych może doprowadzić do socjalizmu.

Rewizjonista odrzuca oba meta-dogmaty oraz oba twierdzenia naczelne. Rewizjonista sądzi, iż wszyscy ludzie bez wyjątku są omylni i że jest rzeczą niedorzeczną przypuszczać, by jedna grupa miała mieć monopol na wykrywanie prawdy. Innymi słowy, rewizjonista jest przekonany, iż teorie chronione przed racjonalnym krytycyzmem postanowieniami administracyjnymi nie są teoriami a obiektami wiary, przedmiotami ,,czci dewocyjnej'' osłaniającej ,,brak rozumu i odwagi''. Nieskrępowana wolność myśli jest jedynym gwarantem wykrywania błędów i postępu wiedzy. Praktyka demokracji jest niezbędna do jej realizacji i nieodłączna od budowy socjalistycznego społeczeństwa. W tych sprawach rewizjonistów i ortodoksów dzieli przepaść różnic i nie ma możliwości zbudowania między nimi mostu nad przepaścią. Ich podstawowy charakter sprawia, iż w Polsce spór o rewizjonizm posiada doniosłe znaczenie dla całego społeczeństwa, niezależnie od tego co może dzielić poszczególne grupy od rewizjonistów pod innymi względami. Przed pięciu laty ten wspólny front, potencjalnie nadal istniejący, zademonstrowały wydarzenia październikowe w dramatycznej formie.

Gdy postawimy pytanie, gdzie szukać należy ostatecznego źródła tych dogłębnych różnic, najlepiej jest cofnąć się do porównania zagadnień filozoficznych uwikłanych w sporze o polski rewizjonizm i rewizjonizm w obrębie niemieckiej socjal-demokracji. Pod tym bowiem względem istnieje istotne podobieństwo obu sytuacji.

---

(19) Co do pojęcia meta-dogmatu zob. T. Blakeley, *Method in Soviet Philosophy*, Studies in Soviet Thought (Dordrecht 1961), pp. 17-27.

Zagadnienia filozoficzne, o których mowa, dotyczą stosunku zdań o faktach do zdań wartościujących. Stanowiły one podłoże pojawienia się prądu rewizjonistycznego w obrębie doktryny marksowskiej oraz stałego ich odradzania się w późniejszych jej interpretacjach roszczących sobie tytuł do prawomocnego następstwa i wyłącznej autentyczności. Wniosek, jaki z tych rozważań należy wyciągnąć, można nazwać tezą o nieuniknioności rewizjonizmu.

(Dokończenie nastąpi)

Zbigniew JORDAN

Wiersze

WIDZIAŁEM OBRAZY VAN GOGHA

Widziałem obrazy Van Gogha: wyrastały na ścianie —
ludzie nie chcieli patrzeć, zakrywali oczy.
On gwałtownymi ruchami tłumaczył powietrze
wykręcał drzewom ręce w stawach, deptał ogień
i zieleni nie chciał wybaczyć.

Widziałem wkoło obrazy. Jedne stały obok
inne odeszły, zapatrzone w siebie —
pyszne, z ogniem w południowych oczach.
Obrazy martwe, pokryte ramami,
te które uschły i te które rosły
obarczone skrzydłami jak roślina tlenem.

Widziałem obrazy w samotnym kostnieniu
niedoświetlone uwagą i słowem
z rzęs im spadały łzy, gdy je mijano.
Stał tam również słonecznik o liściach gwałtownych
w koronie mocniejszej od błyszczących słów
i rósł na oczach do nieba
by upokorzyć słońce.

Widziałem również prowansalskie profile
w piwiarni, gdzie pito piwo pod suchym drzewem pinii —
widziałem kamienie wkopane w rynek po pas
i saboty przekupek które tam i sam
niosły barchanem obłożone ciała:
miały ręce splecione na brzuchu
i pełne podołki pomarańcz.
Takie właśnie widziałem obrazy Van Gogha.

Ale w ścianę uderzył grom i Van Gogha nakryła przepaść,
wyszedł wtedy z miasteczka i poddał się ziemi —
widziałem poskręcane dusze fioletowych drzew
rowy pełne lawy, nakryte ogniem
niebyt kwiatów, wołanie piskląt.
i zenit.
Tak za bramami miasta przyszło trzęsienie świata
malarz zapadł się w ogień.

Widziałem popękane twarze snobów, zapatrzone w siebie
wiszące na ścianie obrazy, skarlałe od otoczenia
i Van Gogha ukrzyżowanego.

Wacław IWANIUK

POWROTY

Jak bardzo jest ciężko wracać —
Ręka szuka klucza,
Stopa szuka progu.
Tak, to tu...
Pająk w rogu,
Budzik z dzwonkiem,
Kurz.

Tyle przyszło i przeszło —
Kilka strun pękło,
Kilka rys pozostało na życiu,
Rysy już nie bolą,
Można zostać.

Dziecko mówi: Mamo,
Czemu gwiazdy mają jedno oko?
Czemu słońce zawsze patrzy
W drugą stronę?
I czemu ty zasłaniasz twarz chusteczką,
Kiedy płaczesz?

Matka mówi: Pojutrze
Będzie znowu jutro.
Po zimie przyjdzie lato.
Żaden piorun
Nie uderzy w nasz dom.
Umyj ręce i zjedz kolację.
Pies już śpi.

Deszcz już spadł
I burza przeszła obok.
Zbiłam jedną szklankę,
Zepsułam jeden wieczór.
Nie umiałam się cieszyć
I nie miałam wiary
W zmartwychwstanie stłuczonych szklanek.
Ale zawsze wiedziałam,
Że wieczory powrócą —
Jak nie dla nas,
To dla nich.

Jak bardzo jest ciężko odchodzić —
Kto nakarmi ryby,
Kto podleje kwiaty,
Kto wieczorem zasłoni firanki?
Co pomyślą krzesła,
Gdy je będzie dotykała
Obca ręka?
Czy cisza umie mówić,
Czy puste miejsce boli,
Czy niewypowiedziane słowa
Brzmią tak samo?

Danuta Irena BIEŃKOWSKA

Toronto, 1960.

OPERACJA

Włożono go
w imadło wszechrzeczy
z góry przykręcono pułap bezwiezdnego nieba
z dołu taflę nieruchomej wody

i zaciśnięto zwolna gwinty

wisiał tak w czarnej próżni
dusząc się
aż tchu mu brakło
i płuca pękały

wtedy bezmyślnym krzykiem buntu
wywołał spięcie biegunów

ruszyły elektrowe tryby
i zębatym kołem
zmiażdżyły kruchą bańkę serca

jak bezkrwista pluskwa
nie zostawił po sobie
nawet śladu krwi

może był zbyt niecierpliwy?
może swym małym móżdżkiem
nie zgłębił przeznaczenia
imadła?

po co krzyczał?

JAK MOŻNA MYŚLEĆ...

jak można myśleć
o trefnych bańkach tulipanów
rzuconych rozrzutnie
przez marzec
na miejskie trawniki

jak można radować się
dudnieniem w słowie
rododendron

czy dłonią czytać
nieznane rysy
nieznanej twarzy

kiedy przed oczyma
zawiązanymi ciemnością
mur strachu

a potylica znaczona nieodwołalnie
znaczona nieodwołalnie
stalowym krzyżykiem
celownika

jak można
jak

ZABAWA

Sam
na opuszczonej plaży
buduje pałace z piasku.

Pytam: dlaczego
nie bawisz się
z innymi dziećmi?

Nie wiem — odpowiada
i z języczkiem z lekka wysuniętym
stawia piaskową basztę.

Pytam: dlaczego
budujesz tu
gdzie wiatr burzy wieżyczki
a woda podmywa mury?

Nie wiem — odpowiada
zdobiąc szczyt piaskowej budowli
papierową chorągiewką.

Wieczorem
zbiera wiaderka i łopatki
i sunąc wolno znużone stopy
przez miałki piasek
odchodzi do domu.

A pałacyk topnieje
w pozłacanych falach
zachodu.

ARGUMENT

mamie poświęcam

Wasze groteskowe koncepcje
rozstrzakały mi świat
na kawałki

i zostałem sam
na śmietniku absurdu.

Jak mogę ja
dziecko wieku prawdziwych kataklizmów
wznieść świątynię nadziei
dla przyszłych pokoleń?

Zniszczyliście mi stare wzory;
nowych nie potrafię stworzyć.
Włóczę się nocami
po ruinach gotyckich kościołów
i grzebię w gruzach

szukam relikwii
czasu minionego

a rumowisko staje się
coraz to większym chaosem.

Czy nie lepiej zaprzestać
tej syzyfowej pracy
i trwać w neutralnym bezczynie
który przynajmniej nie wnosi świeżego zamętu?

Może w końcu przyjdzie pokolenie
egzorcyzmem czasu wyzwolone
od waszych szkaradnych snów
i zbuduje miasto słońca
na równinach nowego dnia.

Niech więc milczenie
stanie się im fundamentem
na którym wizję swą
w ciało przyoblekać będą.

BUNT

nie

nie przyjmę tego
żebyście nawet
rozdarli usta kleszczami
i pchali w gardło kułaki
żebyście świdrowali uszy
trepanowali czaszkę: nie

na samą myśl
kurczą się kości
jak podpalone gałęzie
a ciało wszystkie
woła: nie

jeżeli moje tak
nie może zetrzeć waszych głów
ciskam wam w zęby
moje nie

powtarzam: nie

Andrzej BUSZA

Archiwum polityczne

Drugi pogrzeb Stalina

Niełatwo w naszych czasach zajmować się w spokojny i rzeczowy sposób rozważaniem problemów sowieckich. Jesteśmy świadkami głębokiej degeneracji badań i studiów wschodnio-europejskich. Pod wpływem pewnych kół stało się bowiem rzeczą bezcelową (i mało popłatną) pisanie artykułów, w których nie byłoby koniecznych wzmianek o ,,dyktatorze'' i ,,samowładcy'' Chruszczowie oraz paru urągań na system sowiecki. Jeśli zaś chodzi o XXII kongres KPZS trudności są dodatkowe. Na zjeździe tym Chruszczow i jego zwolennicy posługiwali się niezwykle sugestywnymi środkami apelowania do uczuć ludzkich. Przypomniano zbrodnie Stalina i duchy pomordowanych starych bolszewików. Lista zbrodni popełnionych przez członków tzw. grupy antypartyjnej została uzupełniona wielu szczegółami, które dotychczas nie były znane na Zachodzie. Punktem szczytowym tych zabiegów była powzięta 31 października uchwała zjazdu o usunięciu zwłok Stalina z mauzoleum Lenina i umieszczeniu ich pod murem Kremla, gdzie leżą pogrzebani inni przywódcy komunistyczni. Gdy w niedługim czasie usunięci zostaną z partii najbliżsi współpracownicy zmarłego dyktatora — Mołotow, Kaganowicz, Malenkow — stanie się oczywiste dla każdego obywatela sowieckiego, że ów drugi pogrzeb Stalina jest równoznaczny z pośmiertnym wykluczeniem go z partii.



Komentatorzy, którzy zajmują się wyłącznie anegdotyczną czy dramatyczną i obliczoną na psychologiczne oddziaływanie stroną zjazdu partyjnego — wyświadczają Zachodowi niedźwiedzią przysługę. Rozszerza się wprawdzie znajomość różnych interesujących szczegółów pomieszanych z karkołomnymi spekula-

cjami i domysłami, ale bez odpowiedzi pozostaje pytanie, dla czego do tego wszystkiego doszło i jakie jest socjologiczne tło tych wydarzeń. Problemem dzisiaj dla nas najważniejszym jest zorientowanie się jakie są obecne tendencje rozwojowe społeczeństwa sowieckiego, i jakie z tego wypływają dla nas konsekwencje. W komentarzach specjalistów zachodnich problem ten pozostaje prawie że nieuwzględniony — przeważnie wysuwają na pierwszy plan spory między komunistami.

Dwie fale antystalinizmu

Od śmierci Stalina (marzec 1953) po dzień dzisiejszy obserwujemy dwie fazy procesu destalinizacji.

Pierwsza rozpoczęła się natychmiast po zgonie dyktatora odznacza się następującymi cechami:

1) Zasada wodzostwa została zastąpiona zasadą kolektywnego kierownictwa w partii. Posiadamy niewiele informacji o pierwszych krokach na tej drodze. Zapewne przebiegały one w sposób rewolucyjny i krwawy. Rozbity został stalinowski aparat terroru, zgładzona została zapewne ,,szara eminencja'' epoki zbrodni — prywatny sekretarz Stalina — Poskrybeszew, zlikwidowane ministerstwo bezpieczeństwa publicznego (MGB) i aresztowani niektórzy oficerowie bezpieczeństwa.

2) Drugą cechą charakterystyczną była walka o przywrócenie czołowej roli partii w społeczeństwie. Jako dziedzictwo systemu stalinowskiego pozostały potężne aparaty biurokratyczne, które i w nowej sytuacji chciały zachować swoje uprzywilejowane stanowiska. Beria zapłacił głową za próbę zapewnienia niezależności aparatowi bezpieczeństwa wobec partii. Malenkow z kolei reprezentował tych funkcjonariuszy aparatu państwowego gospodarczego, którzy pragnęli uniezależnić się od partii. Malenkow musiał odejść, podobnie jak później marszałek Żukow który zmierzał do wyemancypowania armii spod kontroli partyjnej.

3) Trzecim znamieniem tego pierwszego stadium było wreszcie przywrócenie tzw. praworządności socjalistycznej, usunięcie samowoli organów bezpieczeństwa i szereg zarządzeń zmierzających do ulepszenia systemu wymiaru sprawiedliwości.

Procesowi temu towarzyszył szereg innych zarządzeń, jak np. częściowa rehabilitacja ofiar Stalina i przesiedlonych narodowości, likwidacja obozów koncentracyjnych, itp. W tej fazie destalinizacji wyraźna jest jednak pewna zasadnicza tendencja następcy Stalina nie są zainteresowani w prawdziwej rozprawie ze stalinizmem, pragną usunąć tylko najbardziej jaskrawe ,,błędy'' systemu. XX zjazd partyjny bardzo dokładnie wykreślił przebieg dopuszczalnej granicy procesu destalinizacji. Jeszcze dokładniej została ona wytyczona w uchwale KC KPZS z 3 czerwca 1956 o ,,przezwyciężeniu kultu jednostki i jego konsekwencji''. Napiętnowane zostały haniebne czyny Stalina, równo

cześnie zaś najbliżsi jego współpracownicy — Malenkow, Kaganowicz i Mołotow — występowali na zjeździe jako czołowi mówcy i nagradzani byli przez delegatów ,,długotrwałymi oklaskami''. Chruszczow zaprezentował wówczas sędziwego Woroszyłowa jako ,,ofiarę Stalina'', który insynuował mu, że jest brytyjskim szpiegiem i kazał zainstalować w jego mieszkaniu urządzenia podsłuchowe. Powołując się na autorytet Bułganina Chruszczow wyszydzał talenty wojskowe zmarłego ,,generalissimusa''.

Rozpatrując socjologiczne tło tych wydarzeń dochodzimy do następującego wniosku: w owym czasie Chruszczow zmuszony był rozpocząć destalinizację w specyficznych warunkach, tzn. wspólnie z tymi przywódcami, którzy byli nie tylko wykonawcami, ale i inspiratorami zbrodni Stalina. Być może inne rozwiązanie nie było wówczas możliwe. Biurokracja sowiecka przeżyła bowiem swego twórcę, Stalina, i w tych warunkach trudno było o radykalne rozwiązania.

Druga fala destalinizacji jest natomiast następstwem zupełnie nowego rozwoju sytuacji w Związku Sowieckim. Rozpoczęła się ona, w momencie gdy okazało się, że przejście społeczeństwa sowieckiego na wyższy szczebel rozwoju wymaga jakościowej zmiany całego systemu, że biurokracja typu stalinowskiego i stalinowska teoria o budowie socjalizmu są przestarzałe. Reformy Chruszczowa rozpoczęły się w roku 1957. Pierwsza z nich dotyczyła kierowania gospodarką przemysłową i budowlaną. W ślad za nią przyszła reforma stacji traktorowo-maszynowych (wiosna 1958) i reforma szkolnictwa (grudzień 1958). ,,Antypartyjna grupa'' Malenkowa, Kaganowicza, Mołotowa, Bułganina, Saburowa, Pierwuchina, Szepiłowa i — jak się okazało obecnie — Woroszyłowa, została zmuszona do złamania *gentlemen-agreement* postalinowskiej biurokracji komunistycznej. Okazało się, że grupa ta nie jest w stanie nadążyć za biegiem wydarzeń. To były wstępne kroki w procesie przemian społecznych w Związku Sowieckim. Przemiany te były całkowicie sprzeczne z poglądami Mołotowa, Kaganowicza i Malenkowa na budowę komunizmu. ,,Grupa antypartyjna'' uzyskała chwilowo większość w prezydium KC i w czerwcu 1957 pokusiła się o nałożenie kaftana bezpieczeństwa Chruszczowowi. Członkowie tej grupy nie uwzględnili jednak faktu, że obiektywne przemiany w społeczności sowieckiej osiągnęły nową fazę postępu technicznego i automacji, że konsekwencją tych przemian stało się wielkie przewartościowanie jakościowe i że w tych warunkach pozycja ,,grupy antypartyjnej'' była nie do obronienia.

Tak rozpoczęła się więc w Sowietach druga faza destalinizacji. XXII zjazd partyjny nie stanowi jeszcze jej punktu szczytowego.

Wszystko to nie wystarcza jednak do pełnego zrozumienia XXII zjazdu. Zjazd ten poprzedziły *kongresy partyjne w czternastu republikach sowieckich,* które odbyły się we wrześ-

niu. Moskiewska centrala partyjna przeprowadziła bardzo zręcznie podział ról. Wymienione zjazdy partyjne w poszczególnych republikach stały pod znakiem niezwykle ostrej, dotychczas w tej formie niespotykanej, krytyki braków w gospodarce republik. Okazało się, że rolnictwo w Związku Sowieckim nie jest w stanie osiągnąć wskaźników planu siedmioletniego. Błędna polityka biurokracji na odcinku budownictwa spowodowała ostry kryzys w wykonaniu planu inwestycyjnego: szereg ważnych obiektów planu siedmioletniego nie został na czas ukończony. Mimo tego, że przemysł wykonał plan z nadwyżką, szereg gałęzi nie wykonało zadań produkcyjnych. Zjazdy partyjne w republikach wskazały od razu na winowajcę tych zaniedbań. Jest nią *nieudolna, skorumpowana i skostniała biurokracja typu stalinowskiego*. Centralny, moskiewski zjazd partyjny odbył się natomiast pod znakiem rozważania zasadniczych problemów, pod znakiem walki z ,,grupą antypartyjną''.

Na XXII zjeździe opublikowano obszerną dokumentację, która potwierdza bezpośredni udział Mołotowa, Kaganowicza i Malenkowa w licznych zbrodniach Stalina. Błędem byłoby jednak nie dostrzegać, że wszystkie te zarzuty wysunięto z myślą o rzeczy bardziej istotnej, mianowicie o tym, co robili owi przywódcy komunistyczni w *ostatnich latach*. Sprzeciwiali się oni mianowicie reformie kierowania przemysłem i gospodarką budowlaną, walczyli z reformą stacji maszynowo-traktorowych, wykpiwali reformę szkolnictwa — słowem, jak wyraził się Chruszczow na XXI zjeździe, opowiadali się za utrzymaniem dotychczasowego biurokratycznego kursu sowieckiej polityki.

Przypominanie minionego okresu stalinowskiego jest zatem tylko jednym z elementów obecnej strategii Chruszczowa, która stawia sobie daleko ważniejsze cele, niż moralne zniszczenie Mołotowa, Kaganowicza czy Malenkowa. Chruszczow nie jest don Kichotem, który walczy z wiatrakami. Garstka stalinistów w KPZS została już tak czy owak całkowicie zlikwidowana. Poprzez rozdmuchanie sprawy grupy antypartyjnej pragnie Chruszczow osiągnąć coś innego. Stawia on mianowicie znak równania między wrogami partii a potężną grupą biurokracji sowieckiej, nie zdolnej dziś do przystosowania się do wymagań nowej fazy rozwojowej w Sowietach. Biurokracja ta zachowała jednak nadal dawną niesamowitą zdolność bronienia swych uprzywilejowanych pozycji w społeczeństwie wszystkimi możliwymi środkami.

Kierunek przemian systemu sowieckiego

Powinniśmy stale uprzytomniać sobie fakt, że ZSSR jest jedynym krajem w bloku wschodnim, który w oparciu o istniejącą już bazę przemysłową podejmuje poważne próby osiągnięcia wyższego szczebla rozwoju w sensie postępu technicznego i auto-

macji. Dwa, spośród wygłoszonych na zjeździe moskiewskim referatów zasługują na specjalną wzmiankę: mądry referat Mikojana oraz zawierający interesujące wskazówki referat szefa propagandy, Iljiczewa. Mikojan potwierdził to, co w międzyczasie mówiło wielu ekspertów gospodarczych w Sowietach: osiągnięcie wyższego poziomu rozwoju możliwe jest jedynie poprzez jakościowe zmiany społeczeństwa sowieckiego. Nie możemy zajmować się tu wszystkimi szczegółami tego problemu, chcemy jednak zwrócić uwagę specjalnie na to, co z różnych względów przemilcza głównie prasa emigracyjna. Rywalizacja między Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi i związane z nią przestawienie się Sowietów na inny typ gospodarki stały się dla sowieckich komunistów sprawą życia i śmierci. W ciągu ostatnich trzech lat planu siedmioletniego poczynili oni szereg gorzkich doświadczeń i doszli wreszcie do wniosku, *że polityka gospodarcza musi opierać się na bazie naukowej.*

Procesy przemian, odbywające się w rezultacie przyjęcia tej tezy, posiadają chyba o wiele większe znaczenie niż swego czasu zapowiedź Stalina o pięcioletnim planie rozwoju przemysłowego Rosji. W pewnej mierze da się przewidzieć w jaki sposób będą rozwiązywane te problemy w społeczeństwie, w którym aparat partyjny żąda dla siebie pełni władzy. Nie powinniśmy powtórzyć błędu, który popełnił Zachód w latach dwudziestych i trzydziestych, kiedy to zamiast trzeźwych badań zachodzących wówczas w Sowietach przemian zadowalano się zbyt często tanimi przepowiedniami rychłego upadku systemu sowieckiego. Dziś sytuacja jest znacznie poważniejsza niż wówczas.

Zastosowanie nauki jako podstawy polityki gospodarczej oznacza w pierwszym rzędzie wypieranie doktryny partyjnej. Już podczas rozprawy z grupą antypartyjną na XXII zjeździe dało się to zaobserwować przy różnych okazjach. W niektórych wypadkach przybrało to formy zgoła groteskowe. Były naczelny redaktor ,,Prawdy'', Illiczew, próbował przedstawić Chruszczowa jako prekursora nowych czasów jeszcze w okresie panowania Stalina. Illiczew przypomniał artykuł Chruszczowa o agromiastach, swego czasu potępiony przez Stalina a później przez Malenkowa na XIX zjeździe partyjnym (1952). Dziś mówi się, że Stalin i jego otoczenie było tą sprawą mocno poruszone, ponieważ nowe pomysły Chruszczowa groziły rozsadzeniem gorsetu ówczesnej doktryny partyjnej. O wiele mądrzej niż inni dyskutanci sformułował Illiczew o co dziś chodzi: ,,Zasada kultu jednostki jest w rzeczywistości próbą rozstrzygania problemów teoretycznych poprzez dekretowanie i stosowanie środków administracyjnych, *jest nadużyciem władzy na odcinku teorii''.*

Wiele takich przykładów dostarcza ostatni zjazd partyjny. Podczas pierwszych trzech lat planu siedmioletniego okazało się, że nie tylko biurokracja, ale także balast doktryny stalinowskiej hamuje dynamiczny rozwój w Sowietach.

Już dziś dostrzec można nowe tendencje rozwojowe w dzie-

dzinie polityki kadr partyjnych i w odniesieniu do całego stylu pracy partyjnej. Obiektywny rozwój wydarzeń zmusił partię do walki o nowy typ funkcjonariusza partyjnego. Miejsce dawnego aparatczyka, który odznaczał się ślepym posłuszeństwem, ma zająć nowoczesny organizator życia gospodarczego, zdolny do rozwiązywania bieżących problemów bez czekania na instrukcje partyjne. Także charakter dyrektyw partyjnych uległ zmianie. Dawniej stanowiły one święte i nienaruszalne prawo. Dziś komuniści sowieccy są już w pełni przekonani przez ekonomistów i ekspertów gospodarczych, że dynamiczny rozwój musi uwzględniać konieczność pewnych poprawek planu, że wyższą formę myślenia ludzkiego stanowi nie myślenie kategoriami statycznymi, *lecz zdolność do szybkiej zmiany hipotez.*

Dramatyczne i działające emocjonalnie momenty ostatniego zjazdu partyjnego przesłoniły niektórym bezkrytycznym obserwatorom te problemy, one jednak stanowią właściwe tło i przyczynę całej akcji destalinizacji.

Dokąd zmierza Związek Sowiecki?

Tak samo już dziś można powiedzieć coś dokładniejszego o pozytywnych i negatywnych stronach nowego etapu rozwojowego w Sowietach. Rozważania takie powinno się, zgodnie z tradycją, rozpocząć od pojęcia ,,wolności'', pojęcia najbardziej w świecie nadużywanego. Znany autor, Fritz Sternberg, przypomina w pewnym miejscu swej dość dobrej książki: ,,Kto będzie panował w drugiej połowie dwudziestego stulecia'' dość banalną prawdę: ,,Nie było jeszcze takiego systemu społecznego, w którym panowałaby *zupełna* wolność''. Znany współczesny pisarz niemiecki, Gerhard Zwerenz, emigrant z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, mówi o tej wolności, którą zastał w Niemczech Zachodnich następująco: ,,Jestem pisarzem i mam swój warsztat pisarski. Także pisarz jest dziś człowiekiem interesu. Mój interes prosperuje jak każdy inny. Raz lepiej, raz gorzej. Przyczyna? Tylko to małe, cichutko wyszeptane słówko ,,Jawohl'' — tak — i już lecą pieniążki. Brak tego słówka oznacza jednak ciężkie czasy. Wolność? Jestem autorem niemieckim goniącym za wolnością, stale zachęcanym do zdrady tej wolności lub — wyraźmy to bardziej elegancko — do manipulacji wokół spraw wolności''.

Zakres wolności w Sowietach jest, bez wątpienia, bardzo szczupły, trzeba go jednak rozpatrywać w aspekcie panującego tam porządku społecznego. Nie ze względów humanitarnych, lecz z uwagi na wymienione tendencje rozwoju gospodarczego, reżym komunistyczny w Sowietach zmuszony będzie dać ludziom więcej swobody. Niewolnik jest dziś dla Chruszczowa zupełnie nieprzydatny. Przed kilku laty wyraził on to prostackimi słowami: praca niewolnicza przestała być opłacalna. Nowoczesny ro-

botnik, obsługujący częściowo lub w pełni zautomatyzowane agregaty, człowiek epoki postępu technicznego, musi posiadać pewien zakres swobody decyzji. XXII zjazd partyjny potwierdził wyraźnie, że tej konieczności nie da się w żaden sposób uniknąć. W związku z tym powstaje pytanie jak poradzi sobie z tą sprawą partia. Chodzi przecież o to, aby nieuniknione rozszerzenie zakresu wolności obywatela sowieckiego nie zagroziło panowaniu partii.

Komuniści sowieccy w nowym programie partyjnym określili wyraźnie stanowisko w tej sprawie. Uważają oni, że rola partii w okresie technicznego postępu i automacji, w okresie przechodzenia do komunizmu musi być *coraz większa*. Pozycja partii nie może jednak opierać się na terrorze. Komuniści uważają, że *wychowywanie mas*, „podnoszenie ich świadomości do poziomu świadomości partyjnej” przyniesie pożądane rezultaty. Mamy w tym potwierdzenie, *jak bardzo oddalił się Chruszczow i jego zwolennicy od pierwotnych tez Marksa i Engelsa.* Dla marksistów zniesienie reglamentacji dóbr konsumpcyjnych oznacza powstanie nowego bezklasowego społeczeństwa oraz maksymalną swobodę decyzji w myśleniu i działaniu. Uważają oni, że proces doskonalenia człowieka jest konsekwencją zniesienia wszelkich form ucisku gospodarczego oraz nieustannej poprawy stosunków społecznych. Zniesienie reglamentacji dóbr konsumpcyjnych oznacza natomiast dla *komunisty sowieckiego* równoczesne *zwiększenie reglamentacji duszy ludzkiej!*

Każdy zwrot historyczny oznacza tak w Sowietach — jak i gdzie indziej — wyzwolenie nieprzewidzianych procesów, które często rozsadzają ustalone planem ramy. Można to było zauważyć już podczas XXII zjazdu. Na ulicach Moskwy oglądano sceny, jakich nie znano już od lat dwudziestych. Wszędzie zbierały się większe i mniejsze grupy ludzi otwarcie dyskutujących zaszłe wydarzenia. Nie tylko w Moskwie, lecz w całym Związku Sowieckim wolno dziś w wielu sprawach wypowiadać własne zdanie, przy czym ludzie wiedzą, że nikt z tego powodu nie zostanie aresztowany. Powstaje znów tak bezlitośnie wytępione przez Stalina pojęcie *opinii publicznej*. XXII zjazd otworzył nowe wentyle i fakt ten może mieć historyczne konsekwencje. Znaczenie nowej sytuacji polega m.in. na tym, że na szereg podstawowych pytań ani Chruszczow ani zjazd nie udzielili odpowiedzi. Najbardziej palące jest pytanie, jak mogło w ogóle dojść do zbrodni Stalina, co je umożliwiło? Czy były one następstwem podłego charakteru dyktatora, czy też źródeł zła trzeba szukać w samym systemie. Kwestia ta znalazła się już na porządku dziennym rozważań ludzi w Sowietach i jest rzeczą najbliższej przyszłości znalezienie wytłumaczenia i wyciągnięcia konsekwencji.

Borys LEWICKYJ

Kronika angielska

PACYFIKACJA SPACYFIKOWANYCH

„N. Chruszczow od bardzo dawna przygotowywał się do ataku przeciw marksizmowi-leninizmowi — usiłując poddać rewizji fundamentalne doktryny.

„...ostatnio (Chruszczow) wystąpił ze zdumiewającą tezą, że uchwały kongresu jednej partii komunistycznej obowiązują wszystkie inne partie a jeżeli ktoś ślepo nie akceptuje rewizjonistycznych twierdzeń Chruszczowa przestaje być komunistą".

To są fragmenty z dłuższego artykułu wstępnego z dnia 1.11. br. w „Zeri i Popullit" centralnym organie albańskiej partii komunistycznej.

Co to jest rewizjonizm i kto jest rewizjonistą?

Dla Chruszczowa rewizjonistami są albańscy komuniści i odwrotnie dla albańskich komunistów rewizjonistą jest Chruszczow.

Cytowany artykuł w albańskim piśmie wylicza 25 reprezentacji partii komunistycznych, które nie przyłączyły się do ataku Chruszczowa na albańską partię robotniczą. Chodzi tu przede wszystkim o delegacje krajów z Dalekiego Wschodu tworzące „lobby" chińską.

Ale to są wszystko konsekwencje, być może ogromnej wagi — ale nie wyjaśniające istoty sprawy.

Komunizm totalistyczny stoi i upada dogmatyzmem. Dogmatyzm w teorii i w praktyce sprowadza się do zasady nieomylności. Ktoś musi być władny proklamować dogmat. Jeżeli owego „kogoś" nie ma — nie ma i dogmatyzmu.

Wszyscy teologowie i teoretycy protestanccy atakują zawsze i nieodmiennie dogmat nieomylności papieża w sprawach wiary. Ale gdyby Rzymski Kościół Katolicki raz zrezygnował z tego dogmatu — przestałby być rzymskim, katolickim kościołem i stałby się jednym z dziesiątka wyznań chrześcijańskich. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie kościoły protestanckie chciałyby kościół rzymski sprowadzić do tego poziomu. Wówczas o wszystkim decydowałaby opinia większości w światowej radzie kościołów chrześcijańskich, a nie dogmat nieomylny, proklamowany przez Rzym.

Jeżeli wolno porównywać rzeczy przynależne do dwóch różnych światów — wypada stwierdzić, że Chruszczow popełnił kardynalny błąd poświęcając dogmat „nieomylności" na ołtarzu wewnętrznej rozgrywki. Być może nie miał innego wyjścia. Niemniej, podważenie zasady „nieomylności" Moskwy w sferze wykładni doktryny komunistycznej — będzie miało z całą pewnością w przyszłości wręcz rewolucyjne następstwa.

Przywykliśmy uważać stalinizm za synonim dogmatycznego, reakcyjnego komunizmu. Ale stalinizm może być jeszcze czymś zgoła innym. Na wewnątrz stalinistami mianuje się członków opozycji, czyli tzw. grupę antypartyjną. Na zewnątrz stalinistami mianuje się wszystkich tych, którzy orien-

tują się na Pekin a nie na Moskwę. Innymi słowy, stalinizm staje się synonimem postawy ,,anty-moskiewskiej" — co niewątpliwie stanowi jeden z większych paradoksów dwudziestego wieku.

Osobiście nie uważam za wykluczone, że za kilka czy kilkanaście lat — gdy rywalizacja między Pekinem a Moskwą zaostrzy się — Chiny (bez względu na swój własny stalinizm) — poprą każdy rząd komunistyczny w Europie wschodniej, który wykaże postawę opozycyjną w stosunku do Moskwy. Kto wie czy Kisielewski i Mackiewicz nie przedwcześnie potępili tzw. ,,egzotyczne sojusze". Od granicy albańskiej do Pekinu jest ponad 3.000 mil w linii powietrznej. Trudno więc chyba o sojusz bardziej ,,długodystansowy" i bardziej egzotyczny. Jeżeli mały kraik, który w sumie liczy mniej mieszkańców niż Warszawa — może podnieść jawny bunt i mieszać Chruszczowa z błotem — stanowi to groźne memento.

22-gi Zjazd góruje nad poprzednimi zjazdami pod każdym względem. ,,Tajny" referat Chruszczowa wygłoszony na 20-tym Zjeździe nie został nigdy udostępniony społeczeństwu Związku Sowieckiego. Teraz cała rewolucja antystalinowska odbyła się publicznie z makabryczną ,,ewakuacją" zwłok dyktatora włącznie.

Prasa zachodnia i periodyki sowietoznawcze poświęciły wiele miejsca analizie 22-go Zjazdu. Wydaje mi się jednak, że nie zwrócono dostatecznej uwagi na problem rewizjonizmu.

Istnieją dwa typy marksizmu. Mamy *utility* marksizm, reprezentowany przez Chruszczowa, oraz marksizm wyzwolony z pęt zarówno dogmatów jak i politycznego oportunizmu. Ten drugi typ marksizmu reprezentował Stawar i wszyscy polscy rewizjoniści. Stawar nie zgadzał się w stu procentach z rewizjonistami — jeżeli przez rewizjonizm rozumieć ,,niedośpiewaną pieśń" ,,Po Prostu". Ale uznał pod koniec życia, że dla politycznej *utility* nie można poświęcać całej prawdy. Uznał również, że prawda w sensie społeczno-ideologicznym nie jest pojęciem statycznym, lecz ewolucyjnym. Prawdę zdobywa się poprzez cierpliwe, niezależne badanie, które możliwe jest tylko w ramach zabezpieczonej wolności.

Istnieje odwieczny dramat pomiędzy ,,ideą-teorią" a praktyką. Realizacja każdej teorii okupiona jest łańcuchem kompromisów. Ale suma kompromisów popełnionych w imię danej idei — nie może stanowić jej zaprzeczenia. I to jest testament Stawara a zarazem fundament myśli rewizjonistycznej.

Stalin wychowany i wykształcony w tradycji cerkwi prawosławnej — — dążył do identyfikacji ,,kościoła" i państwa. Wówczas nie ma różnicy pomiędzy marksizmem ,,roboczym" a marksizmem teoretycznym. Nie ma różnicy pomiędzy doktryną a polityką. Państwo i ,,kościół" stanowią jeden monolit. Nie ulega wątpliwości, że absolutny totalizm tylko tą metodą może być realizowany.

Monolityczny komunizm upadł nieodwołalnie. Byłoby naiwnością sądzić, że mamy do czynienia tylko z dwoma frakcjami tzn. stalinistów i antystalinistów. Istnieją dziś liczne szkoły stalinistów i niemniej liczne antystalinistów. Isaac Deutscher w jednym ze swych artykułów w londyńskim ,,The Observer" napisał, że wielu stalinowców (umiarkowanych) popiera Chruszczowa w nadziei (uzasadnionej), że obecny premier Związku Sowieckiego nie pójdzie zbyt daleko w swoim anty-stalinizmie. Jest wielu radykalnych anty-stalinowców którzy, gdyby mieli władzę, poszliby niepomiernie dalej niż prem. Chruszczow.

U nas jest sytuacja podobna. Wielu stalinowców popiera Gomułkę w uzasadnionym przekonaniu, że tow. Wiesław reprezentuje anty-stalinizm niezmiernie umiarkowany.

Dopiero dziś widzi się jasno, że rewizjoniści w Polsce skapitulowali zbyt łatwo. Skapitulowali, mimo że Historia jest po ich stronie. Nikogo nie namawiamy do tworzenia grup anty-partyjnych tym mniej do jakiejkolwiek działalności podziemnej. Ale światli, młodzi marksiści (a są i tacy) winni wyciągnąć ostrożne ale zarazem odważne konsekwencje z historii 22-go Zjazdu. Komunizm przestał być monolitem a Moskwa przestała być nieomylna. Dogmatyzm i ,,Führerprinzip'' prowadzi nieuchronnie nie tylko do publicznego prania skrwawionych szmat, ale do załamania się całej skali wartości komunistycznego świata.

Woroszyłow, twórca sowieckiej armii, został wykopany z trybuny honorowej i patrzył na ,,październikową'' defiladę swojej armii podtrzymywany przez sprzedawczynię lodów. Chruszczow zbliża się do 70-ki — ale ani on sam, ani nikt inny nie umiałby powiedzieć gdzie spoczną jego zwłoki i ile razy będzie ekshumowany.

A co myślą o sobie (nie o Stalinie) jakże liczni polscy poeci i pisarze, którzy wypisywali ody na cześć dyktatora.

Nie można traktować poważnie ruchu ideologicznego, który zgłasza pretensje filozoficzno-światopoglądowe i równocześnie orientowany jest tylko jedną busolą, tzn. momentem każdorazowej użyteczności politycznej nawet nie jednej partii, ale frakcji partii sprawującej władzę w danym momencie w Moskwie.

Panowie, którzy wypisywali ody na cześć Stalina — nie mają powodu do rozpaczy. Za parę miesięcy, czy za parę lat, Chruszczow może spocząć w nieznanym grobie, a Stalin triumfalnie powrócić i spocząć po prawicy Lenina. W sowieckim systemie komunistycznym nie ma żadnej skali wartości. Nikt nie jest uczciwy ani nieuczciwy — zasłużony czy niezasłużony. Są tylko ludzie w danym okresie dla partii przydatni lub nieprzydatni — i to jest wszystko.

Dopiero na tle 22-go Zjazdu widzi się, że ,,Październik'' skończył się w Polsce klęską. Negatywną rolę w tym procesie odegrał nie tylko Pax, ale (boleśnie to powiedzieć) ,,Tygodnik Powszechny'' i ,,Znak''. Wyrazem klęski była likwidacja wiary w socjalizm i całkowity indyferentyzm polityczny. Za ideał uważa się ,,pracę organiczną'' w oparciu o postawę ideologicznie obojętną.

Mieliśmy w przeszłości wielu polityków prorosyjskiej orientacji — ale ci z nich, którzy coś znaczyli nie siedzieli w Krakowie tylko w Rosji — często na wybitnych stanowiskach — a ich program nie obejmował nigdy mniej niż pełnej autonomii.

Nasi obecni lojaliści nie tylko sami nie wysuwają choćby najskromniejszego programu, ale wiecznym potakiwaniem starają się spacyfikować ogół Polaków tak w kraju jak i na emigracji.

,,Po co wy wydajecie podziemną literaturę sowiecką? To drażni Moskwę, utrudnia pozycją Gomułki a skrupi się na pisarzach, bo powiedzą, że to ich robota. Że zachęcaliśmy, ułatwialiśmy — i Bóg wie co jeszcze''.

Pomysł przełożenia Stawara na język rosyjski wprawił mego rozmówcę (który jest tylko jednym z anonimowych sympatyków ,,Znaku'') w formalną panikę. ,,To czyste szaleństwo''.

Skończy się na tym, że sytuacja odwróci się o 180 stopni. Lojaliści z Paxu i lojaliści z ,,Tygodnika Powszechnego" stanowić będą najwierniejszą podporę rządu Gomułki. Bo ferment jest tylko w partii i nigdzie poza tym. W swym lojalizmie, w swym anty-rewizjonizmie, w polityce niedrażnienia Moskwy — Gomułka liczyć może przede wszystkim na Pax, ,,Tygodnik Powszechny" i masy udatnie spacyfikowanej inteligencji.

Ideałem jest nie ,,odwilż", nie ruch odnowy — tylko pacyfikacja. Już nie tylko uspakajanie, ale wręcz usypianie umysłów.

Wydaje mi się to ze strony ,,Tygodnika Powszechnego" niepotrzebną dwutorowością. Bo po co pacyfikować spacyfikowanych?

Daniel Passent w ,,Polityce" stwierdził m.in.: ,,Apolityczni i wierzący studenci dziś, to apolityczna i wierząca inteligencja jutro. Reprezentują oni niezaangażowaną, społecznie bierną młodą inteligencję, kadrę ekspertów bezklasowego światopoglądu".

Takich panów nie ma potrzeby pacyfikować. Tacy panowie stanowią lojalną podporę każdej partii rządzącej. Ich ojcowie umierali na barykadach, ale oni zdecydowani są dokonać pracowitego żywota na materacach ,,dunlopillo". Czegoś tu brak. Jak zwykle u nas, brak ogniwa pośredniego — czegoś pomiędzy barykadami, a małomieszczańskim materacem.

REZERWAT

Ulbricht jest najczystszej wody stalinistą. Wyemigrował do Sowietów w roku 1930 i nie tylko przeżył wszystkie czystki — ale popierając ślepo Stalina pomógł do zlikwidowania wszystkich swoich konkurentów w niemieckiej partii komunistycznej.

Tę samą taktykę powtórzył w roku 1939. W kominternowskim ,,Die Welt" napisał entuzjastyczny artykuł na drugi dzień po sygnowaniu paktu Ribbentrop-Mołotow. Wówczas istniała możliwość wydobycia komunistów niemieckich przebywających w hitlerowskich obozach koncentracyjnych Ulbricht przeciwstawił się tym projektom. Innymi słowy, doszedł do władzy klasyczną stalinowską metodą tzn. wymordował cudzymi rękami wszystkich swoich konkurentów.

NRD będzie do samego końca wyspą stalinizmu bo nie może być inaczej. Najmniejsza ,,odwilż" niosłaby z sobą ryzyko ,,rewolucji nacjonalistycznej". Mur Ulbrichta, podział Niemiec, ,,granicę pokoju na Odrze i Nysie" — to wszystko można utrzymać tylko siłą i terrorem.

Słyszałem wielokrotnie od rodaków z kraju opinię, że maksymalna stalinizacja w NRD leży w naszym interesie — bo tylko stalinowski reżym narzucić może społeczeństwu niemieckiemu akceptację granicy na Odrze i Nysie.

Powyższa argumentacja nie trafia mi do przekonania. Osobiście jestem pewien, że w NRD procentowo jest daleko więcej nieubłaganych przeciwników tej granicy niż w Federalnej Republice. Reżym Ulbrichta jest znienawidzony i jest znienawidzone wszystko co ten reżym reprezentuje z granicą na Odrze i Nysie włącznie.

Dla przeciętnego Niemca w NRD granica na Odrze i Nysie jest jedną z klęsk elementarnych, spowodowanych przez komunizm na równi z brutalną kolektywizacją, z tajną policją, z murem przecinającym Berlin itd. Znako-

mita większość Niemców w NRD nie uznaje tej granicy tylko dlatego, że uznaje ją Ulbricht i jego reżym. Ulbricht nie jest niemieckim Władysławem Gomułką, ale od samego początku jest sowieckim prokonsulem. Przyjął na długo przed wojną obywatelstwo sowieckie i sądzę, że do dziś je posiada.

Dlatego, w moim zrozumieniu, na dalszą metę stalinizm z Ulbrichtem na czele nie tylko nie sprzyja pogodzeniu się Niemców z granicą na Odrze i Nysie, lecz wprost przeciwnie, proces ten niezmiernie utrudnia. Dopóki za tą granicą opowiada się tylko rządząca w NRD agentura obcego mocarstwa, będzie rzeczą niezmiernie trudną przybliżyć do naszego punktu widzenia jakiekolwiek niezależne czynniki niemieckie, bo któż ma ochotę adoptować tezę reprezentowaną przez agenta, stalinowca, Ulbrichta?

Nie należy się łudzić. Stalinizm nigdy i nigdzie nie leży w naszym interesie, a już w żadnym wypadku nie leży w naszym interesie stalinizacja ustrojów naszych sąsiadów tj. Rosji i Niemiec.

Stalinowiec Ulbricht drogą cenzury, policji i terrorem z jednej strony dławi odruchy antypolskie (i to nie wszystkie) — z drugiej zaś strony nienawiść jaka obciąża jego konto i reżymu — przenosi na problem granicy polsko-niemieckiej. I obawiam się, że to będzie jedyny trwały legat jaki Ulbricht zostawi po sobie w Niemczech wschodnich.

WYRZUCONE PIENIĄDZE

W październiku przez trzy dni obradowała w Paryżu w wielkiej, pozłacanej sali Palais d'Orsay — ,,piąta nadzwyczajna sesja ACEN''.

Nie mogę powiedzieć, że tam byłem — miód i wino piłem. Opieram się więc na świadectwie prasowego organu gen. Andersa, ,,Orła Białego'' — który w artykule redakcyjnym w numerze z 9. 11. br. pisał między innymi:

,,Nadzwyczajna sesja ACEN-u, a więc politycznej reprezentacji dziewięciu ujarzmionych krajów i stu milionów ludzi — zdołała zainteresować jedno tylko radio: Wolną Europę, jedną telewizję: niemiecką, oraz paru zaledwie dziennikarzy zachodnich. Wpadali oni wprawdzie od czasu do czasu do sali, ale do swoich pism przeważnie wysyłali barwne opisy ulicznych manifestacji Algierczyków.

Karygodne niedołęstwo organizacyjne; przygotowanie sesji w największej tajemnicy; odgradzanie się ,,acenowym'' murem od żywych ludzi, od mas emigracyjnych i ich organizacji; przestarzałe i już dawno myszką trącące podchodzenie do zagadnień prasy i propagandy — mściły się teraz bezlitośnie''.

Należy dodać, że ACEN odgradza się murem nie tylko od żywych ludzi, ale i od żywej polityki. Stare, przebrzmiałe slogany nie mające żadnego związku ani z sytuacją w krajach ujarzmionych ani z polityką mocarstw Zachodu — podnosi się do rangi propagandowego rytuału. Ale w gruncie rzeczy to nawet nie jest propaganda. ACEN to jest instytucja zajmująca się biurokratyzowaniem frazesów.

Na tę patetyczną choć nie z tego świata imprezę wyrzuca się dziesiątki jeśli nie setki tysięcy dolarów.

Nie wysuwamy żadnych personalnych zastrzeżeń. Przeciwnie, wielu ludzi związanych z ACEN cieszy się naszą sympatią i szacunkiem.

W orwellowskim „Roku 1984" — obowiązywała sowiecka zasada, że „kto nie pracuje ten nie je". Wobec tego partia stworzyła fikcyjne biura z fikcyjnym urzędowaniem specjalnie dla „bywszych ludzi".

Chodzi nam o zasadę. Nie należy kopiować orwellowskiego koszmaru w ramach świata zachodniego. Nie należy tworzyć i utrzymywać fikcyjnych instytucji tylko dlatego, by pomóc garści starszych panów. Byłoby niepomiernie taniej i niepomiernie celowiej przyznać tym panom stałe stypendia — co umożliwiłoby im oddanie się np. pracy pisarskiej czy naukowej z większym dla wszystkich pożytkiem.

KSIĄŻKA A. STAWARA PO ROSYJSKU

Wielu naszych Czytelników przyzna, że byłoby rzeczą wielkiej politycznej wagi dać Rosjanom właśnie teraz, po XXII Zjeździe, „Ostatnie pisma" Andrzeja Stawara w przekładzie rosyjskim. W ten sposób polski marksista, o niespotykanej uczciwości intelektualnej, mógłby zza grobu prowadzić swoje dzieło rewizji i twórczego fermentu. W tej dziedzinie nikt z nas, piszących, nie może nawet porównać swoich możliwości ze Stawarem. Wydanie pism Stawara po rosyjsku jest celowym skierowaniem osiągnięć polskiego intelektu we właściwym kierunku i jeżeli coś jest polityką, to właśnie *to jest polityką*. Ale na tego typu wydawnictwa trzeba pieniędzy. Dlatego apelujemy do naszych Czytelników: Niech każdy z Was w najbliższych trzech miesiącach przyśle przynajmniej jednego funta na Fundusz Wydawniczy „Kultury". Jeżeli chcesz Czytelniku by Twój funt nie rozmienił się na slogany i propagandę, ale świadczył o Tobie jako o politycznym emigrancie — przyślij go nam. I przyślij go zaraz!

LONDYŃCZYK

Zieloność i pajęczyna

Zwycięstwo

Zielono. Tyle drzew, tyle trawy.

Wzruszają kwiaty na skwerach, latarniach, w kioskach, a zwłaszcza na balkonach, gdy tłem ich są brzydkie mury, albo stare zranione w Powstaniu, albo nowe jeszcze nieotynkowane czy też już obdrapane.

Gruzów nie widać, a w każdym razie nie rzucają się w oczy.

Trawy robi się jakoś dużo. Cała łąka gęsto nakrapiana białą koniczyną, kolorowy łubin, niby to dziki, niby to grządka, piękny klomb w kształcie warszawskiej syreny z czerwonych liści. W głębi, zza drzew Ogrodu Saskiego, wyłania się wszechobecny, „maleńki ale za to w dobrym guście" Pałac Kultury. Na szczęście jest daleko.

Blisko na słupku, na tle gołego nieba, napis: WIERZBOWA. Gdzie wśród koniczyny czerwieni się syrena, onego czasu bielił się piękny pałac Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na tle nieba i drzew, na tym słupku wyrastającym sobie z ukwieconej łąki, drugi napis: PLAC ZWYCIĘSTWA.

W lewo spalony pałac Kronenberga na Królewskiej, w prawo dźwigający się kolos nowej Opery, a na wprost trzy łuki, resztki dawnej kolumnady. Grobowa płyta: TU LEŻY ŻOŁNIERZ POLSKI POLEGŁY ZA OJCZYZNĘ.

Partyzantka, Dywersja, Sabotaż, Gwardia Ludowa, A.K., A.L., Bataliony Chłopskie, Getto, Powstanie... Monte Cassino 1944, Lenino 1943, przedtem Tobruk, Narvik... przedtem 1939 od borów Tucholskich po Kock... A przedtem?

Nie, oczywiście nie 1920.

Więc zaczyna się ta litania 1 września 1939, data przełomowa, historyczna, logiczna?

Nie.

Początek historii, to Madryt 1936, Ebro 1938.

Dopiero w następnym roku i w trzecim wierszu tablicy przychodzi ten polski wrzesień, który rozżagwił się w Drugą Wojnę światową.

Na grób żołnierza polskiego poległego za ojczyznę pasują biało-czerwone kwiaty. Ale te hiszpańskie bitwy wołają głośno, że oficjalny hołd należy się tylko czerwoności. Jak gdyby Polska była tylko przypadkiem, a jej historia fragmentem.

Wzrok, słuch i mowa

Na szybie czerwonego autobusu produkcji francuskiej napis: SORTIE DE SECOURS. Nogi na amerykańskich szpilkach ostrożnie szukają bezpiecznych miejsc wśród wypukłych listew i rowków drewnianej podłogi. Nad głową zadziwia białość nieupstrzona ogłoszeniami. „Co za marnotrawstwo" — sarkałyby agencje z Madison Avenue — „tyle stóp kwadratowych w tylu miejskich autobusach, ile to dolarów rocznie? Reklama jest dźwignią handlu, dobrobyt zawdzięczamy reklamie!".

A tu ciężarówki szare bez firm, tylko drobnymi literkami na drzwiach szoferki wypisane państwowe to czy tamto. A tu w radio nic się nie reklamuje. A tu w gazetach tylko drobne ogłoszenia. Owszem, są szyldy sklepowe, ładne graficznie, nawet neony, godne i dostojne, jednokolorowe, nie mrugające: JEDWABIE. OBUWIE. KONFEKCJA. WEŁNY. Bez nazwisk, bez nazw.

Brak reklam pozbawia miasto kolorowych akcentów. W lecie są barwne suknie, ładne stoiska kwiatowe, ale w zimie? Czy tylko czerwoność autobusów ożywia szarość murów i bruków?

Wiele ładnych wystaw, ale sklepy jakoś zupełnie nie wciągają klienta. W New Yorku zdają się operować na odległość mackami świateł, olbrzymich przestrzeni wystawowych, wysuniętych w ulice i cofniętych w głąb budynku. Tutaj są jakieś dyskretne. Nie chodzi o jakość towaru, który może zmieniać się od skromnego do luksusowego, ale o samą koncepcję sklepu, na businessową, nie handlową, bez wysilania się na tricki dla zdobycia klienta. Architekt może cieszyć się z prawidłowości i piękna domu: cały parter przygląda się ulicy szeregiem jednakowych półokrągłych okien, za którymi widać kolejno i kawiarnię i jakieś

biuro i sklep. Ale chyba żaden kupiec nie wynająłby jednego z tych lokali dla sprzedaży swego towaru, mającej dać mu zysk.

◆

Pierwsza rzecz — rejestracja w ambasadzie amerykańskiej. Bo kto ICH tam wie, strzeżonego Pan Bóg strzeże, niech Uncle Sam dba o swych nowych obywateli. Potem meldowanie polskie, najpierw dzielnicowe. Ciasny lokalik, na żarówkę nałożony lejek z gazety, dwie doniczki z uschniętymi roślinkami, zatłoczona ławeczka i kolejka stojących. Urzędniczka jest uprzejma i życzliwa.

— Metryczkę pan pozwoli, a pani zaraz wypełniam to zgłoszenie do przedszkola. Dobry wieczór pani, musi pani zaczekać na piecząteczkę, szuflada zamknięta, koleżanka z kluczem zaraz przyjdzie... Nie, to jeszcze nie wszystko, proszę pana, trzeba jeszcze dołączyć poparcie wniosku z Instytucji (w głosie słychać to duże I).

— Państwo puszczą mnie z łaski swojej — odzywa się głos przy drzwiach — ja tylko dowód odebrać. Już trzeci raz zwalniam się z pracy za tą jedną sprawą, a tu zawsze coś, to druczków zabrakło, to znów ta z kluczem od szuflady nie przyszła...

Iluż to papierków wymaga zwykły żywot człowieka poczciwego!

— O, naczeka się pani po urzędach Polski Ludowej — objaśnia sąsiadka w kolejce, otaksowawszy najpierw wprawnym okiem buty, pończochy (już w maju nikt ich w Warszawie nie nosi), torbę i wszelki ciuch, pochodzący z przedziwnego kraju, w którym w ogóle nie istnieją meldunkowe czy adresowe urzędy i buja człek nie zapisany od Atlantyku po Pacyfik.

Z różowym odcinkiem mieszkaniowego meldunku i z nie swoim trochę uczuciem, jako że w potocznym języku mówi się o meldowaniu w U.B., trzeba teraz iść do głównej komendy milicji w Pałacu Mostowskich. Biuro dla cudzoziemców. Czyste kolorowe, nowoczesne i eleganckie. Prospekty zagranicznych linii lotniczych, dobre światło, rośliny w doniczkach podlane i kwitnące. Dziwne uczucie, żeby w rodzonej Warszawie zaliczać się do cudzoziemców.

— Pani tak dobrze pisze po polsku — z uznaniem stwierdza urzędnik śledząc ruch pióra po formularzu. — I żeby od kiedy to od stycznia 1940 roku, nie nabrać obcego akcentu?

◆

Autobus jedzie szybko szerokimi ulicami nie znającymi — jak na razie — przekleństwa powszechnej motoryzacji. Trzeb

uginać nieco nogi w kolanach aby odczytywać przez szybę nazwy ulic, białe na granatowych tabliczkach.

— Abonament ulgowy pani będzie łaskawa — mówi pasażer pokazując jakąś legitymację.

— Środek pani będzie łaskawa! — woła wysiadający jegomość do konduktorki. Ach, więc to tak się mówi *Out, please,* albo *Getting off,* jaka długa ta prośba o otwarcie drzwi i co za Wersal!

— Czy pan leci Marszałkowską, czy Nowym Światem i Krakowskim? — pyta zdyszany pasażer dopadając przystanku na Placu Unii.

„Leci"! Samo nie przyszłoby na język. Autobus pośpieszny rzeczywiście pędzi, ale nie chodzi o szybkość. Warszawska gwara uskrzydliła i tramwaj i każdy pojazd.

— Polecimy Alejami — mówi taksówkarz.

— Niestety, nie mogie polecieć aż na Żolibórz — żałuje szofer rządowy, dorabiający przewożeniem pasażerów „na łebka" po drodze po Pana Dyrektora. — Ale tu akurat ma pani przystanek pospiesznego, trasą W-Z raz dwa zajadzie.

Na przystankach są ławki, tabliczki z dokładną trasą i rozkładem jazdy, jak w Paryżu. Proszę, proszę! Gdzie tam Nowemu Jorkowi do Warszawy! Jakie czyste ulice, jak zielono, ile kwiatów — cieszy się połowa serca. A druga połowa ściska się boleśnie na widok zaniedbanych klatek schodowych i rozpaczliwie tandetnych nowych domów.

◆

Szybko jednak mija ostrość pierwszych wrażeń, oczy i uszy przestają chwytać. Tylko zapachy — te odczuwa się do końca, stety przy jaśminie i poziomkach, niestety przy... lepiej zamilczmy.

Już nie ma co krok zdziwienia. Już nie stawia oporu wielgachny klucz od windy, która nie zna guzikowego przywoływania na górę i dochodzi tylko do IV piętra, chociaż dom jest pięciopiętrowy. Już automatycznie przypomina się godzina wieczornego mycia — bo po 11-tej nie będzie wody tak wysoko, wyłączają się bowiem dodatkowe pompy robiące zbyt dużo hałasu. Już za pierwszym wychytrzonym pociągnięciem sznurka, pełniącego obowiązki łańcuszka, spuszcza się krnąbrna woda, bez szumu i bez należytego impetu, a za to z jękiem i zgrzytem dźwigni w zbiorniku.

— Jednak nie wynarodowiłaś się, miałam tu kilka cudzoziemek i ani rusz nie umieją pociągnąć, nie mają wyczucia! — z uznaniem stwierdza przy tej okazji Hanka.

Już wiadomo którędy leci pośpieszny, a którędy Setka, bez pudła wyciąga się 60 groszy na trolejbus, 80 gr. na autobus, a tylko 50 gr. na tramwaj. Już nie tak uderza, choć ciągle bawi superlatyw „wdechowa babka", już bez zająknienia mówi się o kociakach i o wczasach i już w ogóle nie pchają się na język angielskie zwroty.

Rozkładając lekkie i zgrabne łóżko polowe rosyjskiej produkcji, Dziunia uśmiecha się wieczorem:

— To nieprawda, że ty w ogóle wyjeżdżałaś!

Oni

„Dla rozpoznania elity władzy naszych czasów należy wskazać właściwy sens anonimowego określenia ONI, które niższe warstwy ludności przeciwstawiają anonimowemu określeniu MY". Wright Mills: *The Power Elite.*

Tak jest pewno wszędzie na świecie. Ale w Polsce jest i tak i nie tak, bo tu każda definicja i każda teoria wikła się wśród paradoksów. W potocznej mowie i na pierwsze pobieżne nastawienie ucha, ONI to władza. ONI występują co trzy zdania i należy raczej polować na MY. Nie: „co myśmy przeszli", za Niemców czy za Stalina, kiedy wszyscy porządni Polacy byli po stronie MY; ale teraz, dziś, kiedy nic nie jest proste.



— Czerwona burżuazja, psia krew — syczy przez zęby taksówkarz-śledziennik koło Domu Partii. — Niechby tych Amerykanów pokręciło, jak tego ich Roosevelta właśnie wtedy, że nas pod tych czerwonych wpakowali, kto wie czy jeszcze sami nie powąchajom z bliska, już majom czerwoną burżuazję na Kubie!

— Zawsze i wszędzie jest jakaś burżuazja, rząd, klasy...

— No tak! Ale dawniej to była szlachetna burżuazja, a teraz to chamstwo, cholera! Tylko drętwe mowe trzymać umiejom, żyć człowiekowi nie dajom. Zarabia się niby te półtora tysiąca, a skąd się drugie półtora tysiąca dokradnie, to ICH nic nie obchodzi!

Inny taksówkarz ma usposobienie pogodniejsze. Jadąc nadwiślańskim bulwarem objaśnia:

— Ten Stadion Dziesięciolecia udał IM się, to szkoda gadać. Widziała pani tę rzeźbę, trzej faceci co biegną, nie tylko do figury, ale jak ich Pan Bóg stworzył? To repatrianci z Rosji! Bo nadzy i na zachód ganiają!

◆

ONI przemianowali wiele ulic. Mało IM nowych dzielnic, niechby tam pakowali tych wszystkich bohaterów, zamiast zamęt wprowadzać.

— Rutkowskiego 15 — jegomość z prowincji rzuca taksówkarzowi adres odczytany z drukowanego zawiadomienia.

Szofer patrzy pytająco. Drugi pasażer niecierpliwi się:

— No, jedź pan! Chmielna 15!

— To czemu pan od razu po ludzku nie powie?

◆

— Plac Wilsona! Plac Wilsona! — obwieszcza urzędowo konduktor autobusu.

— Czy to następny przystanek będzie plac Komuny Paryskiej?

— A pani właściwie skąd? — wtrąca się tonem zaczepnym typowy Pan Piecyk lub Szwagroszczak Piekutowszczak, mogący być autorem sławnego wykrzyknika przy podobnej okazji:

— Wysiadaj, królowo Związku Radzieckiego, właśnie zajechalim do tej Komuny!

Piecyki i Piekutowszczaki mają wyrobione zdanie: To jak świat światem był plac Wilsona i tak mają w warsiaskich autobusach wołać żeby warsiaskie rodaki rozumieli. Nie będziem się co parę lat uczyć od początku, plac Saski, plac Piłsudskiego, a tera plac Zwycięstwa. ONI na urzędach nic do roboty nie majom, cholera, tylko stare ulice od nowa chrzcić, kołowacizny człek dostaje. Kartkie na imieniny do ciotki jak świat światem adresowało się na Złote ulice, to tera Kniewskiego. Albo Szucha, co to NAM jom Gestapowce Szkopy tak upamiętniły, nie mogła historycznie zostać się bez zmiany na tom patriotycznom pamiątkie? Żeby to jakie trefne burżujskie nazwisko — Aleje Ujazdowskie zaraz obok za Aleje Stalina wtedy biegały, wiec i Szuchowi na sucho by ujść nie mogło gdyby pod Stalina nie pasował. Tymczasem to był ogrodnik, czyli lud pracujący, więc co IM szkodziło, jak świat światem...

◆

Autobus przejeżdża przez plac Bankowy — obecnie Dzierżyńskiego i „Saskiem Ogrodem” wypada na Marszałkowską. Szeroka arteria aż się prosi o jakiś akcent końcowy za placem Konstytucji, gwoli symetrii i miłego oparcia dla oka. Tymczasem w piękną perspektywę włazi jeden z poprzecznych bloków MDMu, a zza niego ni w pięć ni w dziewięć wieże kościoła Zbawiciela.

— Czy to nie można było inaczej rozwiązać Placu Konstytucji i MDM'u? Ale ONI nie mogli przecież dopuścić aby kościół był centralnym punktem takiej wielkiej ładnej osi.



Nie jest łatwo kupić pocztówki w kiosku Ruchu. Często nie ma ich w ogóle, zwłaszcza na dworcach. A jeśli są — nie można samemu pokręcić stojakiem dla wybrania fotografii, ONI bowiem powiesili wiatraczek za szybą, w górę wskos od głowy sprzedawczyni.

— Tę drugą od dołu pani będzie łaskawa, nie, nie Grand Hotel, tę obok!

Po długich i ciężkich obopólnych cierpieniach, wybrane pocztówki leżą na kupce.

Po złoty czterdzieści sztuka, plus 20 gr. na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, mówi nadruk; a tamte dwie tylko po złoty czterdzieści, nie, nie, ja nie policzę pani wszystkich jednakowo, to inna seria, biedna jestem ale uczciwa, ja nawet ICH nie oszukuję, choć to pewno nie byłby grzech, ale jestem starej daty, nad grobem stoję, na telewizor i tak nie zbieram. Dzieci zginęły, i od Niemców i od Rusów, dla mnie samej na jedzenie starczy i w tej naszej Warszawie zemrę daj Boże już spokojnie, kąt pokoju opróżnię, może ONI nie dokwaterują tam zaraz kogo, wszystkim w mieszkaniu lżej będzie. A jeszcze niech pani ten piękny kościół weźmie, dobra fotografia.

— Sakramentki na Nowym Mieście, byłam tam, kuzynka wstąpiła do nich już po wojnie i w tej krypcie jest pochowana. Proszę dwie sztuki.

— To tak młodo umarła? Tym bardziej na mnie starą czas... Dla pana szanownego „Trybunkę", proszę, proszę uprzejmie, a panu „Życiem Warszawy" już służę, to mój stały klient — objaśnia zadowolona, że jest przed kim odsłonić kawałek codziennego życia. — Jak to miło pogadać z panią, dziś nikt nie ma czasu, nawet są klienci co się uśmiechną i dzień dobry powiedzą, i ci dla których „Przekrój" chowam zawsze, ale nie mogą przecież zatrzymywać się, każdy biegnie do pracy, albo załatwić coś na boczku, albo o 3-ej do domu na obiad... Tak, to kościół Sakramentek, ale napisane jest „Rynek Nowego Miasta", widzi pani, ONI nie mogą przecież napisać, że to kościół.



Nad kanapą wisi na ścianie makatka w czerwone róże. W rogu telewizor. Mieszkanko podmiejskie jest jasne i czyste, z

wyjątkiem — jak wszędzie — wiele do życzenia pozostawiającej łazienki. Gospodarze rozmawiają swobodnie, literackim językiem, terminy techniczne i obce słowa wplatają się naturalnie i we właściwych miejscach. Jedzenie smaczne i ładnie podane, nie mówiąc o jego obfitości. Dzieci porządnie ubrane.

— Chciałabym je podrzucić do babci aby znowu pracować. Przyjęliby mnie z powrotem do tej hodowlanej stacji doświadczalnej. Ale chyba muszę poczekać aż oboje pójdą do przedszkola — wzdycha mama potrząsając modną fryzurą.

Tata jako dziecko biegał na bosaka po wsiowej błotnistej drodze. Ale już przed wojną skończył szkoły, i powszechną i rolniczą. Kim byłby dzisiaj, czy też rolniczym urzędnikiem, jak wyglądałoby ich życie gdyby nie Polska Ludowa?

Pewno dość podobnie.

Niesposób jednak ustosunkować się wprost do makatki w róże, do telewizora, kultury, mowy i stołu, okropnej łazienki, aby zaraz w tok myśli nie wplątali się ONI jakąś drętwością propagandową.

Radio podaje streszczenie czyjegoś jakiegoś przemówienia: „Trzeba poruszyć sprawę współpracy komitetów z radami... należy rozgraniczyć sprawy należące do kompetencji... zmienić zakres działania... stworzyć szersze możliwości... nawiązać do postulatów dotyczących skorygowania planów...".

W radio i telewizji, drukowanymi szpaltami i metrami taśmy filmu czy magnetofonu, snuje się pajęczyna. Nie tylko omotuje, ale zagradza dostęp wszystkiemu innemu. Tylko to jedno, tylko ICH oficjalnie uznane słowa...



ONI puszczają najlepsze dowcipy, jakby wkupywali się do wspólnoty. Kapitalne terminy, jak okres neominiony w odniesieniu do teraźniejszości, jak f o r n a l i z m , u b i z m , n e o r e p r e s j o n i z m , urodziły się pewno z chęci nawiązania łączności intelektualnej poprzez przedziały poglądowe. W takich rozmowach znikają ONI, a w żadnym razie nie utożsamiają się z PZPR.

Natomiast panna sklepowa czy urzędnik na poczcie, który odstawia ważniaka ku rozgoryczeniu i złości klientów, może łatwo znaleźć się wśród NICH. Zarabia te swoje marne grosze, wymyśla razem ze wszystkimi, że ONI żyć człowiekowi nie dają, ale sama również życie innym utrudnia, w ten sposób oddzielając się od NAS i reprezentując ICH.

— A to mi władza, cholera — mruknie zmaltretowany człowiek przeciw krzyżówce balona z automatem. Częściej jednak zrezygnowany czeka w kolejce. Bo cóż zrobić?

— W piekarni tej koło przystanku była tylko jedna osoba, wskoczyłem tę dobrą bułkę kupić. A tu paniusia przede mną akurat bierze babkę drożdżową, 475 gramów po 58 złotych i 60 groszy za kilogram, jak zaczęło się obliczanie! Paniusia była z Detroit, zgadaliśmy się, do siostry przyjechała, swojska Akaczka. Mówi, że to wypadnie trochę mniej niż 30 złotych, ale ona chętnie zapłaci całe 30, bo jej się spieszy. A panienka nic tylko mnoży, i ani rusz zgodzić się nie chce, autobus mi uciekł przez to. Czy to ONI nie mogą równych cen wyznaczyć? A jeśli już koniecznie trzeba ważyć, nie mogą zrobić tabelki dla sprzedawczyni? W inicjatywie prywatnej dawno by była, dziwowała się ta z Detroit, rację miała, ale mnie samemu to już nawet do głowy nie przychodzi. Prosta rzecz, ani sprzedawczyni nie byłaby taka zła i umęczona, ani klient. ONI zaplanują przy biurku, a w praktyce nikt się nie interesuje...



Komunistka na wysokim stanowisku, znana ze swej inteligencji, życzliwości do wszystkich ludzi i z sensownego załatwiania spraw a nie biurokratycznego odwalania — lub nie-odwalania — papierków, to broń Boże nie ONI.

— Ona jest partyjna, ale obyśmy więcej takich mieli, dobrze by się w kraju działo!

Obyśmy — MY, ona jest nasza. Chwalić Boga, że partyjna, przynajmniej ONI muszą się z nią liczyć.

Na wczorajszych tropach

— O! panna Karpińska! Tylko nie wiem czy starsza czy młodsza?

Wacia, woźna szkolna, szeroko otwiera drzwi, zaprasza do mieszkania kilku starych nauczycielek.

Poznała! Po tylu latach, wśród tylu setek uczennic w granatowych mundurkach mijających ją co dzień u wejścia.

— Ewa, nasza kochana — cieszą się staruszki — przyjechałaś z Ameryki, opowiadaj, dawno jesteś w Warszawie? Proszę, proszę, jedz truskawki, zaraz będzie herbata. Byłaś na Pięknej? Stoi, chwała Bogu, jest tam internatowa szkoła pielęgniarstwa, ulica poszerzona o nasze podwórze. A Krucza nie do poznania, widziałaś? Może tam mieszkasz w Grand Hotelu, turyści z Ame-

ryki tam się zatrzymują, podobno bardzo elegancko, ale myśmy nigdy nie były...

Turyści, ale przecież nie starzy warszawiacy, których tu czekają gościnne łóżka składane, którzy przyjechali pielgrzymować po swoich dniach wczorajszych, ciekawi dnia dzisiejszego: czy jest swój czy obcy?

Szkoła! Jedenaście lat życia, od ABC do matury. Te same schody... Dlaczego tak wzruszają metalowe powyginane sztachetki i drewniana na nich poręcz? Cóż za niezdarzony przybytek wspomnień i emocji...

Oto korytarze, klasy. Tu była ósma czyli druga licealna, tu biblioteka, tu duża sala, scena, w głębi zamykany ołtarz ścienny — jedyny kościół dzieciństwa. A tu pod zegarem stała często przełożona i ośmioletnie serce biło mocno w obawie czy uda się ładnie dygnąć. Teraz zamiast zegara jest lustro, przyszłe pielęgniarki poczesują włosy, w pokoju nauczycielskim gwarzą sobie z papierosem w dłoni..

— Może pani pomóc? Czy pani kogoś szuka?



— Przecia, posuń się! Pepina, krok w prawo! Karaś z Jakubem do środka, gość honorowy i gospodyni. Spokój, dziewczynki, przyjemny wyraz twarzy, pstrykam, uwaga!

Przecia dawno nie nazywa się Przecalska, Pepina dawno zapomniała o swej miłości do księcia Józefa, a Karaś o szkolnych przezwiskach. Od matury minęło 22 lata. A przecież te wykrzykniki brzmią tak normalnie, tak właśnie jak powinny. Dziewczynki!

— Wiecie co, gdy nasze mamy spotykały się na brydża, były młodsze niż my dzisiaj, a nam się wydawały takie stare, niech to wszyscy diabli! No a teraz gadamy, jest nas dzisiaj tuzin, kto co wie o drugich dwóch tuzinach? Dawaj ten szkolny album, że też się uchował, moje wszystkie fotografie spaliły się. Jedziemy według listy z dziennika, Bohuszalska, Brzezińska, Czochralówna, Dawidczyńska...

Jak wytłumaczyć, że po latach, po ogniach, mieczach i potopach, po obozach i przesiedleniach, szkolna klasa potrafi się skrzyknąć i stanowi taką „morową ferajnę"? Że nieznani panowie przychodzą oglądać cudzą od piętnastu lat żonę, tylko dlatego, że siedzieli na ławie szkolnej z jej mężem?

W Ameryce z miejsca urywają się szkolne związki, a *college*'owe zjazdy dawnych roczników nie mają osobistego, intymnego charakteru. Niemożliwa byłaby masowa konspiracja w sypkim jak piasek społeczeństwie, nie z powodu donosiciel-

stwa czy zdrady, lecz po prostu nie kleiłoby się organicznie, a do niczego jest sama tylko organizacja nie wrośnięta w organiczny grunt. Co to są „więzy społeczne"?

Czym jest ten cement polski, że nie kruszą go ani lata, ani oceany, ani wojny? Mija czas, dzieli przestrzeń, obce życie staje się powszednie i przysypuje szkolno-domową polskość warstwą zapomnienia.

Taka sobie rozmówka

— Marta owdowiała, jest jej dość ciężko w Kanadzie, czy mogłabyś jej ułatwić przysłanie córek na wakacje do Polski? Ja już się tu nimi zajmę, ale żeby wpakować je na transport, może przez Harcerstwo? Czy nasza ambasada organizuje darmowe przejazdy dzieci polskich na lato? Pewno trudno się dostać na taką gratkę, więc jeśli masz jakie stosunki w Harcerstwie, to popchnij te moje siostrzenice, one jeździły przez parę lat na polskie obozy harcerskie na tych kanadyjskich Kaszubach.

— Emigracyjne Harcerstwo i ambasada reżymowa! Gdzie Rzym, gdzie Krym!

— Byłaś na „Kuglarzach" w Kameralnym? Dobre, prawda? Magister Proch, recepcja i propaganda, zaleca aby trzymać i z Rzymem i z reżymem. Reżymowa czy nie, jest jedyna polska ambasada.

— Ale nie ma żadnych darmowych przejazdów przez Atlantyk, to byłaby propagandówka mająca dzieciom zaszczepiać komunizm.

— Ach tak? To moje dzieci mogą tu żyć stale, a wasze zarażą się przez jedne wakacje? Do głowy mi nie przyszło, że ktokolwiek miałby opory aby nie skorzystać z darmowego dziecinnego rejsu Batorego Montreal-Gdynia, taki piękny polski statek...

— A nie sądzisz, że oprócz darmowej podróży trzeba by też skorzystać z urzędowego zwiedzania, „Oto pomnik Dzierżyńskiego, polskiego bohatera narodowego, który bardzo kochał dzieci"?

— No to co, wielkie rzeczy. Każdy wie, że kochał dzieci, tylko ich rodziców nie kochał. Na tym cokole jest napis, nie wykuty lecz ułożony z metalowych liter na kamieniu: „Feliks Dzierżyński to Duma" — Polskiej Rewolucji, czy klasy robotniczej, czy czegoś tam, ale w każdym razie „duma". M odleciało, pewno mu ktoś pomógł, i przez dłuższy czas zastąpione było przez P, wyrysowane kredą, co dzień na nowo. Czy dzieci emigracyjne nie nauczą się tyle samo antymarksizmu co marksizmu, przez sam fakt oddychania polskim powietrzem? Cóż za trzymanie ich pod kloszem? Patrz, to fotografia moich siostrzenic, tańczą kra-

kowiaka na obozie. Lepsze to niż nic, ale mało. Wydaje mi się że i emigracyjne krakowiaki i krajowi Dzierżyńscy spłyną z dzieci jak z gęsi woda, a z wakacyjnej polskości zostanie konkret i przeżycie...

Rozmowa urywa się. Bo już nie chodzi o siostrzenice, ani o darmowe rejsy Batorego, ale... ale... o groby i o nowe domy, o każdy kamień stolicy, która w oczach sypała się w gruzy i w oczach się odbudowuje, o te lata wsiąkające w obcą ziemię, i o te lata zmarnowane w więzieniu Polski Ludowej — pomyłka administracyjna okresu minonego... O to... o to wszystko...

— Wiesz, czasem sama nie wiem... Ojca zamordowali w Katyniu, mama zginęła w Powstaniu, Marta przeżyła obóz, ale nie wróciła tylko wyemigrowała do tej Kanady... Ja się wyżywałam w A.K., a po sławetnym wyzwoleniu siedziałam osiem lat w ciupie. I co komu z tego, czy to wszystko rzeczywiście ku chwale ojczyzny, jak nas uczono w szkole, pamiętasz? Może lepiej niech te wasze dzieci wyrosną na porządnych ludzi za Atlantykiem i koniec...

Byle handel szedł...

Mała apteka. Krótki ogonek paru osób. Sprzedawca za szybą z wykrojonym okienkiem: urzędnik w Instytucji (przez duże I).

Wody utlenionej proszę.

— Nie ma — automat z miejsca wyłączył klienta.

— Proszę termometr.

Rączka automatu wyciąga z szuflady kolorowy plastykowy futeralik. Jaki wielki termometr! Widać w Polsce mierzy się temperaturę pod pachą? A dzieciom w pachwinie?

— Ile kosztuje?

— Czternaście siedemdziesiąt pięć.

Kobieta podaje banknot dwudziestozłotowy.

— Nie mam reszty — automat najspokojniej zwraca się do trzeciego numeru w kolejce.

No wiecie państwo! Czy on nawet nie udaje, że *he's sorry?* Zdziwienie ubiera się w angielskie słowa, w miarę jak narzuca się prawem kontrastu porównanie z maleńkim kioskiem w *lobby* 33-piętrowego biurowca w New Yorku. Czegoż ten kupiec nie ma i jak załatwia! Rozmawiając i dowcipkując z tuzinem klientów, którzy szczelnie wypełniają całą przestrzeń życiową, trzema parami rąk zdaje się podawać papierosy, przyjmować filmy do wywołania, jako *notary public* uwierzytelnia podpis na zwykłym papierku zastępującym paszport bezpaństwowcowi, z uśmiechem

wydaje reszty z 10 dolarów za 5-centową gumę do żucia, zachwala najnowszy model plastykowych ochraniaczy na buty, bo dziś deszcz zapowiadają...

— Moi teściowie wyjeżdżają do Europy tylko na styczeń — mówi Ruth w windzie, nie odrywając oczu od kupionego właśnie w *lobby* numeru „Hair Do". Wtedy w ich sklepie i tak jest najmniejszy obrót, a że podczas ich nieobecności zawsze spada o jakie 10-15 %, wybierając ten miesiąc ponoszą najmniejsze straty.

— Dlaczego obrót spada? Sklep w pełnym biegu, zaopatrzony, klientela od lat wyrobiona, personel wyćwiczony i uczciwy. Kończysz tę swoją ekonomię na Columbii, wytłumacz!

— To psychologia, nie ekonomia. Jest duża część handlu i usług, której nie można odczłowieczyć. Nie masówka, nie automat, lecz tylko w pełni zaangażowany i dopasowany człowiek osiąga zysk, w postaci zarówno pieniędzy jak i ludzkiej życzliwości, a ta, wraz z zadowoleniem, kursuje, procentuje i kapitalizuje się we wspólny wszystkim skarb wzajemnego uśmiechu. Ładnie to powiedziałam, co? Ekonomia jest ogromnie związana z psychologią, czynnik ludzki gra pierwszorzędną rolę. Nie rozumiał tego wiek XIX i dziś jeszcze różni teoretycy operują systemami jakby to były słowa na papierze, a nie życia ludzkie. Nie rozumieją, że wśród niezadowolonych, a nawet obojętnych, handel musi szwankować.

Masowość produkcji

Barak, a raczej dawna stajnia, przeznaczony jest na rozbiórkę. Na razie jednak, nie od roku i nie od dwóch, stanowi dach nad głową dla licznej rodziny, czekającej na kwaterunkowy przydział mieszkania. Podłoga-klepisko, dach przecieka, piecyk dymi. Stół — deski na kozłach, łóżka-barłogi służą też za ławki.

Ale... w rogu pralka, cztery rowery i motocykl. W drugim rogu, na skrzynkach po pomidorach — telewizor.

Gdy wreszcie wprowadzą się, tata, mama i czworo dorastających dzieci, do tych wymarzonych dwóch (a może trzech?) pokoi z kuchnią w nowym bloku, czy powieszą sobie na ścianie makatkę w czerwone róże i oleodruk z jeleniem na rykowisku? Czy też przykryją tapczany, a nie klasyczne łóżka, nowoczesnymi drukami lub prostą kolorową tkaniną, nie koniecznie zaraz z Cepelii, ale z CeDeTu?

— W CeDecie na Woli można trafić na całkiem ładny towar, jeśli się ma szczęście — objaśnia mieszkanka Mokotowa. — Znacznie lepszy niż w alejach Jerozolimskich.

Dzięki masowej produkcji są pralki i telewizory. Ale jak z makatkami i jeleniami w złoconych ramach? Czy odgórne i obowiązkowe „dźwiganie smaku wzwyż" nie jest obosieczne?

Drożdże w cieście

Przed ołtarzem stoi zwarty tłum. Trzeba chytrości węża i łokci wcale nie idących w parze z gołębim sercem, aby przepchać się do balustradki i wrócić na swoje — stojące — miejsce. Komunikujących dużo, chyba znacznie więcej niż przed wojną, gdy to „raz koło Wielkiejnocy". Wszyscy zdają się pchać w obie strony jednocześnie i całe swe zasoby skupienia marnuje człek na to, by nie następować na odciski bliźnim i o tyle o ile uchować własne. Najwyraźniej brakuje odgórnego planowania i — pewno na przekór władzy socjalistycznej — panuje nieokiełznana samowola jednostek. Spróbowałby kto, w wolnościowej Ameryce, zbliżyć się do ołtarza inaczej niż grzecznym rządkiem, lub odejść najkrótszą drogą do swej ławki, zamiast w przepisową stronę!

Kościół ma wpływać na życie, a praktyczne doświadczenia życiowe należy stosować w kościele, twierdzą niesforni Yankesi, eksperci w regulacji ruchu.



Msza dla dzieci. Stoją porządnie rzędami w specjalnie dla nich zarezerwowanym miejscu. Dookoła tłum dorosłych, też na stojąco. Kazanie trwa 25 minut. Kilkoro dzieci słabnie, wyprowadza się je do zakrystii. Mówi ksiądz dość młody, wyglądający inteligentnie. Niestety jego wywody pasują do epoki gdy zbierało się sreberko od czekolady na „wykupienie murzynka" (czy z niewoli kapitalistów kolonialnych?) i do zabytkowych hagiografii, z których wynikało niezbicie, ze jedynym ideałem życia jest smażenie się w oleju — chyba, że zamieni się je na stanie na słupie, albo ostatecznie na dziewictwo w małżeństwie, ale to już „nie to". Najlepiej zaś wszystko razem: kanonizacja murowana.

Słowa innego księdza, też w dużym mieście: Wszystko co piękne, dobre, prawdziwe jest Boże, choćby ludzie tworzący piękno, szukający prawdy i czyniący dobro twierdzili, że nie wierzą w Boga. Otwórz szeroko drzwi i okna, żyj dzisiaj, żyj pełną piersią! Dawne czasy nigdy nie wracają. Nie myśl, że tylko dawniej były jakieś wartości, każda epoka ma ich wiele, w każdej epoce zmaga się prawda i fałsz, miłość i nienawiść. Buduj porządne domy, produkuj dobre filmy, posuwaj się w laboratorium w

swych doświadczeniach, wydobywaj węgiel, montuj solidne samochody, szybko a uważnie załatwiaj biurowe papierki, każdy z nich jest ludzką sprawą! To są drogi zbliżania się do Boga, czyli osiąganie pełni życia. Nie wymyślaj, że ONI wszystkiemu winni, że ONI kradną — a zastanów się, jak sam pracujesz? Czy nie okradasz nie tylko fabryki, ale własnej rodziny z należnego jej od ciebie czasu i serca? Zamiast stawiać koledze ćwiartkę, kup swemu dziecku zabawkę, w rocznicę ślubu przynieś żonie kwiatek lub pończochy, uśmiechnij się zamiast zakląć gdy cię ktoś potrąci na schodach, starej sąsiadce wynieś wiadro ze śmieciami. Te małe rzeczy rozrosną się w tobie w wielką miłość...

Kazania trwają zwykle 5 minut. Ludzie zjeżdżają się z drugiego końca miasta.

◆

— Zebranie rodziców klas trzecich we czwartek o 6-ej, klas czwartych o 7-ej, w poniedziałek rodzice klas piątych o 6-tej, klas szóstych o 7-ej — padają z ambony zawiadomienia.

Ho, ho! Jak to trudno było w warszawskiej parafii przed wojną ściągnąć rodziców na jakieś zebranie! A tu z podziałem na dnie i godziny i klasy! Jaka też frekwencja rodzicielska? Jaka obecność dzieci na lekcjach religii? O ileż łatwiej zostać w budynku szkolnym gdzie przyjdzie ksiądz, niż wychodzić drugi raz z domu do kościoła...

Czego i jak będą się te dzieci uczyły? Katechizmu, oczywiście, lecz w jaki sposób? Nie dostaną nowoczesnych kolorowych książek, nie obejrzą przezroczy ani filmów. Nie o to chodzi, nie to jest najważniejsze, ale: czy wyklepywane na pamięć formułki będą tak samo pozbawione *osobistej* treści, jak była drętwa mowa w ZMP o bycie określającym świadomość lub o bazie i nadbudowie?

Praktyczne znaczenie Chrystusa w życiu nie jest problemem specyficznie polskim, ale w Polsce nauka religii nabiera dziś szczególnego znaczenia.

Are we realy teaching religion? rozlegają się mądre głosy anglosaskie. Teza: jeśli dzieci zapomną wszystkiego, czego się kiedykolwiek uczyły na religii, ale jeśli zostanie w ich świadomości, że te lekcje różniły się od wszystkich innych wykładów — to będzie największe osiągnięcie. Jeśli zrozumieją i odczują miłość — nie ślamazarność, nie czułostkowość, ani nie żadną inną jej karykaturę, ale caritas Pawłową, i jeśli połączą ją z osobą Chrystusa, lekcje religii po stokroć spełnią swe zadanie, choćby wychowankowie w dorosłym życiu nie potrafili odpowiedzieć prawidłowo na żadne katechizmowe pytanie.



— Gdzież to prześladowanie religii? Księży i zakonnic jest więcej niż przed wojną. Państwo odbudowało tyle zabytkowych kościołów. Niedawno przyszedł do nas dozorca, czyli funkcjonariusz państwowy, z zapytaniem czy chcemy poświęcić mieszkanie, różni lokatorzy prosili księdza, więc jednego dnia cały dom obejdzie, kto chce. Okazało się, że tylko dwóch lokatorów nie chciało. Dałem księdzu 100 złotych, pokropił, po łacinie się jak należy wymodlił, jeszcze powiedział, ze Mszę na naszą intencję odprawi. Ani dozorcy, ani mnie, ani księdzu nic się z tego powodu nie stało. A procesję Bożego Ciała widziała pani? Więc jakie tu prześladowanie Kościoła?

Pewno że żadne, jeśli „prześladowanie" oznaczałoby rzucanie lwom na pożarcie. Tymczasem chodzi o użeranie się, całkiem nie romantyczne i nie bohaterskie, z podatkiem, z pocztą, z cenzurą, z Instytucją taką i owaką, ale zawsze przez duże I, z paragrafem, zarządzeniem.

Oto spis mszy w letnich uzdrowiskach, rozkład godzinowy takich w Ameryce pełno w sobotnich gazetach, w hotelach: cenzura nie pozwala drukować. Może w końcu puści, ale trzeba się nachodzić, natelefonować, naurzędolić. Oto seminarium duchowne zaklasyfikowane i opodatkowane jako dochodowy zakład gastronomiczny. Odklasyfikowanie trzeba wypapierzyć, wysiedzieć w poczekalniach, dnie i godziny złożyć w ofierze na ołtarzu nienasyconej biurokracji. Oto książki z zagranicy, leżące miesiącami na cle, czy na cenzurze, lub może po prostu mielone na makulaturę. Oto pomoc dla charytatywnego zakładu, jedną ręką udzielana oficjalnie z ministerstwa, drugą ręką obcinana gdy przychodzi z zagranicy...

Krew męczenników użyźnia, powoduje rozrost. Natomiast wyjaławia i dusi powolne męczeństwo zmęczenia: zanudzenia, uwikłania w fałszu, ośmieszenia i przeinaczenia, zakazów, utrudnień, ograniczeń, dla obrony przed którymi trzeba nieruchomo zesztywnieć w formalnościach zamiast pozwolić pulsować rozedrganemu życiu. *Spiritus flat ubi vult.* Nie ima się Go topór kata, ale łatwo krępować Go pajęczyną.

Uroda życia

Bukiet kwiatów stoi w alkowie, w której urodził się Fryderyk. Ponad kwiatami, wśród drzew pięknego parku, drżą dźwięki

jego muzyki, a zasłuchana publiczność wypełnia stary dworek o szeroko otwartych oknach i cały ogród.

Niedzielny koncert fortepianowy w Żelazowej Woli.

Drugi w Łazienkach. Koło pomnika Szopena fortepian, instalacja głośnikowa, zapełnione ludźmi ławki i krzesła. Najlepsza muzyka, nie z płyty, lecz na żywo, w wykonaniu dobrego pianisty. Dla wszystkich.

Urok Łazienek wieczorem. Kumkają i rechoczą żaby, księżyc okrąglutki wytoczył się w całej krasie właśnie pod koniec przedstawienia w teatrze na wyspie. Cichutki szelest starych drzew, zapach kwiatów i skoszonej trawy, wdzięk pałacyku króla Stasia. Jest prześlicznie i tak dobrze iść powoli z rodzinką ku bramie.

— Wiesz, byłem dwa lata temu w Chinach — mówi wujek, malarz. — Wymiana kulturalna bardzo dzisiaj w modzie.

— Tak, częstujecie gościa z Ameryki chińskim koniakiem, rosyjskim szampanem i węgierskim winem!

— Właśnie. Ale te Chiny pokazywano mi nie tylko od strony turystyczno-gastronomicznej. Jeden obraz zrobił na mnie tak silne wrażenie, że do dziś dnia oblewa mnie zimny pot i ciarki chodzą po grzbiecie gdy mi się ta scena przypomni w bezsennej nocy: Jechaliśmy autem, zza zakrętu szosy doleciał mnie przeciągły ni to jęk ni to śpiew, aaaaa — monotonny, falujący dźwięk. Po chwili poczułem się jakimś Guliwerem spoglądającym na ludzkie mrowisko. Dwunożne żywe maszyny niwelowały górę. Każdy miał dwa kosze na drążku, biegł truchcikiem przenosząc ziemię. Krok musi być dopasowany do amplitudy drgań koszyków, ta zaś zależy od długości drążka. Tłumaczka objaśniła mnie rzeczowo, że Mao Tse Tung skrócił drążki tak, aby trzeba było biegać.

Nie zapytałem ani o przejmujący, niesamowity jęk, ani o ilość robotników; może było ich dziesięć, może sto tysięcy. Po dwóch dniach wracaliśmy tą samą drogą. Nie było żywego ducha i nie było góry. Na zakręcie szosy rozciągała się cicha, pusta równina.

A tu tymczasem romantyczne Łazienki. W południe koncert szopenowski, wieczorem teatr na wyspie i w Pomarańczarni, świeci księżyc, pachnie świeża ziemia i bujna zieleń, żaby kumkają inaczej niż w Ameryce.

Jak pięknie i dobrze jest w rodzonej Warszawie! Ale popielate macki aż z dalekich Chin ściskają serce i duszą radość. Trzeba znowu wyplątywać się z pajęczyny strachu i żalu.

Dzień surrealistyczny

Wycieczka za miasto. Jedyna okazja by ujrzeć wywłaszczony dwór ziemiański w Polsce Ludowej.

Brama na pół rozwalona, przy niej krzyż. Nad kolumnami ganku, w trójkącie, gdzie wedle opinii jednej z guwernantek przewijających się tu onego czasu, „powinny być wymalowane takie gołe babuski co by herb podtrzymywały" — krzyż. Obok ganku, dwumetrowy krzyż na pamiątkę misji 1957 roku. Z tyłu budynku — krzyż. Wewnątrz kaplica. Figury, obrazy, konfesjonał. Na stopniu ołtarza ładnie rzeźbiona podstawa pod mszał z inicjałami i herbem dawnych właścicieli.

Wytłumaczenie?

A no po prostu: parafia była rozległa, do kościoła daleko. W niedzielę odprawiano mszę w salonie we dworze, cała wieś się schodziła. Tak było za polskich czasów przed wojną, i za Niemców też. A jak Sowieci przyszli, to miało mszy nie być, tylko dlatego że dziedziców we dworze zabrakło? Ludzie nie dali budynku na nic innego. Kaplica, oprócz dawnego salonu, zajmuje dawny stołowy, sypialnię i dziecinny.

— Jak tu zarosło przez szesnaście lat, tę lipę sadziliśmy gdy urodził się najmłodszy syn, a cóż to teraz za drzewo! Dziś nie wybrałbym lipy, bo za wiele ich, lipa wolności, lipa przyjaźni polsko-radzieckiej... To dzieci przynosiły ciągle do domu takie kawały. Dzieci już dorosłe, każde pracuje w swoim fachu, nie mogą zrozumieć po co nam było kiedyś tyle pokoi. Starsze pamiętają, chociaż nie byliśmy tu ani razu, ale wnukom nawet fotografii nie pokazujemy. Nie mam do nikogo żalu ani pretensji. Nawet mi przyjemnie, że to tak się obróciło, że w moim ex-domu chwała Boża się pomnaża...

Sylwetka starszego pana w mocno wytartym ubraniu rysuje się dziwnie młodo na tle bujnej zieleni dawnego parku. Jasne oczy patrzą pogodnie na ukochane pagórki i daleko ku Tatrom. Ten widok ani mój, ani upaństwowiony, tylko po prostu piękny. I polski.



Teatr. „Indyk" Sławomira Mrożka. Miałeś chamie złoty róg, czapkę z piór... Nie tylko ta chochołowa melodia każe myśleć o „Weselu". Wyspiański ery atomowej i może coś z unowocześnionych „Dziadów" przewija się na scenie, gdzie chłopi w cudnie i cudacko ukwieconych kapeluszach śpią na stole w karczmie, wojskowemu nie chce się przeprowadzać werbunku, poeta wyrzuca książki i nie chce mu się pisać wierszy, Gomułka przemawia do narodu podczas gdy wielka łapa Rosji leży przed nim

na pulpicie, eksperyment z parą kochanków państwowych nie udaje się, indykowi nie chce się zabierać do kur. A gdy przemógł tę apatię — kura zniosła kwadratowe jajko.

— Co z tego będzie?

— Czekajmy!

— A no, czekajmy! — zasypiają chłopi, fałszywie i ostro rzępolą skrzypce, czarna niema postać w pelerynie uprowadza białą dziewicę, a na scenie rysuje się olbrzymi, makabryczny ludzki cień.

Reżyseria, dekoracje, dźwięki i światła zręcznie uwypuklają różne aspekty tej filozofii nonsensu i stwarzają jedyne w swoim rodzaju wrażenia. Teatr nabity, publiczność wyczulona reaguje precyzyjnie. Podobno cenzura dużo skreśliła, ale zostało dość.

— Jak to możliwe żeby państwowy teatr za państwowe pieniądze przy państwowej cenzurze nabijał się z rządu? — pytają Amerykanie.

W Polsce wszystko jest możliwe.



Po filozofii nonsensu, nonsens czysty.

Na ulicy Sławkowskiej pod numerem 14 (a ten dzień surrealistyczny ulokował się w starym grodzie krakowskim, jak na prawdziwą sztukę przystało) oświetlona niewielka wystawa. W głębi srebrzysta nieforemna plama, obok tiul różowy i niebieski, przemyślnie udrapowany.

Kołyska dziecinna? Pierwsza suknia balowa? Esencja kobiecości w postaci perfum, wykwintnej bielizny? Z czym jeszcze kojarzy się taki tiul?

Wystawa jest pusta, nie ma na niej żadnego towaru. Na srebrnym picassowskim kształcie napis: SPECJALNOŚĆ ZAKŁADU: FRYTKI NA GORĄCO.

U dołu z prawej strony drugi napis: SOKI OWOCOWE ZAWIERAJĄ WITAMINY. Dla potwierdzenia głębokiej prawdy tych słów, z wąskiego wejścia do tak zareklamowanego przybytku chwiejnym krokiem wychodzi gęsiego pięciu pijanych.

Powiedzcie kochani, powiedzcie mi przecie, czy jest taki drugi kraj na Bożym świecie, gdzie wystawa gastronomicznego zakładu nie przemawiałaby wprost do żołądka?

Lot

Lot do Polski — polskim LOTem.
Samolot rozpędza się po bieżni Le Bourget.

Trrrrr — podskakuje i drży. Flejtuchy te Francuzy, żeby jakieś kocie łby były na rozbiegu!

Nie Francuzi winni. Okazuje się, że lewe koła zgubiły opony. Na gładkiej nawierzchni stoją teraz nagie, jakieś rozczapierzone, ostre, bez śladu ogumienia.

Powrót do hali. Czekanie. Dłuuuuugie.

— Nie odlecimy dzisiaj.

Co robić? Popołudnie, kolacja, nocleg? Prawie wszyscy pasażerowie są oficjalnymi delegatami polskimi na coś międzynarodowego w Paryżu. Nikt przecież nie będzie wiózł franków z powrotem do Warszawy, na lotnisku wydali ostatnie centimy na pomarańcze i papierosy.

— Państwo będą łaskawi napisać z jakiej są Instytucji, LOT rozliczy się...

Nie ma na razie objaśnień co do bagażu, terminu odlotu, hotelu. Najpierw najważniejsze: Instytucja. Zapisać zaraz, na pierwszej stronie dziennika: Pierwszy kontakt z Polską Ludową — to Instytucja przez duże I.

Urzędnik jest grzeczny, sympatyczny. Defekt — nie jego wina. I tak szczęście, że obyło się bez wypadku, gorzej byłoby zgubić opony przy lądowaniu w Berlinie.

— To sowiecki samolot, stare pudło, nawet się oparcia nie przechylają do tyłu — pocieszają się pasażerowie.

Ach, trzebaż było wybrać dzień gdy leci nowoczesna Caravelle'a Air France, zamiast chcieć dać LOTowi zarobić. Ojciec czekać będzie na Okęciu, jutrzejsza niedziela od miesięcy zaplanowana, z pierwszą obfitą dawką emocji — jedzie się przecież i dla wzruszeń, wysuszonych przez anglosaskie lata...



Powrót tymże LOTem. Odprawa celna, kontrola paszportu odbywa się na Okęciu wieki przed czasem, choć ruch przecież minimalny. I już się jest w kojcu, odprowadzający za daleką siatką. Nie to co na Idlewild International, gdzie w kapeluszu grzybiastego Panamerican Terminal na parę minut przed odlotem odprowadza się ukochanych do samej szyby, poza którą, z balkoniku na tymże poziomie, chłonie ich od razu czeluść samolotu.

Opóźnienie. Czas dłuży się nieznośnie. Wreszcie wsiadamy.

Przy schodkach żołnierz, kontrola paszportów. Jakto, przecież już była?

Objazd po bieżni. Powrót przed budynek. Wysiadać, muszą coś sprawdzić. Po kwadransie wsiadać.

Przy schodkach żołnierz, kontrola paszportów. Jakto, znowu?

Lecimy.

Łzy, łzy, łzy. Szczęście, że obok nikt nie siedzi. A zresztą, wszystko jedno.

Podają drugie śniadanie: dwie bułki z szynką, krajana grubo jak chłopu do kosy. Szynka dobra, nie żałują.

Zaczyna rzucać i trząść, w uszach gniecie, lądujemy. Czyżby już Berlin?

Nie, Poznań. Wysiadać. Budynek tranzytowy malutki, czyściutki, kolorowy i przyjemny. Trzeba było sprawdzić, z obowiązku dziennikarskiego, czy jest papier w toalecie, w przeddzień targów poznańskich. Gablotka reklamowa Cepelii staranna, dobrze oświetlona, eksponaty z cenami, zachęcające. Cóż z tego, kiedy Cepelia nie załatwia wysyłki, niejeden dolar wpłynąłby gdyby można w sklepie wybrać i opłacić garnki czy kilimy, a otrzymać paczkę w Nowym Jorku pocztą.

Wsiadać. Przy schodkach żołnierz, znowu kontrola paszportów.

Lecimy. Nie ma żadnych objaśnień przez mikrofon, tylko kartka od pilota, podawana z rączki do rączki: wysokość, temperatura, spodziewany termin lądowania. Jest zresztą w rezultacie bardzo spóźniony, o czym nikt nie zawiadamia.

Zaczyna rzucać i trząść, w uszach gniecie, lądujemy. Wschodni Berlin, ten sam co przed miesiącem. Portret władzy na ścianie budynku tranzytowego, w miejscu ustronnym porozrzucane na podłodze gazety, widać cieszące się większym uznaniem niż papier z rolki, identyczny jak w Polsce Ludowej: krzyżówka bibuły z pakowym, tylko grubszy. Słowem — bez wątpienia Europa B. Po papierze ich poznacie je...

Wsiadać. Już nikt nie sprawdza paszportu.

Lecimy. Obiad, a raczej lunch. Sztućce w celofanie z nadrukiem LOT'u, jednym słowem „poziom". Serwetka w wesołe kwiatki, też LOT'owa — ale druk zamazany. Jedna Instytucja dostarczyła drugiej Instytucji, co kogo obchodzi, że któraś seria poplamiona...

Zaczyna rzucać i trząść, w uszach gniecie. Lądujemy. Le Bourget.

Mój Boże, jaki ten Paryż zasiedziały, jaki wykończony, gdy tymczasem Warszawa... W piętnaście lat miasto na pustyni gruzów, tutaj dokoła wieki, wieki nietknięte ogniem ani bombami, a tam... Jak tam ciekawie, co za teatry, oczytanie światowe... Ale co czytają dzieci, a jeszcze bardziej: czego nie czytają? Jakiej historii uczą się w szkole, czy to prawda że z podręczników gdzie 100 stron wystarcza do XIX wieku, a przez 400 stron zanudzają ruchy robotnicze? Jak spędza dzień do niedawna wiejska kobieta,

zamieszkała w Nowej Hucie, gdzie ponoć oszczędza się na maśle by uzbierać na telewizor, w wyścigu *keep up with the Jones's?* Kto pęka ze śmiechu, kto bierze na serio, a kto w ogóle nie zauważa smakowitych zdań w broszurce reklamowej Pałacu Kultury: „...dominuje nad miastem jego strzelista (sic!) sylwetka. Wzniesiony przez radzieckich przyjaciół w samym sercu stolicy, stał się jej nieodłącznym elementem, symbolem... Znana jest serdeczność przywiązanie warszawiaków do tej największej w kraju budowli".

Po locie — przylot

— *Welcome back, did you have a nice trip?* — windziarz naciska guzik 28. Skąd on wie? Przecież pracuje nas tu 5 tysięcy? Ah prawda, fotografia jadących do Europy była w Biuletynie. Co tydzień wychodzi na kredowym papierze, żebyśmy się nie zgubili, żebyśmy się czuli związani z firmą, odtrutka na odczłowieczenie...

— *Welcome!* — woła wierszyk i kwiaty na biurku.

— *How was it?*

— *Had a good time?*

Żeby to wszyscy naraz! Ale każdy po kolei, a na 28-ym piętrze jest nas... czy jest ich...? ...jest 80 osób.

— No i jakież pani wrażenia z Polski? — słychać w telefonie i pyta każdy rodak spotkany na nowojorskim bruku.

Jaką powiedzieć prawdę, swoim i obcym, o tym swoim a jednak innym, przedziwnym kraju, gdzie nie ma nędzy, ale wielką biedę się klepie, artykuły tłumaczone z pism zagranicznych krążą w maszynopisach, dziecko pasące krowinę nad rowem przydrożnym obowiązkowo nosi skarpetki i buty... Pogodny starszy bankowiec-humanista pouczy cię z uśmiechem, że kapitalizm i komunizm zleją się w jeden system światowy, ale na razie nic się osobiście nie zmieniło, bo zarabia tak samo trzy tysiące miesięcznie jak przed wojną; od zgorzkniałego proletariusza zaś usłyszysz fantastyczne bajki o przepełnionych w tej chwili obozach koncentracyjnych i o niezwykłej szlachetności przedwojennych bogaczy. Różowiutka lnianowłosa przedszkolanka z entuzjazmem opowie, że odkąd wróciła do Warszawy z Londynu, przynajmniej wie że żyje: wybiega z domu o 6-ej rano aby otworzyć „przechowalnię", matki zostawiają dzieci po drodze do pracy; zajęcia w przedszkolu od 8-ej do 4-ej, potem dokształcanie personelu, trzeba dzielić się mądrościami wyniesionymi od Anglików; tu wpaść sprawdzić jak jest u tego słabowitego Maciusia, tam zebranie rodziców lub dodatkowe zabawy z dziećmi; teraz bajecznie, bo mieszkanie, duży

pokój z kuchnią, luksus, przez pierwszy okres, mieszkając kątem ratunkiem był teatr, 87 razy w ciągu roku! W następnej godzinie rówieśniczka przedszkolanki zapewni cię, że nad Wisłą żyć w ogóle nie można, bałagan, skrępowanie, jedna wielka kradzież i siuchta, głupota, jedynym ratunkiem zamienić się w automat aby broń Boże nie przejmować się ani ludźmi ani pracą, niczego nie wspominać, o niczym nie marzyć, jak tylko o wyjeździe stąd na kraj świata...

Wrażenia z Polski?

O przeszłości nie mówi się, bo cóż... Na teraźniejszość psioczy się, bo ONI, a jednocześnie tworzy się ją i chłonie z rozpędzoną żarliwością. A przyszłość?

Życie jest silniejsze niż teorie.

Ewa KARPIŃSKA

Zmiany struktury ludnościowej w Polsce (dok.)

Pozycja inteligencji

„...Wśród tych 900.000 ludzi, którzy w Polsce Ludowej przeszli przez szkoły średnie i wyższe, jest co najmniej 30-35% dzieci robotników i 20% dzieci chłopów, co daje nam liczbę około 500.000 ludzi oznaczanych nazwą inteligencji ludowej" pisze prof. Jan Szczepański (*Struktura inteligencji w Polsce*, „Kultura i Społeczeństwo", Nr 1/2, 1960 r.).

W tymże studium wykazuje on dlaczego inteligencja nie posiada własnej świadomości, nie jest grupą ani solidarną ani ekonomiczną.

„Niewątpliwie istnieje — wywodzi prof. Szczepański — wśród inteligencji w Polsce wiele sił i działa wiele czynników, które mogą stać się czynnikami sprzyjającymi rozwojowi swoistego odczucia pozycji społecznej inteligencji. Czynnikami tymi są: wykształcenie i rosnąca ważność społeczna nauki i techniki, które stają się czynnikami podnoszącymi poczucie własnej niezbędności inteligencji, bez której nie ma mowy o potędze ekonomicznej i militarnej. Przeświadczenie, że współzawodnictwo między systemami politycznymi staje się współzawodnictwem między uczonymi i technikami, powoli przenika do coraz szerszych kręgów inteligencji. Dalej czynnikiem sprzyjającym wytwarzaniu poczucia własnej ważności jest przekonanie że sprawy życia społecznego wymagają wiedzy teoretycznej w coraz większych roz-

miarach; współdziałają tu także dawne tradycje szacunku dla nauki i wartości kulturalnych, krytycyzm rozwijany przez naukową metodę myślenia, umiejętność logicznego myślenia, które zmniejszają w pewnym stopniu podatność inteligencji na uleganie uproszczonym schematom ideologii politycznych. Utrzymuje się ciągle przekonanie, odziedziczone po okresie zaborów, o szczególnej odpowiedzialności inteligencji jako warstwy najbardziej wykształconej za losy całego narodu. *Lecz istnienie takich czy innych elementów swoistej świadomości społecznej inteligencji w poszczególnych kategoriach czy kręgach nieformalnych, nie przesądza jeszcze o powstaniu tej świadomości we właściwym tego słowa znaczeniu i takiej świadomości inteligencja polska w tej chwili nie posiada.* (Podkreślenie moje B.H.).

Nie można także stwierdzić, że w całej warstwie istnieje jakieś poczucie solidarności. Jest to sprawa oczywista, jeżeli nie ma poczucia wspólnych interesów i nie ma wspólnej świadomości, to wobec czego ma narastać poczucie solidarności...

Nie istnieją również wspólne instytucje całej inteligencji, ani formalne, ani nieformalne. Można chyba stwierdzić, że poszczególne kategorie instytucjonalizują się we własnych ramach. Podobnie nie ma wspólnych organizacji dla inteligencji...

Nie posiada także inteligencja własnej reprezentacji politycznej, gdyż nie można uznać Stronnictwa Demokratycznego za taką reprezentację. Przeciwnie większość politycznie zorganizowanej inteligencji jest w PZPR. ZSL też skupia poważny odsetek inteligencji".

W konkluzji prof. Szczepański głosi:

„...warstwa inteligencji jest zbiorem kategorii socjologicznych i zawodowych, między którymi istnieje tylko bardzo słaba więź wewnętrzna, sprowadzająca się do istnienia świadomości przynależności do inteligencji, przy czym poczucie to występuje w różnym natężeniu w różnych kategoriach zawodowych. Zanikają również zewnętrzne symbole wyróżniające inteligencję od innych warstw i klas społecznych w okresie przedwojennym: styl życia, sposób ubierania się, mieszkania itp.". (Podkreślenia moje B.H.).

Analiza i wnioski prof. Szczepańskiego znajdują pokrycie w licznych badaniach „terenowych", prowadzonych zarówno pod jego kierownictwem, jak i prof. Józefa Chałasińskiego. Świadczą one również o zmiennym składzie, jeśli chodzi o pochodzenie, tej warstwy. Interesującym przyczynkiem obrazującym położenie jednej części tej warstwy jest praca Edmunda Kujawskiego pt. „O rozwoju młodej kadry naukowej w Polsce", ogłoszona w N-rze 4 „Kultury i Społeczeństwa".

Stan kadry pomocniczych pracowników naukowych wynosił na dzień 31 grudnia 1959 r., według danych Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, 15,184 osoby, w tym 4,720 adiunktów, 6.983 starszych asystentów i 3.481 asystentów. Niezależnie od tego w różnych instytucjach, z wyłączeniem podlegających Ministerstwu Zdrowia, zatrudnionych było na 30 czerwca 1960 r. 21.382 osoby z tego 20.372 na pełnych etatach. Zastępców profesorów było 1.157.

Kujawski wywodzi, że ilość kadry naukowej jest niedostateczna i że młodsi mają ogromne trudności w awansie i w wywiązywaniu się ze swoich zadań.

Ale zagadnienie uzupełniania kadr naukowych w związku z większymi potrzebami, to problem oddzielny. Jeśli się bliżej zresztą przyjrzeć tej kadrze i potrzebom to okaże się, że występuje już przewaga kadry technicznej, co jest wyrazem ogólnych tendencji, nie tylko w Polsce.

Procesy adaptacyjne

Czy zmierzch ,,chłopów-robotników''? — zapytywało ,,Życie Warszawy'' (Nr 130 z 2.6.1961 r.), omawiając wynik ankiety przeprowadzonej przez p. Genowefę Nowotną wśród robotników ze wsi dojeżdżających do pracy w zakładach ,,Ursus''.

Przebadawszy 197 robotników dojeżdżających i 92 zamieszkałych na miejscu a pracujących w tym samym dziale, doszła do wniosku, że chłopi-robotnicy bardzo szybko dostosowują się do warunków fabrycznych i mimo początkowo niższej kwalifikacji względnie szybko znajdują się w tych samych grupach kwalifikacyjnych. Różnica w zakresie np. grup średnich i najniższych wynosi już obecnie tylko 4 %. Autorka stwierdza, że chłopi-robotnicy uzupełniają swoje kwalifikacje i nie różnią się od robotników osiadłych, ale że jednocześnie, w obu grupach robotników nie ma zainteresowania do podniesienia kwalifikacji zawodowych przez naukę. Jednolite nastawienie w tej mierze świadczyłoby, że robotnicy nie wierzą już w dalszy awans, względnie iż nie zapewnia on tak wielkiej różnicy w zarobkach, by opłacało się pracować nad podniesieniem kwalifikacji.

Czy jednakże można z tego wnioskować, że chłopi-robotnicy zanikają? Raczej nie. Na pewno nie jest to ani trwała ani sztywna formacja socjalna, ale, zapewne utrzyma się przez wcale długi okres czasu.

Adaptacja do warunków pracy, do pewnych miejskich form następuje szybko, ale to nie oznacza jeszcze przejścia do środowiska miejskiego, pozbycia się właściwości wiejskich. Aczkolwiek brzmieć to może paradoksalnie, szybciej i gruntownej odchodzi ze wsi młodzież posiadająca co najmniej ukończone szkoły średnie, ale i ta, po szkołach zawodowych, obejmując pracę w miastach wsiąka. Nie ma nieomal żadnych trudności adaptacyjnych. Młode pokolenie wiejskie, w bardzo dużym stopniu, jak świadczą wszystkie ankiety i wywiady prowadzone we wsiach różnych województw, już w szkole nastawia się na opuszczenie wsi. Jest psychicznie przygotowane do odmiennych warunków miejskich. Dla tego pokolenia ,,miejskość'' nie jest ani obca ani daleka. Ona przecież w największej mierze konsumuje owe elementy miejskie, docierające do wsi: zapełnia kina, widowiska objazdowe, korzysta z czytelni, uczestniczy w wycieczkach itp.

Nie jest również dla tej młodzieży trudna adaptacja do otoczenia terenowego, gdy pochodzi z innych rejonów względnie nawet z innych krajów. I tak np. repatriant z ZSSR, zarówno pochodzący z dawnych ziem polskich jak i przybyli z głębi ZSSR

(wywiezieni tam), którzy osiedlili się w latach 1957/8 na Ziemiach Zachodnich, ujawnili zadziwiającą zdolność adaptacyjną. Odnosi się to zarówno do tej grupy, która pozostała na wsi, najczęściej w PGR, jak i do tej, która udała się do miast. Zachowywały one w początkowym okresie pewną silną spoistość, polegającą na utrzymywaniu łączności, na osiedlaniu się możliwie zespołowo. Ci z miast natomiast często odwiedzali swoich ziomków na wsi. Ani jednakże nie zdradzali poczucia obcości ani nie uskarżali się na trudności w obcowaniu. Ta ostatnia fala repatriantów była ponadto bardziej otrzaskana z maszynowym procesem pracy, z wszelkim sprzętem mechanicznym, aniżeli ich poprzednicy z okresu bezpośrednio po wojnie. Nie mieli również uprzedzeń do ludności autochtonicznej, do której stosunek pierwszych osadników, repatriantów oraz przybyszów z innych dzielnic Polski, był wręcz wrogi.

Reemigranci z Francji

Proces adaptacyjny, który zdaje się dobiegać do końca, nie przebiegał jednak bezboleśnie, jakby to wynikało z niektórych publikacji. Wręcz przeciwnie obfitował często dramatyczne momenty. Przede wszystkim, gdy chodzi o reemigrantów.

Większość np. reemigrantów z Francji rekrutowała się z robotników i górników co najmniej sympatyzujących z komunizmem, jeśli nie związanych ściśle z tym ruchem. Jechali do Polski z rozwiniętymi sztandarami, wracali do ojczyzny proletariackiej, dla której chcieli pracować. Wracali z młodzieżą urodzoną we Francji, władającą już słabo językiem polskim. Przybywało z nimi, albo tuż po nich, pokolenie zrodzone we Francji z ukończoną już szkołą średnią, by rozpocząć studia na polskich uczelniach.

Jasne jest, że tak państwowe jak i partyjne władze przywiązywały szczególną wagę do tych właśnie reemigrantów. Byli to z jednej strony fachowcy, a z drugiej wyrobiony element polityczny. Wielu należało do władz związków zawodowych, kontrolowanych przez komunistów, inni do partii komunistycznej we Francji. Oczekiwano, iż będą mogli objąć odpowiedzialne stanowiska w administracji terenowej i zakładach pracy. Oni mieli stabilizować władzę ludową.

Jak byli przygotowani na ówczesną rzeczywistość polską trudno powiedzieć. Jedne źródła utrzymują, że przedstawiciele Warszawy zachęcając ich do powrotu opowiadali im cuda podczas gdy drugie twierdzą, iż mówiono im o trudnościach — oczywiście zaznaczając, iż są przejściowe.

„W związku z nieznajomością zwyczajów krajowych spotykały, zwłaszcza młodych repatriatów, stałe nieprzyjemności i afronty ze strony rodaków nie rozumiejących ich sytuacji i mentalności... Emigrant Jr. opowiada, iż po przybyciu transportu repatriantów na teren Polski, na postoju w jednej miejscowości nad Nysą rozpalili ognisko, używając jako opału m.in. obrazów

religijnych, zabranych z domów opuszczonych przez Niemców. Działo się to na oczach polskich żołnierzy.

W nocy żołnierze ci zarządzili repatriantom fałszywy alarm pod pozorem, że nadszedł już pociąg, a następnie idących w kierunku dworca napadli, pobili i obrabowali. Jr i jego koledzy nie rozumieli początkowo przyczyn tej wrogości, a udzielone im w końcu wyjaśnienie, że obrazili mimowolnie uczucia religijne żołnierzy, równie nie trafiało im do przekonania.

W kraju spodziewali się zastać społeczeństwo, które w swojej przeważającej większości składa się z gorliwych zwolenników socjalizmu...

Już pierwszego dnia po przybyciu transportu do Katowic czterech chłopców zostało zamordowanych... Po takim ,,powitaniu'' niektórzy emigranci uciekali z powrotem do Francji i stawali się nieraz najzagorzalszymi agitatorami przeciwko repatriacji''. Władysław Markiewicz: *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji,* Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1960).

To oczywiście tylko epizody. Całość obfitowała w bardziej dramatyczną treść. Partie górników nawet w kilka lat po przybyciu do Polski usiłowały powrócić do Francji. Gdzieniegdzie zespołowo, tak jak przybyli, ale bezskutecznie. Przeżywali dramaty polityczne i tragedie osobiste, ale teraz są już częścią składową nowej społeczności polskiej.

W ,,francuskim'' Wałbrzychu nie należą do rzadkości uliczne rozmowy, szczególnie młodzieży, w języku francuskim. Istnieje między tą młodzieżą urodzoną we Francji, która skończyła wyższe studia w Polsce, serdeczna więź. Naturalnie bez powiązań organizacyjnych, gdyż na to nie pozwalają przepisy administracyjne, a zapewne i inne względy przemawiają przeciwko temu. Niektórzy z nich wyjaśniali, że ich więzy należy traktować jako naturalne, najczęściej powstały jeszcze we Francji, inne w okresie studiów. Poza dyskretnym ,,r'' francuskim, ich język polski jest nieskazitelny, czasem tylko potknie się któryś na użyciu niewłaściwego terminu.

Nie stopiła się jednakże ta grupa bez reszty, przyjmując wszystko z otoczenia. Wł. Markiewicz w cytowanej powyżej pracy, stara się przede wszystkim uwypuklić rolę, jaką odegrał czynnik społeczno-polityczny w świadomości narodowej reemigrantów, co było niewątpliwie ważne, ale nie jedyne. Nawet ten czynnik powodował konflikty, gdyż reemigranci mieli zachodnie spojrzenie na świat, zachodni system wartości i zachodnią ,,way of life''. Jeden przypisek Markiewicza stanowi aż nazbyt wymowne potwierdzenie tej tezy. Pisze on w uwadze:

,,W większym jeszcze stopniu aniżeli fakt, że autor wywodzi się ze środowiska ,,francuskiego'', o atmosferze szczerości, jaka panowała w czasie pobierania wywiadów, zadecydowało odprężenie znamienne dla okresu popaździernikowego. Nieraz odnosiłem wrażenie, że trafiłem na sytuację poniekąd niepowtarzalną, kiedy ludzie po latach milczenia czuli potrzebę ,,wygadania się''.

Z tą niepowtarzalną sytuacją spotykałem się zarówno w 1958 r. jak 1960 r.

,,Reemigrant wykazuje tendencje przypisywania sobie wszystkich cech dodatnich, jakie posiada środowisko kraju, w którym przebywał na emigracji, a grupie rodzimej z kolei przypisuje cechy ujemne, które przypisywało to obce środowisko jemu na emigracji.

Grupa rodzima wykazuje tendencje do przypisywania reemigrantowi wszystkich cech ujemnych, jakie widzi w środowisku kraju, w którym przebywał on na emigracji.

stwierdza Stefan Nowakowski w najlepszej pracy polskiej na temat przeobrażeń społecznych w Polsce. (*Adaptacja ludności na Śląsku Opolskim,* Instytut Zachodni, Poznań 1957 r.).

Ujawnia on nie tylko utajoną wrogość między grupami ludności, ale otwarte konflikty. Należy to do przeszłości, ale oba wyżej cytowane wnioski, tezy prof. Nowakowskiego są bardzo ogólnikowe, mieszczą się w zbyt szerokich ramach. Z bezpośrednich obserwacji i wywiadów zaryzykowałbym twierdzenie, że w obu grupach (reemigranci, szczególnie z Francji i polskiej ludności) zaważyło wychowanie społeczno-polityczne.

Polscy komuniści z Francji wyrośli w środowisku demokratycznym. Obce im było posłuszeństwo wobec każdego przedstawiciela wszelkiej ,,władzy'', brak poszanowania dla autorytetów. Mieli ogromne poczucie swobody indywidualnej, co wyrażało się w ich codziennym trybie życia. Mieli ogromne poczucie własności osobistej, tendencję do ciułania. Z tym wszystkim, przy programowej akceptacji i wierności wobec systemu politycznego i wobec ustroju państwowego, byli jednocześnie cierniem w oczach zarówno społeczeństwa polskiego, jak i partii i jej administracji państwowej. Należąc do partii byli fermentem nie tylko z powodu nieznajomości warunków krajowych, ale wskutek ,,zachodniego'' podchodzenia do zagadnień. Najwięksi aktywiści przeżyli największe rozczarowania i wcale szybko pożegnali się ze stanowiskami w aparacie partyjnym i państwowym lądując na skromnych miejscach pracy, zazwyczaj już we własnym ,,francuskim'' środowisku.

Młode pokolenie inteligenckie z tej grupy z dumą podkreśla swój francuski rodowód jako legitymację przynależności do Zachodu. Zdarzyło mi się nieraz słyszeć od nich przyznawanie do ,,dwóch ojczyzn'', ale podkreślają iż Polska znajduje się na pierwszym miejscu. Zdaje się, że ich udział w ,,demokratyzowaniu'' systemu jest nieznaczny, gdyż przynajmniej dotychczas, brak wśród nich jednostek zajmujących czołowe stanowiska. Natomiast wywierają niewątpliwie pewien wpływ na swoje otoczenie.

Nowe oblicze

Pod względem formalnym nastąpiło nie tylko zlanie się wszystkich grup, ale wytworzyło się nowe oblicze. Świadomość narodowa jest silna, w trybie życia różnice są minimalne. Star-

sze pokolenie przesiedleńców i reemigrantów, mimo awansu społecznego, zachowuje uczucia nostalgiczne. Jest to już tylko abstrakcyjna tęsknota, wyrażająca się raczej we wspomnieniach, aniżeli szukająca form realizacyjnych. Decydującą rolę odgrywają ludzie średniego i młodego pokolenia. Ich formacja jest skrajnie odmienna od przedwojennej, stąd też nie szukają z nią powiązań i nie znajdują płaszczyzny porozumienia. Nie jest to jedynie wynikiem wychowania powojennego i braku ścisłych wiadomości, o tym co było, ale ich zdaniem tamten okres jest zamknięty; nie ma do niego obiektywnych warunków powrotu, nie może więc stanowić bazy wyjściowej dla rozwoju i dla ram współczesnej rzeczywistości.

Rozwój i dalsze przemiany odbywać się mogą jedynie i wyłącznie w istniejącej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Nawet najpiękniejsze i najcenniejsze hasła przeszłości mają teraz inną wymowę i inny wydźwięk. Nie brzmi to mile dla naszego ucha, ale tak jest. Nie dostrzeganie tych przeobrażeń, zamykanie na nie oczu, na pewno nie zmieni stanu faktycznego. Błędne jest zarówno twierdzenie, że wszystkie przemiany są następstwem świadomej, programowej działalności partii i jej aparatu państwowego, w którym społeczeństwo odegrało bierną rolę, jak i pogląd skrajnie odmienny, że społeczeństwo *sua sponte* w specyficznych warunkach przeorało oblicze narodu. Ustrój, zmiany terytorialne, migracje, zagłada ludności żydowskiej przez Niemców, okupacje, wejście w życie nowych pokoleń, industrializacja, urbanizacja oraz rozwój technologiczny, wszystkie te elementy są u podstaw tego procesu i wszystkie mają w nim swój procentowy udział.

Jaki? To już oddzielny problem.

Benedykt HEYDENKORN

Sprawy i Troski

Uchodźcy

Sznur różnokolorowych samochodów znaczył front budynku, do którego zmierzałem. Niektórych właścicieli znałem i wiedziałem że są w klubie. Ten nowy FORD należał do szewca damskich bucików. Zauważyłem — tak mi zresztą raz tłumaczył — iż czym dłuższe są obcasiki i o ostrzejszym zakończeniu, tym są droższe. Dawaj więc robić tak wysokie i wąskie, że tylko nóżki w nich łamać. Na peryferiach willa, — ojczyźnianego powietrza mu tylko brakowało. Obok auto tego, co zaczął od ręcznego wyrobu damskich torebek. Dziś handlarz skór, posiadacz VAUXHALL i domu w dzielnicy uniwersyteckiej. A tu właściciel pralni wyłazi właśnie ze swej dryndy.

— Jak tam, panie szefie? — zagadnąłem byłego bosmana.

— Chodź. Połkniemy kieliszek chleba powszedniego — zapraszał mnie.

Postać przed drzwiami z napisem: „Polish Ex-servicemen Club", miała ręce głęboko w kieszeniach i robiła wrażenie właściciela ulicy. Dymno i szumnie było wewnątrz. Manadżer w hallu, przepisowo ubrany, z przepisowym fałdzistym karkiem, przelewającym sadło na zewnątrz sztywnego kołnierzyka i z bursztynową cygarniczką, trzymaną w rogu warg na ukos. Kłaniał się od pasa, usztywniając przy tym kark, ukazywał łysinę, spoglądał na gości spod spuszczonych brwi i wymawiał z uszanowaniem jakieś syczące słowa, których nie tylko nowoprzybyły, ale na pewno i sam wymawiający nie mógł rozumieć. Jednym słowem — człowiek umiejący zachować się w każdym towarzystwie. Czule całował przegub rączki wdowy, pani pułkownikowej, z niedwuznacznym uśmiechem klepał w zadek Betty, która wolała „fiśniófka" od whisky i poważnie ostrzegał byłego mata Hryńkę, że jakkolwiek w zasadzie nie ma nic przeciw niemu, a raczej czuje sympatię do

marynarzy, ale jeśli po raz szósty zachleje się jak świnia i, nie daj Boże, znów zacznie śmigać kieliszkami w inne stoły, to z wielkim żalem, ale dla utrzymania dobrego imienia Klubu każe go wykidajle wyprowadzić.

Nieszczęśliwi kombatanci, przeplatani płcią miękką, zajmowali wszystkie siedzenia i stoliki i zalewali swój tragiczny los. Manadżer taskał już (znów dowód szybkiej orientacji i uprzejmości) dla nas krzesła z pokoju sobotniej szkółki. Przystawił je do stolika, zajmowanego przez dwie, o średnich tuszach, panie. Szef znał je widocznie, bo jedną wabił już pani Kasiu, a druga też nie była obca, bo z wstydliwym uśmieszkiem spuściła rzęsy jakby nie wiem co tam między nimi było podczas ostatniego spotkania.

Nagle... ktoś rąbnął mnie w plecy, po czym zaczął mnie dusić. Kiedym siłą zdarł jedną rękę z krtani a drugą z oczu, poczułem spotniały, jak psi nos, chropowaty policzek i nieprzyjemny wyziew.

— Wiciu! — nie poznajesz mię? — Przewieszona od tyłu przez moje ramię głowa ukazała twarz rżącą jak goniąca się szkapa. Jak mogłem rozpoznać? Pomijając choćby odległość czasu, trzeba przecież pewnego dystansu by na skutek akomodacji oczu wzrok mógł objąć jako tako całą facjatę. Jego nos przytykał do mojego; widziałem tylko olbrzymie pory skóry, kalafiory i czarną jamę z żółtym zębem tu i tam. Kiedy go wreszcie odepchnąłem, rozpoznałem twarz Bukraby. To ten, co mi tak przygadywał, gdy na barce wlazłem do kuchni by kucharzyć.

— Toś ty przecież do kraju wyjechał? — stwierdziłem w zdziwieniu.

— No tak — przyznał. — Wyjechał i przyjechał.

Prawdę mówiąc w hierarchii moich kolegów nie zajmował on pierwszego miejsca. Nie był nawet na średnim miejscu. Łączyło nas jedynie braterstwo broni. Skąd ta jego wylewność? Chyba z wódki? Jeśli tak — to dobrze. Tymczasem szef zdążył już zamówić. Dubeltowe wiśniówki czekały na akt wypicia.

— Patrz tu z czego żyjesz — pociągnął mię za łokieć.

— Najpierw ze mną — ciągnąc za drugi, upierał się Bukraba. — Dziesięć lat my się nie widzieli... — stawiał argument.

— No, nie.. Chyba cztery? — odparłem po grubszym obliczeniu.

— Pijesz, czy nie pijesz? — denerwował się szef, a każde jego słowo znaczone było chlapnięciem z trzymanej szklanki.

Teraz bez żadnej zwłoki zrobiliśmy, jak szef kazał.

— No i gdzie jest ta wódka, którąś pierwszy chciał pić? — niezwłocznie zapytał Bukraby.

Dwie panie maczały wargi, zostawiały odbitki szminki i nie ıieszały się do rozmowy.

— ...Chodzi tylko od stolika do stolika i chce by się z nim :apić, tylko że wódki nie stawia — ględził szef.

Z logicznych i kategorycznych wypowiedzi pracza mógłbym ię założyć o następną kolejkę, że zanim tu przyszedł ze mną ıż miał trochę w czubie. Bukraba, który nie miał krzesła, stał v postawie wyzywającej i pytał tonem wykluczającym jego osobę posądzenia.

— A kto to wódki nie kazuje? Jabym was jeszcze na śmierć :alał.

Właśnie jedna z roznoszących zbliżała się z tacą.

— *Five double whisky* — kazał dumnie z wysokości swych ıóg.

Ktoś brzdąkał na fortepianie. Jakaś obsada stolika nuciła: „Góralu czy ci nie żal!...

— No, jakżeż tam było? — zagadnąłem Bukrabę, odstępu-ąc mu pół krzesła.

Opróżniliśmy kolejkę. Bukraba nie zdążył odpowiedzieć. Szef :iągnął:

— Co za naród! Ojczyźnianej eksportowej wódki nie chce ɔić. Gdzie patriotyzm?

— Co, komunistów wzbogacać? — zaoponował Bukraba.

— Nie są znów tacy źli, jak ich malują — brał go pod włos zef.

— Ja nic z tego nie rozumiem — oburzała się Szkotka, oleżanka Kasi.

— To lepiej — odburknął szef.

Zakręcił się koło nas manadżer. Nic nie mówił a po prostu ɔrzeciskał się między stolikami, łzawiąc sobie oko z trzymanego ıa ukos papierosa w bursztynowej lufce i uśmiechając się do ɔości po manadżersku.

— No, jak tam było Bukraba? — zagadnąłem go znów.

— Przede wszystkim nie Bukraba — zaprzeczył. — Był vprawdzie z nami Bukraba, ale ja Kuterba się nazywam.

— Głupstwa takie szczególiki, streszczaj się. — W oczach niałem całą galerię twarzy, twarzyczek i mord z przeszłości.

— Nie myśl sobie, że ja taki sobie zupełnie głupi na jakiego vyglądam.

— Kuczyrwa! nigdy bym się po tobie tego nie spodziewał — oznajmiłem mu.

— Czegoś się nie spodziewał?

— Tego, coś powiedział.

— A co ja powiedziałem?

— Nic nie powiedziałeś a miałeś mówić jak tam było.

— Ty!... Stoję sobie na górze węgla...

— Zaraz! zaraz? gdzie i na jakiej górze? — Chciałem się zorientować.

Zanim mój rozmówca zebrał bezładne myśli, usłyszałem głos Betty:

— Mam dość tych gburów. Chodź na górę tańczyć. — Obie zadusiły niedopałki, zaglądnęły w lusterka w torebkach, wyprostowały sukienki, wstały i wyszły. Kuterba przeczekał to cierpliwie i wreszcie zaczął:

— Ładowaliśmy...

Ale przechodzącą kelnerkę szef przyciągnął za biodro i czule zamówił następną kolejkę. Oczywiście przerwał Kuterbie.

— Jak mi się jeszcze raz wpieprzy w paradę, to — nasermater! — pójdę w cholerę!

— Szefie, przymknij się — prosiłem — niech nam powie, co — myślę — dawno wiemy. — Chociaż ostatnie słowa przyciszyłem, rozmówca odgryzł się:

— Ty g...o wiesz, boś tam nie był.

— Dlatego słucham — uspokoiłem go.

— Wiesz! uciekałem przez Gdynię! — tu puknął w głowę palcem (Cóż on przez to chciał powiedzieć?) — i ciągnął: — Znalazłem robotę w porcie aby tylko bliżej jakiegoś Szweda. — Znów puknął się w miejsce, gdzie czasem bywa mózg. — W Gdyni odniechciało mi się uciekać. Choć zlikwidowali wszystkie nasze stare bary, a dziewczynki też pozamykali i dużo się zmieniło coś mię tam jednak trzymało.

Szef kręcił się niecierpliwie i oczyma szukał kelnery. Kuterba zauważył to i zaciął się, grożąc milczeniem. Po chwilce jednak odzyskał głos: — Gazetom nikt nie wierzył, to też ludzie mieli swoją szeptaną drogę. Opowiadali, zdawałoby się, niestworzone rzeczy. Ale zdarzyło się raz i drugi, że te niestworzone rzeczy doznałem na własnej skórze, czasem na własnym żołądku. Musiałem uwierzyć. Ładujemy raz węgiel na sowiecką łajbę. Ładowały nabierarki a my z łopatami podgarniali na kupę z powrotem co się rozsypywało. Jakeśmy już zapełnili bunkry, idzie nasz nadzorca, komunista ale fajny chłop, z książką na pomost żeby podpisali odbiór. A już cumy zrzucili, pozostawili tylko po jednej manilówce. Już tam wszyscy oficerowie powłazili na swoie przydziały a kapitan na pomost. Patrzymy my się z dołu. Jakiś sowieciarz, oficer, wyszedł naprzeciw. Nasz podaje mu książkę do podpisu a tamten zgiął ramię w łokciu i zapytał: — A taki h... lubisz? Nadzorca wciąż stał i czekał. Sowieciarz wyjął spluwę

wskazał nią na molo. Nadzorca — komunista, ale fajny chłop, rócił, jak zmyty, bez podpisu.

Po tym wypadku popatrzyliśmy po sobie, rzucili łopaty i oszli do domów. Jak się miało prawo wejścia do portu, to wleźć a obcy statek nie było tak trudno. Na drugi dzień przyszedłem iby do węgla i od razu wlazłem na Szweda.

— Pijesz, czy nie pijesz? — ryknął z ulgą szef, ucieszony, e tamten wreszcie skończył. Kuczyrwa stanął przed pełną szklanią wiśniówki, stanowiącą trzy dubeltowe kolejki jakie szef zlerał podczas opowiadania. Uciekinier okazał się bardzo rozumny. Ocenił, że było to ponad jego siły. Machnął ramionami do siedzącego przy narożnym stoliku towarzystwa i odpłynął w tym kierunku. Ukazał się znów manadżer. Pracę przeciskania się między tolikami wykonywał bardzo sumiennie. Tam, gdzie najciaśniej, am właśnie z zakłopotanym uśmiechem pchał swą potężną figurę. Tu zmuszony był uchylić oparcia krzesła, tam stanął twarz w twarz, piersiami do piersi z kobietką zajmującą więcej miejsca niż dwóch mężczyzn. Nie cofnął się. Walecznie szarżował przeciw wypiętym piersiom. Wycierał pot z czoła, patrzył ponad głowami siedzących gdzieś w naszym kierunku. Spotkaliśmy się wzrokiem i odtąd nie zbaczał z mego kursu. Przywitał się najpierw z szefem, następnie rozsiadł się na dobre naprzeciw mnie. Zaczął od eleganckiego mignięcia i prztyknięcia palcami w kierunku jednej z obsługi. Zamówił.

— Panie szanowny, przepraszam że przerywam.

Skinąłem mu głowę na znak wybaczenia.

— Na ostatnim naszym posiedzeniu, zaprotokółowanym zresztą bardzo obszernie przez naszego sekretarza... Zna go pan?

— Wątpię.

— Nie zna pan majora Żeligi?

— Nie.

— Bardzo poczciwy człowiek, mimo wykształcenia i rangi nadzwyczaj liberalny w ustosunkowaniu się do ludzi prostych. Ma on też wprawdzie swoje muchy, ale kto ich z nas nie ma? W każdym razie jeśli chodzi o pracę społeczną, jest jej poświęcony bez reszty.

(Ziewnęło mi się niegrzecznie, choć niechcąco).

— Wie pan — pozostawił już osobę sekretarza — przyzna pan, że nie wolno nam zapominać o naszych zmarłych i poległych.

— Oczywiście.

— Na ich zdrowie...! — wyseplenił szef, wznosząc szklankę. (Wygrałbym, gdybym się założył, że miał już w czubie zanim przyszliśmy tu).

— Panie szefie... O zmarłych mówimy — poważnym głosem skarcił go manadżer i wyskandował: — Bo nigdy nie wiamo — zwrócił się znów do mnie — jak, gdzie i kiedy nam wypadnie skończyć. — Głos przy tym zadrżał mu, zaskrzypiał i nieomal załkał. (Co za aktor!).

Gdybym był normalnym człowiekiem, jak szef, który teraz podparł brodę i strasznie ponuro zapatrzył się w stół, czy choćby większość siedzących gości, mógłbym nawet wycisnąć łezkę, zamiast jednak tego parsknąłem śmiechem w dłoń i zakamuflowałem to kaszlem.

— W mojej pozycji nie wolno mi jest pić — orzekł manadżer, unosząc kieliszek. — Proszę! proszę!... — zalecał mi, zupełnie zbytecznie. Po przełknięciu tłumaczył mi: — Rozumie pan, moja pozycja jako prezesa SPK i manadżera klubu, reputacja całego stowarzyszenia...

— Oczywiście — zgadzałem się.

— ...Wracając do naszej sprawy z ostatniego posiedzenia... Otóż pułkownik Małaga... Zna go pan?

— Wątpię...

— Bardzo szlachetny człowiek. Całe życie poświęca dla dobra drugich.

Zabezpieczyłem twarz dłonią przed ziewnięciem.

...Otóż on właśnie podał wniosek, zaprotokółowany dokładnie przez wspomnianego p. majora Żeligę, że mimo braku funduszów, powinniśmy jednak coś zrobić dla tych, który odeszli. Bardzo wzniosły wniosek musi pan przyznać — dobitnie skandował, patrząc mi w oczy.

— Oczywiście — przyznałem.

— Nie mam prawa zabierać panu czasu, dlatego przystąpię do sedna rzeczy. A może jeszcze jednego? — wskazał na puste szklanki.

— Oczywiście!

— ...Chodziłoby o odświeżenie, czyli odmalowanie krzyży. Pan wie gdzie nasi spoczywają?

— Tak...

— Dostarczymy farb, jakich trzeba, pędzli i na przejazd. Wiemy, że pan ma ku temu kwalifikacje. — Zakończył słowami: — Gorąco pana proszę w imieniu całego zarządu. Zrobi pan?...

— Oczywiście.

— Wpadnij pan do nas któregoś dnia, przed Zaduszkami ma się rozumieć, obgadamy szczegóły. Moje uszanowanie — odszedł między stoliki.

Obudził się szef. Nie był to sen twardy, osądziłem, gdyż dowcipnie pytał: — A dlaczego to pan pułkownik, całe życie pracu-

-cy dla drugich, nie weźmie puszki farby i pędzla i nie przejdzie ę na cmentarz? Wnioski stawiać, to tak, ale robotę, to cudzymi ękami wolą wykonywać.

— Oczywiście!

Wnet wrócił nasz przygodny towarzysz. Z tajemniczą miną ajął krzesło, zniżył głowę i głos i ruchem ręki polecił nam to amo: — Wiecie, siedziałem z prezesem stowarzyszenia, czy rzeszenia... już nie pamiętam jakiego, bo tutaj co drugi, to prezes, słuchałem. Był tam doktor Borycky (widać, że sobie zangliczył azwisko) i inżynier Kozicki z marynarki. To on właśnie mię oznał i przywołał. „Ja tu słucham, gada prezes, ale nie bardzo ię kapuję o co chodzi. Co z niego za pisarz, pyta on, a może iterat? Ani nie ma wykształcenia, ani nic, a przede wszystkim ie ma wyglądu. Ja wiem, co mówię, powiada, ja znam się na udzkiej fizjognomii. Ja wyczuję literata na odległość. U takiego widać powagę, uduchowioną twarz, ubiór, włosy, wymowę, wszy-tko. A on co? Wódkę pije, jak nałogowiec, za kolegów ma ot racza i jemu podobnych, a to że w m a r y n i o r c e służył, eż niczego nie dowodzi. Dopiero jak wymienił twoje nazwisko, apnąłem się, że o tobie mowa — zdradził mi Kuterba. — A wiesz kto cię bronił?

— No?

— Właśnie Kozicki. Pyta on prezesa tak: czy on, znaczy ty, rzedstawił się kiedy panu jako pisarz? Albo czy kiedykolwiek złożył o sobie oświadczenie słowem lub w piśmie, że jest pisa-rzem? Bo jeśli nie, to pretensje powinien kierować do tych, co akiego określenia użyli. A to wszystko dlatego — objaśnił mię Kuterba — że prezes powiedział w „maryniorce". Obraził mary-narkę i Kozickiego, co też służył w „maryniorce".

Po wysłuchaniu mojej zwięzłej biografii, odmówiłem dal-szego picia gdyż z reguły frajerskiego, czyli bez możności rewanżu, ie pijam, co im otwarcie oświadczyłem. Pożegnałem więc przy-aciół, z trudem wyminąłem stoliki, w hallu skinąłem manadże-owi i wyszedłem.



Sprawa malowania krzyży na pozór łatwa, utknęła na progu wszechwładnej biurokracji. Zacząłem przechadzkę do parku szty-wnych celem stwierdzenia jakich kolorów i pędzla potrzeba. Po-mimo braku funduszów wyasygnowano małą kwotę. Z duchem, aki mię ożywiał 30 lat temu, wyruszyłem. Tak się złożyło, że iedy szedłem poprzednio z gołymi rękoma, nikt się mną nie

zainteresował. Obecnie grabarz, czy stróż, mieszkający na cmentarzu, wyszedł za mną i z bezpiecznej odległości podglądał. Od głównej dróżki w lewo rozpoznałem kamienny nagrobek Spychały. Kamień znaczył rząd białych drewnianych krzyży z misternie malowanymi godłami, nazwiskami i datami śmierci. Za tym tkwił rząd drugi. Czytane nazwiska łatwo łączyłem z okrętami, na których służyli. Spychała z BŁYSKAWICY, Sikorski z PIORUNA, Moczyła z BURZY itd. Za nazwiskami postacie, jak we mgle, z zamazaną wyrazistością. Drugi równoległy rząd krzyży zapoczątkowany był marynarzami a kończył się szarakami. Biały lakier spękał na słońcu i tworzył deseń siatki czerpakowej. Na samym końcu tkwił najlepiej prezentujący się krzyżyk. Farba lekko pożółkła, ale bez spękanego deseniu. Któż to przybył niedawno? — zaciekawiłem się. — Ach! — zachłysnąłem się. Napis warczy i kłuje w oczy: Piłas Paweł; a za tym wyraźna, zachmurzona kłopotami twarz.

— To tutaj, bracie, dali ci legowisko?

Wyciągnąłem nóż i począłem podważać denko puszki z białą farbą. Oto człowiek, który nie miał zamiaru osiąść tutaj — tętniło mi w głowie. Grabarz, czy stróż, zdobył się na odwagę. Podszedł głośno po szutrze by mię nie zaskoczyć i zapytał grzecznie co ja mam zamiar robić.

— Jak widzisz będę malował — oświadczyłem, wskazując wzrokiem na farbę.

— A masz pozwolenie — ciekawił się dalej.

— Oczywiście. Od samego prezesa polskich kombatantów.

Skrzywił się jakoś, jakby nigdy o prezesach ani o wspomnianym stowarzyszeniu nie słyszał. W krótkiej z nim rozmowie przekonany zostałem, że na razie krzyży malować jest mi nie wolno, bo w przeciwnym razie mógłbym stanąć przed sądem za zniekształcenie i zdyskolorowanie własności tak zwanej Brytyjskiej Imperialnej Komisji Grobów Wojennych. Do nich to właśnie trzeba było pisać o pozwolenie. Upłynęło 6 miesięcy zanim przez prezesa, przez zebranie komitetu koordynacyjnego, które niewątpliwie było skrupulatnie zaprotokółowane, przez właściwe podanie do odnośnych władz brytyjskich i po czekaniu na odpowiedź, cel wniosku, bardzo zresztą liberalnego wnioskodawcy, został osiągnięty, nie zapominając też mego wkładu pracy fizycznej. Nie obeszło się też bez pewnych powikłań, o których lepiej byłoby nie mówić, ale ku pocieszeniu rodzin zmarłych i poległych, przypomnę, iż wartość modlitwy jest zupełnie zależna od intencji modlącego. Czy się klęczy na ziemi, kryjącej drogie nam szczątki, czy klęczy się w kościele Mariackim w Krakowie, a szczątki zżarła sól morska, to przecież nie ma żadnego znaczenia.

Według samych Szkotów przewidywanie pogody w Szkocji jest bardzo uproszczone i łatwe. Otóż albo leje w obecnej chwili, albo nie leje, więc wkrótce będzie.

Kiedy po raz trzeci ruszyłem na cmentarz — lało. Oczywiście wstąpiłem do grabarza. Po okazaniu mu pozwolenia z podkreślonym wyszczególnieniem, że nie wolno zmieniać ani kolorów, ani stylu grabarz wykazał dużą dozę współpracy. Doradził mi bym wyciągnął krzyże z grobów, wbite tylko na jedną stopę głęboko, i przyniósł do szopy, gdzie na sucho mógłbym malować. Wyciągnąłem więc i dwukrotnie, naręczami po sześć, zaniosłem pod dach. Kiedy wziąłem w ręce krzyż z napisem Piłas Paweł, utwierdziłem się w przekonaniu iż jest to rzeczywiście ostatnia przysługa, jaką mogę staremu przyjacielowi wyrządzić. Zachować go w pamięci — i owszem, ale na tym niech będzie koniec. Nie chciałem by swym marnym losem i końcem przypominał mi o moim. Pozostała tylko praca wbicia krzyży w swoje miejsca i — tu zawahałem się. Coś przegapiłem. Przynajmniej wiem, że Piłas leży na końcu rzędu, ale w którym szeregu? pierwszym, czy drugim? Musiałem się pogodzić z tym, że krzyże z pewnymi nazwiskami nie koniecznie utkną nad ich właścicielami. Cóż Piłas miał na myśli kiedy niedługo przed końcem zapytał: czy widziałeś tutejsze cmentarze? Prawdę mówiąc widziałem, ale i co z tego? Pewne rzeczy można widzieć tylko oczyma, bez wchłonięcia tego w świadomość. Z wystrzyżoną do golizny trawką, przestrzeń bez żadnego ogrodzenia, i tuż przy ruchliwej ulicy, nie tylko nie oddziaływuje, ale nawet nie zwraca niczyjej uwagi. Szczęśliwie ten miał parę krzaków i sztachetowe ogrodzenie. Tu i ówdzie protestancki kamień. Katolicy i protestanci potrafią leżeć obok siebie w zupełnej zgodzie. Śmierć jest rozwiązaniem wszelkich problemów, goi wszelką nienawiść. Nie ma nic w tym miejscu, co by żywych pociągało. Nie ma uroku, majestatu, spokoju i odosobnienia. Żywi więc stronią, omijają i wolą nie patrzeć na miejsce przyszłego spoczynku. Praktyczny Anglik przywiązuje wagę tylko do rzeczy doczesnych, a o tym co potem nie myśli. Być może jest to nauka życia, która sprawiła że wolę las od ludnej ulicy, morze od portu. Ja czuję się dobrze i bezpiecznie na cmentarzu wśród umarłych, co nie zawsze mógłbym stwierdzić będąc wśród żywych. W kraju, pociągał mnie szum wysokich sosen, zapach żywicy, gęste zarośla i wysoka trawa, w której można się było ukryć. Kamienne figury świętych i aniołków. Na grobach i grobowcach napisy w rodzaju, jak na Oksywiu: „Mężu! dawniej Twój uśmiech — Dziś tylko Mogiła".

Albo popularne: „Boże! Zabrałeś naszą córeczkę w poczet Swych Aniołków". Anglik przystraja grób jedną względnie kil-

koma morskimi muszlami. Pomyślałem: — Często mieszałem wśród żywych, teraz zamieszałem wśród umarłych.

Opuściłem cmentarz zanim miałyby mnie najść markotniejsze myśli.



Naturę szefa można było różnie określać, ale nie można było powiedzieć by łatwo popadał w depresję. A jednak zwierzył mi się raz po swojemu, co wypadło dość dziwnie:

— Wiesz, interes idzie dobrze, no i co z tego? — pytał mnie.

— Forsa! — odpowiedziałem.

— No i co z tego?

— Wszystko. Forsa i zdrowie — dodałem z poprawką.

— Nie, nie — zaprzeczył. — To nie jest wszystko. I na brak pieniędzy nie mogę narzekać; i zdrowie mam, ale po tylu latach wszystko jest mi tu wciąż obce. Nic mi nie pozostało. Nadziei na powrót, jak nie było, tak nie ma.

— Nigdy nie wiadomo, może się zmienić — odpowiedziałem proroczo.

— Nie — zbił mię z tropu — dla mnie nie ma powrotu. W moich okolicach ruscy się rozgospodarzyli, więc do nich mam wracać? Co mi pozostało? — pytał znów.

— Wódka — podałem chytrze.

Popatrzył na mnie, jakby oczekiwał zobaczenia żartobliwej miny, bo u niego w głowie żartu nie było.

— Z wódką to musimy poczekać aż zamknę — wyjaśnił.

Magda i Krystyna, pomagierki, podrygiwały w takt wibracji elektrycznych maszynek. Jakiś zapóźniony klient wszedł jeszcze, sięgnął nosem do lady i z słowami: — *Here Mister* — podał bilet z numerem, i dalej dziobał paluszkami w chipsach. Magda i Krystyna spoglądały na pionową linię wskazówek zegara, — odpięły fartuchy, na głowy narzuciły przezroczyste chustki i wyszły. Szef popatrzył na mnie, na zegarek i za odchodzącymi kobietami.

— Punktualne, co? Odwrotnie niż rano. — Po tej uwadze obsłużył jeszcze małego zjadacza chipsów i podszedł do drzwi by je zamknąć, ale wtedy wlazł jeszcze niedaleko mieszkający Kalina, też kawaler, jak i szef, i chociaż ten drugi bił go wiekiem o co najmniej 10 lat, bił go też tuszą, energią, apetytem i popędem płciowym. Kalina oczytany lubił cytować urywki z Norwida, albo nawet ględził o takich mądralach matematycznych jak Euklides, czy Hipparch. Nieszczęściem było to, że tego rodzaju ludzie,

rozmarzeni, ze znajomością literatury młodej i starożytnej, nie umieli najprostszej — a może najtrudniejszej, rzeczy — mianowicie żyć. Szewc — tak, dawał sobie radę, ale Kalina nie był szewcem. Wspominał stale o rodzinie, co tylko denerwowało szefa. — To nie jest nasz człowiek — szepnął do mnie rogiem ust. — To jest szarak. Żali się tylko i płacze i ślini się.

— Masz tu — podał Kalinie kawał salcesonu, co zrozumiałem — a na pewno Kalina nie — miało służyć do zatkania mu twarzy. W tylnej ubikacji pralni była istna rupieciarnia: wory z płatkami mydlanymi, dziesięciogalonowe gąsiory z płynem do wybielania. Oczywiście elektryczny grzejnik, czarny chleb, kiełbasa, słój grzybów w occie i wiecznie gotowy imbryk z kawą. Niedopałki i odpadki jedzenia zaśmiecały podłogę. Była też prycza gdyż szef był pracowitym człowiekiem i często pracował do późna a wtedy na noc nie wracał do domu. Na stole w martwocie stały trzy butelki od whisky. Szef wstrząsnął każdą wiedząc z góry, że są próżne. Zarzucił płaszcz, zamknął pralnię i wyszliśmy. Stara Govan Road i cała dzielnica portowa smagane były deszczem i wichurą. W kręgu mdłych świateł, jakie dawały lampy uliczne, widać było ruch smug kroplistych, a poza kręgiem ciemnia. Przechodnie powtulani w swe kołnierze, snuli się wzdłuż murów domów jak zmokłe duchy. Samotrzeć człapaliśmy od kałuży do kałuży ku kolejce podziemnej. Kalina otworzył wprawdzie raz twarz, coś o wrzosach, ale słowem „małczy" szef zgasił go. Wojna wyzuła mnie z sentymentów i to, co mi wtedy zasmędziło głowę, miało znaczenie czysto porównawcze. Kiedyś za młodocianych lat wylegiwałem się nad wierzbiną porośniętą Jasiołką, patrzyłem w gwiazdy i smętnie rozmyślałem ...Jakby to wspaniale było być w obcym kraju, w olbrzymim mieście jak Chicago, Londyn, Liverpool, czy Glasgow. Żyć tam, gdzie świat jest otwarty. Błyskotliwe limuzyny, okna wystawowe co najobojętniejszych potrafią przyciągnąć, gdzie dalej jak 500 metrów nie potrzeba iść, bo do wyboru są tramwaje, autobusy, czy kolejki podziemne. Gdzie za jeden bilet można przesiedzieć w kinie przez cały dzień i pół nocy. Gdzie na przykład, jak tutaj, jest 1100 barów. Właśnie i człowiek dusi się i kiśnie. Z ulicznej dżunglii sięgałem do świeżego powietrza, do natury nad Jasiołką. W przeciągach tunelu Kalina począł kaszleć, parskać i dławić się. W wagonach podróżni, znudzeni, osowiale patrzyli w podłogę. Wreszcie wysiedliśmy a stąd jeszcze kawał autobusem. Szef miał własne mieszkanie na drugim piętrze budynku, po którego obu stronach dawniej przylegające domy teraz leżały w gruzach. Mały przedsionek, duży pokój jadalny. W jednej wnęce łóżko, w drugiej kuchenka. Osobno pokój sypialny. (Dlatego szef w nim nie sypiał). Za

forsę z swej końskiej pracy kupił to i umeblował. W częstych rozmowach zjeżdżaliśmy na temat powrotu do kraju. Kombinował, przemyśliwał, wyobrażał siebie już w ojczyźnie. Porównywał tamte z tutejszymi warunkami. Myślał o założeniu tam pralni. Przechodził punkt po punkcie, każdą możliwość i z miejsca utykał. — Tak, tak — ironicznie przesądzał sprawę z góry — jak mnie obłożą podatkami, to forsy ze sprzedanych maszynek na to nie starczy.

Uniosłem brwi pytająco.

— Co, nie wierzysz? To nie jest wyczytane z „Dziennika Polskiego". I na poczekaniu wyciągnął list od byłego sąsiada ślusarza, z którego wyczytywał próbę założenia warsztaciku w kuchni, a która zarazem była jego mieszkaniem. — I jak się to skończyło? Warsztacik musiał zamknąć, pilniki sprzedać i teraz jest bezrobotnym. Próbowaliśmy możliwość drugą, i znów utykał. Zabieram swoją krwawicę i jadę. Kupuję takie, jak to mieszkanie, i co? Wsadzają mi lokatora — oczywiście szpiega. Gdyby mi się tu jaki Nieproszony Szkot wpakował, to bym go z drugiego piętra przez okno wyrzucił. I prawo byłoby po mojej stronie. Dokładnie jakby to szef zrobił, postąpił w kraju brat naszego kolegi, też byłego bosmana. Tylko, że tam praworządność nie stanęła po prawej stronie. W rezultacie obrońca mieszkania poszedł pod sąd. Wiadomo, że karę śmierci zniesiono, ale nie dla wrogów ludu... Rozstrzelano go. — No i jak tu jechać? — zapytywał bezradnie.

W mieszkaniu było zimno, jak w lodowni.

— A teraz kielunek chleba na rozgrzankę — zaproponował szef. Wystawił butelkę „Black & White". Następnie przystawił zapałkę do pieca, który wnet buchnął płomieniem.

— „Precz, precz od nas smutek wszelki"! — wydeklamował Kalina. — Zresztą mam wrzody na dwunastnicy — usprawiedliwiał swą wstrzemięźliwość, jeśli chodzi o alkohol. — Jak kocham starego Cypriana, tak nie mogę iść za jego wskazówkami. — „Z żywymi trzeba naprzód iść, po życie sięgać nowe!" — deklamował dalej. — To znaczy mamy się obrócić do kraju zadem, gdzie ziomkowie w 5 lat po wojnie wciąż giną i z Anglikami tańczyć Woogie-Boogie.

Zbyliśmy to milczeniem. Szef krzątał się w kuchence, widocznie przyrządzał coś dla naszego ugoszczenia. Kochał on ojczyznę na swój sposób. O starym Cyprianie nigdy nie słyszał i sprawy pojmował zupełnie inaczej niż Kalina. Swoje rozumowanie wykazał, stawiając na stół naczynie galarety z świńskich nóżek. Powiedział:

— Słowem wieszczy żył nie będziesz, tylko tym tu — wskazał palcem w jedzenie. — No, nie? — zapytał w moim kierunku, oczekując potwierdzenia.

— Trochę tym i nieco tamtym — odparłem, by żadnego z nich nie obrazić.

— Nóżki świniuchny są pierwszorzędne — wyraziłem pochwałę. — Szczególnie dobrze się nadają jako podkład pod Black & White.

Szef wysunął się z kuchenki i rozłożył ręce: — Poza kawą nie mam absolutnie nic do jedzenia — wyznał.

Na upartego chleb, kawa, masło i nóżki mogły stanowić niezłą kolację, tym bardziej, że Kalina niczego nie tknął. Dłubał wprawdzie, kosztował, lizał koniec noża, ale wreszcie oświadczył:

— Studzinina bez octu, czy cytryny nic nie warta, a przypraw tych używać mi nie wolno...

— A dymać jeszcze możesz? — spytał zaperzony szef.

Zdegustowany Kalina odparł pytaniem:

— Czy całe wasze życie obraca się tylko koło żarcia i d...?

— Nie, stanowczo nie! — zaprzeczył szef. — Zapomniałeś o tym! — trącił palcami w butelkę. Następnie wytarł ręce, usiadł, opróżnił szklankę, zjadł kwadrat studzininy. Wtedy wstał i zapytał (a w pytaniu tym wyczułem głęboką myśl):

— Czy lubicie, panowie, wino?

— Oczywiście — przytaknąłem.

— Otóż mam tu znajomego inżyniera — tłumaczył szef — starszy gość około siedemdziesiątki, ale takich jak Kalina, dwóch jeszcze by przetrącił. Kiedyś pod wpływem — znów palcami potrącił butelkę — powiedział mi, że ja i moi koledzy będą zawsze u niego mile widziani.

Kalina i na to miał swój punkt widzenia.

— Żeby nie siedzieć samemu w czterech ścianach, gotów jestem pójść nawet z wami.

Wypiliśmy jeszcze po jednym, a resztę szef załadował w kieszeń płaszcza i wyszliśmy. Na zewnątrz poza dzielnicą nic się nie zmieniło. Ten sam deszcz, i podobnie jak na Govan, zmoknięci przechodnie. Czasem sylwetka bez głowy. Była to dzielnica blisko-uniwersytecka, z pewną koncentracją studentów Murzynów. Oczywiście czarny łeb na tle ciemni nocy był niewidoczny. Na trzecim piętrze otworzył nam drzwi sam pan inżynier. Krótki, krępy, w rogowych okularach.

— A któż to? któż to? Aaa! to pan, to panowie...

(Kaliny nie znał i nigdy nie widział).

— To inżynier Czubas — przedstawił go nam szef.

Z hallu prowadził nas prosto do kuchni-jadalni. Bardzo przepraszał za to, że nie jest przygotowany na nasze przyjęcie.

— Rozpłaszcie się, panowie, rozpłaszcie się... — Z miejsca otworzył drzwi w ściennej szafie i wykładać zaczął butelkę, drugą, talerz z mieszaniną wędlin. Mówił przy tym:

— Bardzo się cieszę, panowie, kiedy mnie... — Przerwał i wykładał: śledzie, konfitury z czernic własnej roboty, czarny chleb — ...kiedy mnie odwiedzają młodsi ode mnie ziomkowie. — Potem taszczył rondel i coś zawiniętego w serwecie. — Wy panowie, jeszcze możecie... — Znów coś zawiniętego w ręczniku, znów jakiś słój. — ...Wy, panowie, jeszcze możecie zobaczyć wolną matkę ojczyznę, ale ja? — Skończył wreszcie wykładanie wiktuałów. — Serce, panowie, serce... Tak mnie ruscy wykończyli. Przecież dopiero tydzień temu ze szpitala uciekłem. Nie wiecie, panowie? (Nie wiedzieliśmy). — Idę sobie, panowie — napełnił kieliszki z jednej butelki — aż tu mi — położył sobie rękę na kamizelce — pik — pik — pik — i tyle pamiętam. Obudziłem się w szpitalu. Siadajcie, panowie, siadajcie. I wiecie, panowie, co łajdak lekarz orzekł? Zatrucie alkoholem. Żłób nie wiedział, że kiedy ja studiowałem medycynę, to on jeszcze na gówno papu wołał. Ja, panowie, wam się mogę zwierzyć. Trzy dni przed atakiem sercowym alkoholu nawet nie wąchałem. Zwyzywałem go od kretynów i krowiarzy, cholernego Szkota, kazałem sobie zwrócić ubranie i poszedłem. Wyobraźcie sobie, panowie, ja alkoholikiem! Proszę, proszę, panowie! — zamaszystym gestem wskazał na napełnione kielichy. Kalina powąchał, przeprosił i odstawił. Zaczęliśmy spożywać śledzie na przemian z wędlinami. Między brzękiem widelców a gawędzeniem inżyniera gdzieś z kąta dochodził przytłumiony głos, jak plusk rybki. W regularnych, kilkunastosekundowych odstępach czasu dochodziło — pluk — pluk — pluk... Kalina musiał pochwalić się owrzodzoną dwunastnicą, bo jak miał wytłumaczyć wstrzemięźliwość od śledzi i dżinu?

— No tak — znawczo i z wyrozumieniem przyjął to do wiadomości inżynier. — Niestety zupy grysikowej panu nie mogę dać, bo sam jej nie jadam od 50 lat. Wyobraźcie sobie, panowie, mnie — stuknął się w piersi — na alkoholika chcieli urobić — przypomniało mu się znów. — Gdzież ja byłem? — kłopotał się inżynier. — Aha, zupa. Otóż było tak. Do sekcji zwłok przypadł mi trzymiesięczny trup kobiety, która zmarła tuż przed połogiem. Miałem dokonać cesarskiego cięcia. Ledwo przystawiłem nóż do brzucha... Panowie! Panowie! — chwycił się za głowę — jak mi sikła fontanna w twarz! Zalało mi oczy. ...I to jeszcze instynktownie oblizałem wargi...

Inżynier zamknął oczy i strasznie wykrzywił twarz w grymasie obrzydzenia. Szybko sięgnął po napełniony kielich. Sięgnęliśmy i my. Kalina wyszedł do hallu, po czym skrzypnęły drzwi klozetu. — Pluk — Pluk — Pluk.

— To był koniec moich studiów medycznych i koniec zupy.

Kiedy Kalina wrócił, inżynier zaoferował mu napój pięknego, czerwonego koloru z drugiej butelki.

— Panie! — z patosem wezwał go, jakby mu nektar życia dawał. — To jest wino lecznicze z głogu. W sam raz na owrzodzenia.

Trudno się było Kalinie od tego odmówić. Z drugiej strony wyglądał mi jakby go coś mdliło. Jak na fali, kiedy żołądek pod gardło się pcha. Twarz zwoskowiała, oczy podsiniały.

— Cóż się znów z nim dzieje? — burknął szef bezuczuciowo. Pluk — pluk. Może, panowie, przerzucimy się na wino? — pytał.

— Do dziś nie mogę się z tym oswoić... — przypomniał nam. — Ja, panowie, alkoholikiem?

Wino rzeczywiście było wspaniałe i przypominało w smaku *Dry Sherry*.

— Ah! Co ja, panowie, przeszedłem w Rosji — niezmęczenie ciągnął inżynier.

— Mnie z baraku nieprzytomnego na śnieg wyrzucili. Dopiero ktoś z naszych zauważył, że jeszcze dycham. Zabrali i odcucili.

„Jak tak dalej pójdzie — myślałem sobie — to do głosu nigdy nie dojdziemy". — Czy pan inżynier nie przesadza tr...

Podszedł ku mnie, ręce założył za plecami. Popatrzył znad okularów i zaśpiewał: — P a a a n n i e e ! . . .

— Właśnie w tym wydłużonym „panie" ugrzęzły moje dalsze słowa i dałem spokój.

— Panie! Cóż mi pan będzie prawił o rzeczach, o których pan nie ma pojęcia. Czy ja ważyłbym się zabierać głos w sprawach morskich?

Przygwoździł mnie swoim wiekiem, autorytetem i potęgą głosu.

— Wspaniałe wino — stwierdziłem, co z miejsca załagodziło chwilową różnicę zdań.

— A a a! widzi pan! Pluk — pluk — pluk. — Żeby takie wino fermentować, trzeba znać się na chemii.

Kalina bezwładnie przewiesił głowę przez oparcie krzesła, a całe ciało wisiało w skonanej pozycji. Może za to żywo bujał myślami w przestworzach?

Może panowie spróbują daktylowego wina? — proponował inżynier i nalewał, co było na czasie bo głogowe się skończyło.

— Oczywiście — wyraziłem zgodę.

Pluk — pluk — pluk.

Nie pamiętam, co jedliśmy, przynajmniej ja i szef. Jedliśmy z przerwami na wypitki cały czas, ku zgorszeniu Kaliny. Jeśli chodzi o mnie, jadłem dla formy, dla towarzystwa, z przyzwyczajenia i dla zamortyzowania efektów picia. Nigdy z obżarstwa, o co na pewno posądzał mię Kalina. Za każdym razem, kiedy zabierałem się do nowej potrawy (teraz były odgrzewane naleśniki z białym serem), posyłał nam spojrzenia, jakby znajdował poparcie swoich wywodów na temat życia, d.... i żarcia. Kiedy przy następnym kęsie raz jeszcze zajrzał mi w gardło, nie wytrzymałem.

— Przede wszystkim — powiedziałem — ja na szczęście na owrzodzenia nie cierpię i jak ci nasze towarzystwo nie odpowiada to wiesz co zrobić — droga wolna.

— Co się tak srożysz? — dobruchał mnie.

Pluk — Pluk — Pluk.

— Cóż panu tam tak pluka? — zagadnąłem wreszcie inżyniera.

Przerwał mowę na temat drożdży naturalnych znajdujących się na wszystkich owocach i jagodach. Podszedł do kotarki tuż przy gazowym piecyku. Za kurtyną była wnęka w ścianie. Było tam krzesło a na nim 10 galonowy szklany gąsior. (Na pewno dostał go od szefa z pralni). Pluk — pluk — dochodziło właśnie z szklanki z wodą, w której zanurzony był gumowy wężyk. Drugi koniec rurki krył się w korku szyjki gąsiora. Piana piętrzyła się w szyjce, a od dna ku górze płyn szumował, jakby prądem gnany.

— Nie mogę wam, panowie, wyjaśnić całej procedury (tu spuścił kotarkę), gdyż to jest moja tajemnica. — Następnie otworzył znów drzwi w ścianie — trzecie. Na półkach od podłogi aż po sufit stały galonowe butle i zwykłe butelki z winem. Niektóre miały białawe mętne kolory, inne słomkowo-złote, jeszcze inne czysto czerwone.

— Te klarują się jeszcze — objaśniał, pokazując mętne szkła. — To są z 47 roku, a to tamtoroczne.

Kiedy wystawił jeszcze jedną butelkę, tym razem czerwone, siekłem ręką od siebie na znak, że więcej nie piję. Ostatecznie wiedziałem kiedy się miarka przebiera. Wino to było ożynowe (z Polesia), według mnie czernicowe (ja z Podkarpacia). Inżynier sprytnie przechodził z jednych spraw do drugich, chociaż nie zawsze słuchałem ich powiązań. Ze zgorszeniem mówił teraz o

demonstracjach i pochodach angielskich komunistów z orkiestrami, strajkach wymierzonym przeciw rządom kapitalistycznym.

— I tknąć ich nie można — żalił się — bo ich chroni właśnie kapitalistyczna policja. Ja bym z czołgami na ulicę wyjechał, z dział wysiekł...

— No, nie... — bąknął Kalina.

— P a a n n i e e ! — znów go zagłuszył i „panie" przeciągnął tak długo aż tamten musiał przerwać.

— Czy nie tak robią komuniści u siebie, i to nie z kapitalistami, ale z robotnikami i chłopami.

— Więc pan użyłby metod, — usłyszałem głos owrzodzonego — jakie potępiamy u komunistów?

Znów straciłem wątek dalszej rozmowy. Uchwyciłem go, kiedy ktoś powiedział „dobranoc", a pan inżynier szczerze oświadczył, że jest mu bardzo przyjemnie kiedy go młodsi od niego ziomkowie odwiedzają. Zapomniał widocznie, że ja sam od dłuższego czasu naprawdę młodych ziomków nie widziałem i z biegiem lat szanse ich zobaczenia maleją. Kiedy wyprawiałem się na wojenkę na ORP „Błyskawica" (nie emigrowałem, więc nie jestem emigrantem), miałem 21 latek. W obecnych czasach szef, kiedy chciał mi dokuczyć, wskazywał na ciężarne walizy pod moimi oczami i pouczał, że okres kiedy uchodziło mi patrzeć za dziewczętami dawno minął: — Dla ciebie już tylko starszy rocznik. Albo byś się popatrzył w lustro i wybierał wedle stawu groblę.

Wzdrygnąłem się na tę sugestię. Na ulicy znów wsiadł na mnie Kalina. Psykał i twierdził, że gadanie do siebie jest pierwszym stadium kuku-na-muniu — i bym przestał.

Wincenty CYGAN

Najnowsza historia Polski

Jeszcze o pierwszych dniach Rzeczpospolitej

Wspomnienia moje ,,Pierwsze dni Rzeczypospolitej i zamach stanu'' (*Kultura* nr 12/1960) spotkały się z odpowiedzią płk. Florka w liście do redakcji (*Kultura* nr 6/1961) wraz z przyjemną dla mnie wzmianką, że... ,,są wiernym odtworzeniem opinii i poglądów tych kół społeczeństwa, z którymi się wówczas stykał autor i z których informacji korzystał'' — a jednocześnie z uwagą iż przedstawiają... ,,opinie tylko *jednego* kierunku politycznego'' — co uważam za słuszne.

Jednak w liście do redakcji płk. Florek znacznie wykracza poza polemikę z mymi wspomnieniami, wkraczając w tematy, przeze mnie nie poruszane lub celowo zwężone, a od dłuższego czasu dość uporczywie naświetlane w sposób jednostronny. Toteż, oddając piękne za nadobne, pozwolę sobie również zaznaczyć iż poruszając nowe tematy, płk. Florek przedstawia... ,,opinie tylko *jednego* kierunku politycznego'' z ,,którym się podówczas stykał'', co upoważnia mnie do wykazania pewnych ,,nieścisłości'' historycznych, odwołując się do mych wspomnień młodocianych oraz do późniejszych rozważań, dojrzałego mężczyzny, który po prostu nieustannie ,,interesował się życiem''.

Chcąc być możliwie ścisłym i zwięzłym, będę odpowiadał punktami; a więc:

1. *Co do zamachu:* wszystko, co było mi wiadome, odnośnie ,,zamachu'', ująłem w swych wspomnieniach, nie ulegając oświadczeniom innych osobistości. O baterii artylerii ,,ustawionej na Belweder'' dowiedziałem się, po raz pierwszy, w roku... 1960. Wątpię, by tą ,,baterią'' (jeśli takowa w ogóle istniała!) mógł dowodzić kapitan *saperów* Mieczysław Wężyk; również śmiem wątpić, by występował pod przybranym nazwiskiem ,,płk Żółkiewski'' lub ,,Żółtowski'': przypominam sobie nato-

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

miast, mniej więcej z tegoż okresu czasu, pułkownika kawalerii Żółkiewskiego, z kijowszczyzny (późniejszy plenipotent jednej z ordynacji radziwiłłowskiej w Dawidgródku czy w Nieświeżu).

Poza tym prostuję błąd *zecerski* w mych wspomnieniach: kompania piechoty przed Komendą Miasta należała do 21 p.p z Cytadeli (a nie do 22 p.p.) lecz była dowodzona przez oficera-dowborczyka.

2.*Co do 36 p.p. i szwadronu 5 p. ułanów*. Istotnie 36 pułkiem piechoty ,,Legii Akademickiej'' dowodził legionista major Bobrowski, lecz podlegał on dowódcy warszawskiej brygady piechoty, płk. Jaźwińskiemu, który należał do spisku. Większość oficerów tego pułku stanowili oficerowie z tzw. ,,korpusów wschodnich''. Szeregowi początkowo składali się prawie wyłącznie ze studentów — ochotników z Uniwersytetu Warszawskiego, stąd nazwa ,,pułk Legii Akademickiej''. Nie wydaje się prawdziwe by w tym czasie pułk ten był złożony, jak twierdzi płk. Florek ,,z dawnych POW-iaków'', (a raczej przeciwnie), o czym będę mówił później. Mjr Bobrowski, mimo że legionista, był więc niejako ,,odosobniony'' w swoim pułku, podobnie jak odosobnionym musiał się czuć por. Moniuszko, dowódca II-go baonu w 21 p.p. składającego się prawie wyłącznie z b. oficerów ,,korpusów wschodnich''.

Szwadron 5 p. ul. pod dowództwem rotmistrza Janusza Głuchowskiego był podówczas w stanie formowania się, bowiem Warszawiacy przede wszystkim garnęli się do szeregów 3-go pułku ułanów ,,Dzieci Warszawy'', który stał się od 11-go listopada ukochanym pułkiem stolicy. Z tej też racji formował się w tempie szybkim, dowodem czego było, że już w początku grudnia 1918 roku — zdołał wysłać szwadron na front pod Gródek Jagielloński. Czyżby ten szwadron złożony był również z POW-iaków?

3. *O Milicji Ludowej*. Nigdy nie kwestionowałem wartości bojowej żołnierzy Milicji Ludowej; przypominam sobie, że — *po nakazaniu przez Naczelnego Wodza rozformowania oddziałów Milicji Ludowej*, co nastąpiło na wiosnę r. 1919 (w lutym?) — szeregowi zostali wcieleni do oddziałów liniowych na froncie, gdzie zasłużyli na miano dobrych żołnierzy.

Potwierdzając niezależność Milicji Ludowej od władz wojskowych płk. Florek mówi że: ,,Wyposażenie należało do resortu Ministra Spraw Wojskowych, płk. Wroczyńskiego (dowborczyka)'', z czego można by wywnioskować, że płk. Wroczyński nakazał umundurować i uzbroić niezależną od jego resortu Milicję Ludową jeszcze przed oddziałami liniowymi i na ich niekorzyść. *Śmiem wątpić*. Przypominam sobie dobrze, jak na początku grudnia 1918 roku, staczałem walki z kapitanem int. Niteckim w Cytadeli, by uzyskać mundury dla ochotników 1 p. telegraficznego, a nawet jeszcze w końcu stycznia 1919 roku nie wszyscy studenci ochotnicy lotnictwa na Mokotowie otrzymali mundury; przypo-

na mi się, jak dziś postać ochotnika studenta prawa Filipkowiego (syn adwokata z Łodzi) stojącego na warcie w melo-ku, w czarnym paltocie i z... monoklem!

Bardziej do prawdy zbliżone byłoby przypuszczenie, że Mi-ja Ludowa *od dawna* miała przygotowane zapasy umundurowania, chociażby ze składnic „Polskiego Wehrmachtu" i że -broiła się od razu mając „własne chody". Czy tej pomocy nie -zazało właśnie POW?

Ponadto wydaje się wskazane wreszcie wyjaśnić dla histo-, czy Milicja Ludowa składała się z POW? A jeśli nie — to jakich odłamów politycznych? Jaka właściwie była historia jej -wstania? Kto był jej inicjatorem i komu naprawdę podlegała? -iewątpliwie stanowiła ona podówczas nie „bojówki", a praw-ziwe, dobrze umundurowane i zdyscyplinowane wojsko na usłu-ach przywódców partyjnych; wreszcie wydaje się niezrozumiałe, -aczego Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, którzy jeszcze listopadzie roku 1918 akceptował ten rodzaj partyjnego woj-ska — w trzy — cztery miesiące potem, właśnie po zamachu sta-u i zasadniczej reorganizacji rządu — nakazał jej likwidację, mi-o iż Komendantem Milicji Ludowej był, jak wiemy, pełen -aufania Marszałka kpt. Boerner (późniejszy ppłk. attaché wojskowy w Moskwie w latach 1923-24, późniejszy Minister Poczt Telegrafów), któremu marszałek już wkrótce potem powierzył -ajne negocjacje z Leninem (via Marchlewski) co do losów Deni-ina.

Na marginesie wspomnień z tego czasu: w listopadzie 1918 -oku poznałem bardzo miłego, młodziutkiego podchorążego Mili-ji Ludowej Rokosowskiego; mówił mi podówczas że należał do -OW. W trzynaście lat później (r. 1931?) spotkałem go jako ka-itana 6-go pułku lotniczego we Lwowie; znałem ponadto jego -rata-cywila. W powojennych czasach, przypatrując się fotogra-i marszałka Rokossowskiego, uderzyło mnie podobieństwo mar-załka do dwóch, znanych i od dawna, Rokosowskich!

4. *Co do „Straży Narodowej"* — która, zdaniem płk. Flor-a, „była wojskiem prywatnym partyjnym prawicowej opozycji", -ydaje się, że płk. Florek zbyt przecenia jej i znaczenie i... istnie-ie. Podówczas, gdy Warszawa mogła codziennie oglądać na -icy doskonale ubranych żołnierzy Milicji Ludowej (niewątpliwie zabarwieniu lewicowym), umundurowanych, jak twierdzi płk -lorek, przez płk. Wroczyńskiego — nikt z Warszawiaków nie -idział tego „prywatnego wojska Straży Narodowej", w mun-urach, przy broni i w szeregach... Wydaje się więc dziwne, że -k. Wroczyński, niewątpliwie zbliżony do kół Narodowej Demo-racji, uznał za stosowne umundurować „wojsko lewicy", a nie -śpieszył umundurować „prywatnego wojska prawicy". Nie -mierzam bynajmniej zaprzeczać istnieniu „bojówek", endecji -b innych z czym jednak nie miałem okazji — poza nocą z 4 5 stycznia — stykać się, jednak gwoli prawdy historycznej,

nie przypominam sobie ich wystąpień na wzór napadu na Mostowicza, Nowaczyńskiego, Strońskiego, Zdziechowskiego lub — co gorsza prof. Cywińskiego.

Opis „bitwy o pałac Staszica, między plutonem 36 pułku piechoty a oddziałem „Straży Narodowej", który miał się bronić (granaty ręczne i ogień karabinowy — jak twierdzi płk. Florek), przy czym obydwie strony nie poniosły strat — opis ten, jest co najmniej nieprzekonywujący, szczególnie że płk. Florek nawet nie uznał za stosowne podać w przybliżeniu daty tej „homeryckiej" bitwy...

5. *Odnośnie Inspektoratu P.S.Z.* (*Biura Personalnego*) na Krakowskim Przedmieściu 36, płk. Florek, zachował jak najlepsze wspomnienia, nadmieniając że „w 24 godziny moja sprawa została załatwiona". Nie wątpię; był on starym i znanym legionistą, wspomnienia jego raczej potwierdzają niezbyt przyjemne wrażenia moje i moich przyjaciół. Zresztą ważna jest również data: *po dniu 11 listopada* biura personalne były otwarte szeroko dla oficerów korpusów wschodnich", bowiem nowopostałe Ministerstwo Spraw Wojskowych było obsadzone, od góry do dołu, w *przybliżeniu:* 90% oficerów z b. armii rosyjskiej i 10% z b. armii austriackiej; legionistów było zaledwie *kilku* w młodszych stopniach, Przeciwnie rzecz się miała w Sztabie Generalnym, gdzie w *przybliżeniu* 90% oficerów pochodziło z b. armii austriackiej a 10% z rosyjskiej, przy czym legionistów było zaledwie kilku, również w niskich stopniach. W ogóle podówczas (listopad 1918 — luty 1919) w Warszawie przy władzy było zaledwie kilku wyższych oficerów legionowych, wśród których pamiętam: płk. Berbeckiego, płk. Kukiela i majora Burhardt-Bukackiego (późniejszego Inspektora Armii), szefa sztabu „Okręgu Generalnego Warszawa". Zresztą (jeśli pamięć mnie nie myli) od stycznia 1919 r. począł powstawać ośrodek legionowy „Jabłonna", gdzie formowały się późniejsze dywizje legionowe piechoty, dokąd kierowano legionistów.

Jeśli warunki wydawnicze pozwolą ogłoszę swego rodzaju unikat-dokument (oryginalny druk) będący w mym posiadaniu od roku 1919: „Skład osobowy Ministerstwa Spraw Wojskowych w dn. 10 stycznia 1919 r." podający pełną organizację MSWojsk wraz z personalną obsadą od samej góry do „sił pomocniczych" włącznie. Dzisiejsze pokolenie będzie mogło tam odnaleźć i swe matki i ojców a nawet babki i dziadków, którzy stanęli do prac nad wskrzeszeniem Wojska Polskiego już od 11 listopada 1918 roku. Gdyby udało się komu odtworzyć podobnego rodzaju dokument personalno-organizacyjny z tegoż okresu odnoszący się do Sztabu Generalnego oraz do Sztabów Okręgów Generalnych — historia stałaby się w posiadaniu prawd niezaprzeczalnych, obdzielając zasługami — i to szerokim wachlarzem — tych wszystkich, którzy stanęli od razu w szeregach nad pracami odbudowy Państwa.

6. *W ocenie pobytu Legionistów w Kieleckim* — należało- wziąć pod uwagę, krótko mówiąc, dwa momenty: powitanie . pożegnanie. Jeśli było zupełnie niewątpliwe, że młodego, iarskiego legionistę, w polskim mundurze i z białym orłem na apce, ludność witała z ogromną serdecznością — to również ydaje się zupełnie niewątpliwe, że pewne oddziały legionowe, szczególność zaś oddział żandarmerii pod dowództwem por. ostka-Biernackiego (późniejszy oprawca więźniów brzeskich) - były żegnane przez ludność z wielkim.... zadowoleniem i gą. Co zaś się tyczy tych legionowych „kwitów rekwizycyj-ych" odpowiem na wesoło; opowiadano mi przed laty o autencznej odpowiedzi, udzielonej na Wileńszczyźnie przez starego ołnierza — jakim był generał Żeligowski — pewnemu szlagono-i, który przyjechał do Żeligowskiego ze skargą, że „wojsko olskie grabi". Na co Żeligowski: „Nu i cóż? A pan myśli że ojsko papieskie nie grabi? Każde wojsko grabi....".

Przy okazji poruszania „Kielc" płk Florek wspomina, że z ielc i kieleckiego Legiony uzyskały w 1914 r. 800 ochotników. atomiast komendant Piłsudski w swym „Memoriale" dla Beelera z dnia 26 grudnia 1916 r. podaje inaczej... „1. Werunek w Kielcach zarządziłem z początkiem wojny, z końcem ierpnia 1914 r. Trwał do początku września tj. do odwrotu aszego z Kielc, razem nawet niespełna trzy tygodnie... Mimo o zostało 1228" ochotników zwerbowanych"... Mamy więc 2 cyry: 800 i 1228; jaką więc cyfrę należy przyjąć dla historii?

7. *Zagadnienie POW.* — w oświetleniu płk. Florka — wyaga głębszej odpowiedzi. Od lat bowiem, jeszcze w okresie o-lecia, byliśmy świadkami „kucia legendy" co do POW z at 1914-18. Powoli lecz uporczywie, operując generaliami, starao się — bez większego co prawda sprzeciwu — stworzyć podtawy historyczne dla wszechpotężnej i wszechwładnej tajnej orarnizacji, która rzekomo miała decydujący wpływ i zasługi w omencie odradzania się Polski. Ona to właśnie „rozbroiła Niemów", była filarem przy budowie państwowości bliższej i dalszej, na to również — wraz z Legionami — stanowiła właściwą bazę la odradzającej się siły zbrojnej Państwa.

Była to POW — Polska Organizacja Wojskowa; w języu dzisiejszym nazwalibyśmy ją „Résistance", Ruchem Oporu; jawisko w dziejach historii Polski nie nowe, sięgające roku 863, jeśli nie wcześniejszej daty, nie było ono obce i innym arodom.

Interesując się bliżej ruchami „résistance" z różnych okreów, na ogół mało uchwytnymi i w historii mało sprecyzowanyi, uderza jedno wspólne zjawisko: w miarę upływu lat, w mia- schodzenia z padołu ziemskiego naocznych świadków — „ruhy oporu" *pęcznieją* zarówno co do swych wyczynów jak i lizebności. Temu prądowi hołdowali jak najbardziej Pobóg-Maliowski w swej „Historii Politycznej"; cyfry „POW-iaków",

przytoczone przez niego, jako tych którymi zapełniły się szeregi Wojska Polskiego już od samego początku — wydają się być zgoła astronomiczne. Wynikałoby z tego, że w zimie 1918-19, całość formującej się siły zbrojnej — *jeszcze przed poborem!* składała się wyłącznie z członków tajnej organizacji P.O.W. Jeśli tego rodzaju ,,kawalerskie'' ujęcie sprawy przez Pobóg-Malinowskiego (który sam nie przeżywał tych czasów i korzystał z nagranej i dostarczonej mu ,,płyty'') — nie może dziwić, to podobne stawianie sprawy przez świadka naocznego, jakim był podówczas płk. Florek, operującego ,,wielotysięczną organizacją POW'', w czym ,,sama tylko Szkoła Podchorążych (czyli Szkoła Oficerska) liczyła około 600 podchorążych POW, słuchaczy'' — powtarzam, podobne stawianie sprawy winno spotkać się z uzasadnionym sprzeciwem.

Nie będąc w możności przeciwstawić, nigdy nie ujawnionych cyfr właściwych i pozostawiając możliwość sprostowania jeszcze żyjącym świadkom (którzy również chociażby w tej szkole podchorążych wykładali), chciałbym na razie ogólnie nadmienić, iż tworząc ustawicznie, od lat, legendę — mówię *legendę* — o rzekomej omnipotencji POW — czyni się zarazem historyczną krzywdę po prostu narodowi polskiemu, który, według tego osądu, poza organizacją POW, nie zdołał wykazać się w pamiętnych dniach listopadowych 1918 r. Biorąc bowiem za ścisłe cyfry ,,POW-iaków'', podane bądź przez Pobóg-Malinowskiego lub płk. Florka dochodzi się niemal do matematycznego udowodnienia, że każdy, kto w grudniu 1918 — styczniu 1919 — nosił mundur, należał do POW, a to na pewno nie było prawda. Czyżby ci wszyscy oficerowie i żołnierze b. korpusów wschodnich, którzy w listopadzie 1918 zapełnili w Warszawie i prowincji i sztaby i oddziały liniowe — należeli do POW? Czyżby szwadrony ułanów, formujące się od listopada w stolicy i na prowincji — jak chociażby szwadron 4 p. ułanów w Płockim, sformowany przez ochotników-ziemian, chłopów i służbę folwarczną — należał do POW? — a raczej nie do endecji? Czyżby bohaterska młodzież Lwowa z listopada 1918 r. należała gremialnie do POW? Czyżby byli oficerowie-Polacy z armii austriackiej, którzy od 31 października 1918 r. przekształcali dawne austriackie oddziały w Małopolsce — na narodowe — należeli do POW?

I wreszcie czyżby młodzież wielkopolska, która ochotniczo zapełniła szeregi własnych wojsk — należała do POW? Czyżby oddziały gen. Wejtko i rotmistrza Dąbrowskiego w Wilnie, w grudniu 1916, należały do POW? Oto pytania które nie wymagają odpowiedzi...

Płk. Florek narzucił pogląd, że 36 pułk piechoty w Warszawie, pułk ,,Legii Akademickiej'' składał się zimą 1918-1919 ,,prawie wyłącznie z dawnych POW-iaków''... Nie wiem, co myślał płk. Florek mówiąc o ,,dawnych POW-iakach'', natomiast dobrze mi było i jest wiadome, że 36 pułk piechoty ,,Legii Aka-

emickiej", został zapełniony w przeważającej ilości ochotnikami-studentami Uniwersytetu Warszawskiego — i jeśli płk. Florek uważa za stosowne określać ich jako „dawnych POW-iaków" — to popełnia, moim zdaniem, poważną nieścisłość historyczną.

Z młodzieżą studencką, będąc sam młodym studentem, stykałem się często na bazie koleżeńskiej jeszcze przed wstąpieniem do wojska i później, jako oficer, bądź w 1 p. telegraficznym, bądź w lotnictwie na Mokotowie. Zachowałem z tych czasów i wrażenia i wspomnienia wręcz odmienne od wspomnień płk. Florka. Śmiem przypuszczać — co zapewne nie mija się z prawdą — że POW stanowiła organizację o lewicowym nastawieniu; natomiast studenteria ówczesna, w swej masie, bynajmniej nie należała do „aktywistów", lub „arywistów", a już tym bardziej do „socjałków", w większości swej należąc, lub grawitując, do narodowej demokracji, a więc do obozu wyraźnie frankofilskiego, personifikowanego przez Dmowskiego. Nie przypominam, by kiedykolwiek któryś ze studentów a kolegów — podwładnych, za jakich ich uważałem, zwierzył mi się, że należy do POW. W całym lotnictwie znaliśmy — i to dobrze — kilku zaledwie POW-iaków; jednym z nich był student Edward Lewandowski, który jeszcze w marcu 1919 r. był sierżantem kancelaryjnym na Mokotowie, a później, dyskontując swą przynależność do POW już w 1925 r. był majorem 3 p. lotn., a w roku 1932 dowodził, jako podpułkownik, 2 p. lotn. w Krakowie. Inny POW-iak w lotnictwie, dobrze mi znany z 1919 roku jako młody podchorąży, dzięki swej przynależności do POW już w roku 1924 został kapitanem. Niestety udowodniono mu później że w ogóle nigdy nie był ani w Legionach ani w POW; musiał wyjść z wojska i zakończył — z innych powodów życie tragicznie. Natomiast, w tym lotnictwie, na ogólną ilość zapewne około setki studentów-ochotników przeważnie Politechniki, którzy zapełniali szeregi lotnictwa od 11-go listopada 1918 r. — wyczuwał się wyraźny prąd narodowej demokracji... mógłbym nawet służyć jednym z nazwisk: jednym z leaderów endecji był student Jaxa-Bąkowski.

Jeśli o tych dawnych dziejach staram się wspominać z możliwie wielką precyzją, czynię to jedynie dlatego by, wytwarzana legenda o „elicie" społeczeństwa, która pod szyldem POW, miała stać się kamieniem węgielnym przy budowie odrodzonej Polski — przeszła do historii jedynie jako legenda — a nie prawda historyczna. Do prawdy historycznej — i uznania zasług — mają prawo wszyscy, włącznie do tego Józka i Felka z Kercelaka, którzy poszli z własnej i nieprzymuszonej woli, czyścić konie w żółto-białym pułku „Dzieci Warszawy", bo czuli się, po prostu, Polakami...

W mojej pamięci, nie jestem skłonny przypisywać roli wybitnie supremacyjnej w pierwszych dniach odbudowy Niepodległości żadnemu stronnictwu, żadnej partii lub organizacji; był

to, ogólnie mówiąc, ,,zryw'' całego narodu, a siłą faktów, inteligencja wysunęła się na czoło. Natomiast, wydaje się mi, że później, już w Niepodległej Polsce — Polska Organizacja Wojskowa, a raczej niektórzy z jej kierowników, *odtwarzając na nowo konspirację i schodząc w podziemia* — odegrali bardzo poważną rolę — *rozbijaczy społeczeństwa* już od okresu 1923-1926, a po maju 1926 r. rządzili Polską pod szyldem i imieniem Marszałka, skrywając przed nim prawdę, okłamując, inspirując i judząc go — co im nie przeszkadzało w międzyczasie wzajemnie się zżerać... Ten odłam POW nazywam ,,piłsudczyzną'', w odróżnieniu od piłsudczyków, którym można by było postawić ,,zarzut'', że byli lojalni, przywiązani i bezkrytyczni w stosunku do swego byłego dowódcy.

8. *Sprawa tzw. ,,współpracy z Niemcami i aresztowania Piłsudskiego* — podana w oświetleniu płk. Florka wymaga sprostowania i być może, potrzeby ujawnienia pewnego, raczej nieznanego faktu, który łącznie z innymi, może rzucić właściwe oświetlenie tak ważnego w historii zagadnienia.

W tym celu zmuszony jestem zacytować z listu płk. Florka kilka zdań:... ...,,Albowiem wtedy (r. 1916-17, dop. mój) problemem było: współpraca z Niemcami czy nie. Właściwie nikt w Polsce nie chciał współpracy z Niemcami; była jednak grupa, nie mająca zresztą większego zasięgu, która uważała że za wszelką cenę należy stworzyć silne wojsko, by potem, gdy przyjdzie chwila rozstrzygająca, mieć w ręce argument siły. Tym przewodził płk. Władysław Sikorski. Natomiast Komendant I Brygady Legionów Józef Piłsudski współpracę z Niemcami odrzucał i dlatego wraz z szefem sztabu płk. Sosnkowskim został przez Niemców uwięziony''...

Nieco wcześniej, płk. Florek zaznaczył, że niezrozumienie Legionistów ,,zaprowadziło informatorów autora jak i jego samego (tj. mnie, dop. mój) na manowce''. Odnoszę wrażenie, że przytoczona powyżej cytata z listu płk. Florka zamierza istotnie ,,wyprowadzić na manowce'', tym razem już samą... historię co jednak nie będzie tak łatwo, bowiem pewnych twierdzeń, tak ,,po kawalersku'' narzucać historii nie wolno... Z oświadczenia płk. Florka można wywnioskować iż zamierza on przeistoczyć niesporne dla historii prawdy, że komendant Piłsudski, w *pierwszym* okresie wojny, chciał i szukał ,,współpracy'' z Niemcami, co uwidoczniło się w jego czynach, wywiadach, własnych oświadczeniach i propozycjach na piśmie — nie mówiąc już o istnieniu innych dokumentów lub wypowiedzi współczesnych świadków. Przytaczanie i cytowanie dokumentów i faktów, poza zbędnym rozszerzeniem tematu znanego już z historii, nie wniosłoby nic nowego.

Natomiast skłonny jestem przyjąć — co odpowiada tezie płk. Florka — że w pewnym momencie, nastąpił punkt *zwrotny* w nastawieniu Piłsudskiego co do jego współpracy z Niemcami,

o miało miejsce w marcu 1917 roku, po pierwszej rewolucji w Rosji i spowodowało kardynalny, ze strony Piłsudskiego, zwrot 180 stopni, zwrot, jakiego mógł dokonać jedynie człowiek o tak silnym charakterze i o takiej zdolności do decyzji, jakim był przez całe swe życie marszałek Piłsudski; zresztą nie będzie to pierwszy — i nie ostatni w jego życiu — zwrot o 180 stopni.

Prawdą również jest iż pierwsze ,,załamanie'' się ideologii — jeśli chodzi o formowanie Legionów — nastąpiło u Piłsudskiego już wcześniej, bo w sierpniu 1915 roku, gdy Piłsudski przyjechał do Warszawy niedawno zajętej przez Niemców. Podówczas, w gronie zbliżonych mu ludzi, ujawnił zamiar przeciwdziałania werbunkowi do Legionów i nawet gotowość porozumienia się z ,,moskalofilami'', co wywołało ,,osłupienie i przygnębienie zebranych'' (1). Właściwy powód tego raptownego ,,załamania linii'' można by upatrywać w zrozumieniu przez Piłsudskiego, że kierownictwo, czy dowództwo, nad obecnymi — i rozszerzonymi w drodze werbunku — Legionami, przypadnie nie jemu, a NKN wraz z Departamentem Wojny, a więc Sikorskiemu, i austriackiej ,,komendzie Legionów''. W tym stanie rzeczy Piłsudski wolał sabotować akcję werbunku a nawet poczynił pewne kroki, przygotowując w Otwocku odezwę wstrzymania werbunku, która się nie ukazała na skutek sprzeciwu przyjaciół Piłsudskiego. Piłsudski na razie pogodzi się z faktycznym stanem spraw, a zebrane w całość Legiony w ciągu roku 1915-16 będą się krwawić — i to dobrze — na Wołyniu. Co prawda, w lecie r. 1916, Piłsudski, na własną prośbę, uzyska dymisję z Legionów.

Po ,,manifeście'' państw centralnych z 5 listopada 1916 roku Piłsudski ponawia swój zamiar z roku 1914 co do współpracy wojskowej z państwami centralnymi, tymczasem, co prawda, zamierzając oprzeć się nie na Austrii lecz na Niemcach, sądząc być może, że uda mu się uzyskać wyeliminowanie NKN — a więc Sikorskiego — w formowaniu i dysponowaniu ,,Polską Siłą Zbrojną''. W tym też celu składa 26 grudnia 1916 r. bardzo obszerny i wymowny memoriał generałowi Beselerowi pt. ,,Memoriał w sprawie organizacji werbunku do wojska polskiego''. Już wkrótce po złożeniu memoriału, może wątpić, że uzyska od Niemców więcej niż uzyskał dotychczas od Austriaków a ponadto śmie wątpić w samo powodzenie werbunku. Jest to luty 1917 r., gdy raptownie wybucha w Rosji pierwsza rewolucja...

Oto właśnie od marca 1917 roku, tj. od chwili wybuchu rewolucji w Rosji i obalenia caratu, stosunek Piłsudskiego do Niemców zmienia się decydująco; Piłsudski nie tylko już nie

(1) Patrz Kwartalnik historyczny, Warszawa, nr 3/1960 r. Jan Rzepecki: Rozejście się Sikorskiego z Piłsudskim w świetle korespondencji Izy Moszczeńskiej z sierpnia 1915 r. — jak i ,,Wspomnienia Legionowe'' (artykuł Wieniawy), cz. I Warszawa 1924 r.

dąży do stworzenia wielkiej siły zbrojnej polskiej po stronie Niemiec, jak to zamierzał jeszcze w grudniu 1916 r. — lecz wszelkimi sposobami wstrzymuje rozszerzenie się istniejących, a zebranych razem, Legionów i — co więcej — dąży wręcz do ich „rozbicia". Od chwili bowiem rewolucji rosyjskiej Komendant Piłsudski szukając kontaktów z zachodnią koalicją, przede wszystkim z Francją, polską siłę zbrojną widzi już nie w Królestwie, u boku Niemiec, a przy koalicji, i to sformowaną w Rosji z plus — minus 700.000 dobrego, wyszkolonego i bojowego żołnierza polskiego w szeregach armii rosyjskiej, którą to masę mógłby organizować bez potrzeby werbunku. Ten zamiar poczyna przekształcać w czyn; są wysłani emisariusze bądź do Szwajcarii (o czym zapewne mógłby coś powiedzieć p. Michał Sokolnicki), bądź via Sztokholm do Rosji, gdzie nawiązują się kontakty tak poważne, iż na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków w Piotrogrodzie w czerwcu 1917 roku — zawodowy oficer armii rosyjskiej, sztabs-kapitan Ignacy Matuszewski (późniejszy pułkownik, Minister Skarbu, redaktor „Gazety Polskiej"; umarł na emigracji w Nowym Jorku) — zgłasza nazwisko Józefa Piłsudskiego — Komendanta Legionów *walczących po stronie Niemiec* — na honorowego prezesa zjazdu wojskowych Polaków w szeregach armii rosyjskiej, *walczącej przeciwko Niemcom!* Obecni na zjeździe delegaci, dla 90 % których nazwisko Piłsudskiego, w chwili propozycji Matuszewskiego, nic nie znaczyło, przyjmują wniosek przez aklamację! Zjazd ten był jawny, dla wszystkich otwarty, a jego debaty i postanowienia zostały opublikowane w prasie, a więc znane i Niemcom.

Jak dalece posunięcie Matuszewskiego — mimo iż niewątpliwie stanowiło jedno z ogniw wielkiej nowej idei — było skoncertowane z wysłannikami z kraju, dociec jest niemożliwe (2); patrząc na nie z punktu widzenia historii wypadałoby powiedzieć, iż było zbędne, przedwczesne a przy tym niebezpieczne dla osoby samego Piłsudskiego; nie spopularyzowało osoby Piłsudskiego w 700.000 masie polskiego żołnierza w Rosji natomiast skompromitowało Komendanta I Brygady Legionów w oczach Niemców. Było ono być może nawet na rękę Rosji, jako zgrabne posunięcie do rozbicia opinii w okupowanej i „kolaborującej" Polsce, natomiast było bardzo nie na rękę, poza Piłsudskim, przede wszystkim Radzie Stanu jak i w ogóle „aktywistycznej" ideologii w Polsce, której wcale nie należało tak lekceważyć, jak to czyni płk. Florek, biorąc pod uwagę nazwisko nietyle płk. Sikorskiego ile Władysława Studnickiego, który od dawna przewodził filoniemieckiej ideologii i pozostał otwarcie jej wierny w ciągu 20-lecia Polski Odrodzonej.

---

(2) Kontakty Matuszewskiego z emisariuszami Piłsudskiego wydają się być niewątpliwe, biorąc chociażby pod uwagę dalszą działalność Matuszewskiego w Korpusie Dowbora, próbę aresztowania generała i opanowania I Korpusu przez 2 czy 3 Legionistów.

Obranie Komendanta Piłsudskiego ,,honorowym prezesem'' zjazdu wojskowych Polaków w Piotrogradzie niewątpliwie stało się wydarzeniem uniemożliwiającym Piłsudskiemu realizację dalszego ciągu ,,ogniw''. W pamiętnikarstwie polskim spotkałem się kilka razy (co prawda zawsze bez precyzji!) z twierdzeniem, że w lecie 1917 roku Piłsudski zamierzał ,,udać'' się do Rosji. Być może, do tych niesprecyzowanych wspomnień, będę mógł dołączyć i własne, zachowane w mej pamięci od roku 1931.

30 lat temu, pracując nad ,,historią lotnictwa polskiego'', zwróciłem się m.in. do płk. de Beaurain (późniejszy generał lotnictwa) o informacje, jako do dawnego porucznika artylerii I Brygady Legionów który został jako jedyny legionista odkomenderowany na przeszkolenie do lotnictwa austriackiego. Płk. de Beaurain był uważany za oficera dobrze znanego Marszałkowi, bowiem fama głosiła że Marszałek jakoby miał być korepetytorem de Beaurain za jego czasów szkolnych (w Zakopanem).

W trakcie wypytywania się płk. de Beaurain o jego młodzieńcze próby szybowcowe, o pobyt na froncie włoskim, zostałem zaskoczony oderwaną wypowiedzią:...,,a wie pan, ja przygotowywałem przelot Komendanta do Rosji na krótko przed jego aresztowaniem''... Podchwytując tak ciekawy temat dowiedziałem się, że podczas pobytu w lecie 1917 roku w Warszawie, porucznik de Beaurain został wezwany przez Piłsudskiego, który mu w wielkiej tajemnicy powierzył zadanie wyszukania austriackiego pilota Polaka, w jednej z eskadr na froncie rosyjskim, skłonnego do ucieczki do Rosji samolotem przez front bojowy wraz z pasażerem... komentantem Piłsudskim! Według de Beaurain miał on już konkretnie napięte kontakty i jedynie aresztowanie Piłsudskiego przeszkodziło w realizacji.

Oceniając to podówczas za jeden z ciekawszych lotniczych — a nie politycznych! — przyczynków historycznych prosiłem de Beaurain o zgodę na zamieszczenie w historii lotnictwa jego wspomnień, mimo że realizacja projektu nie nastąpiła; po namyśle odpowiedział, że udzieli odpowiedzi dopiero po porozumieniu się z ,,pewnymi kołami''. Przy następnym spotkaniu kategorycznie zabronił ujawnienia jego zwierzeń w druku, a ponadto prosił o zachowanie tego w wyłącznej mej tajemnicy. Gdym mimo to nalegał dalej, płk. de Beaurain wyjaśnił że, ,,pewne koła'' stanowczo się temu sprzeciwiły, uważając że sprawiłoby ,,wielką przykrość'' legionistom, że ich komendant ongiś nosił się z myślą, ,,pozostawienia ich na pastwę losu'', i że podobna wiadomość mogłaby być przez nich niewłaściwie interpretowana...

Gdy więc powoli, skrupulatnie, zestawia się znane ,,ogniwa'' nowej — po wybuchu rewolucji rosyjskiej — decyzji Piłsudskiego, jak: zmiana osobistego stosunku Piłsudskiego do Niemców, hamowanie formowania polskich sił zbrojnych przy boku Niemiec, stwarzanie nowych kompleksów, chociażby typu

,,przysięgowego'', wepchnięcie POW w podziemie, wysyłanie emisariuszy do Szwajcarii i Rosji, obranie honorowym prezesem wojskowych Polaków w Rosji — wreszcie — zamierzanie przelotu, poprzez front wojenny, do nieprzyjacielskiej Rosji — powtarzam, jeśli te wszystkie ,,ogniwa'' (lub część) były znane Niemcom — aresztowanie komendanta Piłsudskiego i jego szefa sztabu Sosnkowskiego było, z punktu widzenia Niemców, nie tylko posunięciem zrozumiałym lecz i koniecznym, bowiem z pozycji ,,sojusznika'', który miał dostarczyć kilkaset tysięcy głów polskiego mięsa armatniego — Piłsudski wekslował się na groźnego przeciwnika, który, być może, dążył do wystawienia kilkuset tysięcy żołnierza polskiego lecz *przeciwko Niemcom,* w Rosji a w dodatku, na tyłach niemieckich, w okupowanej Polsce, mógł stworzyć Niemcom bardzo przykrą sytuację, używając do akcji swe podziemne organizacje.

9. *Wreszcie o finale końcowym — ,,rozgrzeszeniu'',* co do którego jak pisze płk. Florek (i jak potwierdza b. marszałek senatu Miedziński) — ,,taka była decyzja Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza''. Niewątpliwie prawda; jedynie tylko Naczelny Wódz był w prawie zakazać ścigania rebeliantów, a co więcej — przyznania im pełnych, a nawet wyróżniających praw obywatelskich. Naczelnik Państwa uznał za stosowne zbagatelizować ten ,,zamach stanu'' zarówno w stosunku do rebeliantów jak i do ofiar a swych ministrów; nawet na skargę jednego z nich, Thugutta, że do niego ,,przecie'' strzelano — reagował zbyt spokojnie.

Niewątpliwie Naczelny Wódz musiał użyć dużo ,,perswazji'' w stosunku do swego najbliższego pomocnika, Szefa Sztabu Generalnego, generała Stanisława Szeptyckiego, by ten twardy żołnierz, jakim go później znała Armia Polska i bardzo ,,buńczuczny'' i prostolinijny szlagon, jakim go znało społeczeństwo — zachciał nagiąć się do tak wspaniałomyślnej decyzji Naczelnego Wodza, jak rozgrzeszenie wojskowych rebeliantów, co na pewno nie mogło być po myśli starego zawodowego wojskowego.

Ujmując sprawę ,,zamachowców'', jako akt łaski ze strony Naczelnika Państwa, przyszłe pokolenie skłonne byłoby być może, przypisywać marszałkowi Piłsudskiemu jedną z najbardziej chrześcijańskich — lecz nie tak już bardzo męskich cech — zdolność wybaczenia, rozgrzeszenia, zapomnienia... W ciągu polskiego ,,20-lecia'' starałem się być oficerem obserwującym i myślącym; upoważnia mnie to do wypowiedzenia mej czysto osobistej i przeciwnej opinii; krótko mówiąc skłonny byłem uważać marszałka Piłsudskiego za człowieka ,,pamiętliwego''. Znałem wielkie osobistości, marszałkowi bardzo bliskie od lat wielu, które ongiś, pozwoliły sobie nietyle ,,przeciwstawić'' się decyzji Marszałka, ile ośmieliły się wypowiedzieć własną, odrębną opinię... Marszałek odsuwał ich od siebie zdecydowanie, bywało że i ,,na zawsze'', mimo że uprzednio spędził z

nimi całe lata we wspólnej pracy. Wyjątkiem, jak twierdzono był Aleksander Prystor, któremu „wszystko było wolno” (3). Nie chciałbym wszczynać tutaj niepotrzebnej polemiki, cytując nazwiska i fakty — (co znajdzie miejsce w mych wspomnieniach), lecz obstaję na razie przy swoim. Co prawda mogę przytoczyć (bodajże jeden tylko) znany mi fakt, gdy marszałek Piłsudski okazał się nieprawdopodobnie wyrozumiały i wielkoduszny. Było to w wypadku płk. Skotnickiego (poległ na polu bitwy w 1939 r., jako generał dowódca pomorskiej brygady kawalerii), który jako dowódca 15 pułku ułanów w maju 1926 r. *uparł się* prowadzić swój pułk *przeciwko* marszałkowi Piłsudskiemu, co też i uczynił. Krótko po „maju” został wezwany do raportu do Marszałka; z kół „dobrze poinformowanych” dowiedzieliśmy się podówczas, że Marszałek nawymyślał Skotnickiemu dosłownie od smarkaczy, lecz nakazał wracać do pułku; nieco później dostał awans na dowódcę brygady kawalerii w Baranowiczach. Wiadomo było wszystkim, że Marszałek bardzo go lubił, jako jednego z tej pierwszej siódemki kawaleryjskiej, zawiązku kawalerii legionowej, która 6 sierpnia przekroczyła granice austriacko-rosyjską. Lecz ponadto, Skotnicki był jednym z najbliższych przyjaciół Dreszera i Wieniawy, oficerów najbliższych Piłsudskiemu, którzy — mimo postępku Skotnickiego — znaleźli w sobie dużo odwagi i szlachetności by wziąć w obronę swego przyjaciela, który „zbłądził”...

Toteż, kończąc me polemiki, mimo wszystkich wyjaśnień, wspomnień i zapewnień, uporem litewskim, skłonny jestem w dalszym ciągu uważać „zamach stanu” z 5 stycznia 1919 roku za zagadkę nierozwiązalną, przynajmniej dla mnie.

Marian ROMEYKO

---

(3) Po ukończeniu swego dzieła „Rok 1920” marszałek Piłsudski ofiarował jeden z egzemplarzy, wraz z odręczną dedykacją, Aleksandrowi Prystorowi; została ona w r. 1925 ujawniona w prasie; była bardzo charakterystyczna. Dosłownej treści nie jestem w stanie przytoczyć, lecz w sensie zbliżonym brzmiała następująco: „memu najbliższemu przyjacielowi jako jedynemu, przed którym nie miałem nigdy tajemnic”. Moim zdaniem to tłumaczy wiele spraw; toteż niekiedy wydaje mi się śmieszne gdy niektórzy z *selfmade* „apostołów” opisują „zwierzenia”, jakie im czynił marszałek Piłsudski.

Historia i cenzura

Wkrótce po ukazaniu się na łamach wrześniowego numeru ,,Kultury" mego artykułu o pracy historycznej Wł. Pobóg-Malinowskiego (1), londyński ,,Tydzień Polski" ogłosił wystąpienie Pani Marszałkowej Piłsudskiej, z szeregiem ciężkich zarzutów, stawiających pod znakiem zapytania rzetelność naukową i uczciwość pisarską oficjalnego biografa Józefa Piłsudskiego. Jak wszyscy piłsudczycy, odczułem to wystąpienie bardzo głęboko, o tyle głębiej może od innych, że dla mnie, byłego pracownika Wojskowego Biura Historycznego, nie ulegało wątpliwości, że chodzi o ostatnie chyba echo walki, wypowiedzianej Pobóg-Malinowskiemu i przegranej przed laty trzydziestu, z powodu ukazania się jego książki o Bezdanach. Być może, do wywołania tego echa przyczynił się sam Pobóg-Malinowski, drukując w majowym numerze ,,Kultury" z 1960 roku swój rewelacyjny artykuł pt.: ,,Skoro nie szablą, to piórem". Ujawnił on w tym artykule niejeden dotychczas nieznany szczegół, z życia Józefa Piłsudskiego i opowiedział perypetie, nie wszystkie zresztą, jakich doświadczył z powodu akcji, prowadzonej przeciwko niemu po wyjściu książki o Bezdanach oraz z powodu wydania w 1935 r. dwóch pierwszych tomów niedokończonej zresztą biografii Marszałka. Dzięki naszym bliskim, koleżeńskim stosunkom znam przyczynę, która wywołała ukazanie się zeszłorocznego artykułu. Pobóg-Malinowski zabrał wówczas głos nie tylko, jako historyk, ale jako relacjonista. Uznał, że nadszedł czas zdać sprawę także z własnych poczynań, skoro los i wybór jego przełożonych wciągnął go w orbitę życia i działalności wielkiego człowieka, i uczynił z niego w pewnym zakresie aktora historii. Nie przewidział jednak, że jego artykuł obudzi wspomnienia sprzed lat trzydziestu i spowoduje wystąpienie, którego i on i każdy, kto żywi szczery szacunek dla Dostojnej Wdowy, wolałby uniknąć.

Pierwszy atak, trzydzieści lat temu, wywołał wśród nas, pracowników Wojskowego Biura Historycznego, prawdziwe zażenowanie. Nasz szef, generał Julian Stachiewicz, po starannym zbadaniu zarzutów, postawionych Pobóg-Malinowskiemu, uznał je za nieuzasadnione. Dla pewności i aby uniknąć nieporozumień wtedy, gdy mogłoby być za późno by je usunąć, maszynopis książki został doręczony do wglądu Waleremu Sławkowi i Aleksandrowi Prystorowi, uczestnikom operacji bezdańskiej. Z tym ostatnim (2) Pobóg spędził trzy dni w Druskienikach. Wszystkie zarzuty przestudiowano tym staranniej, że wiedziano iż Marszałek sam chciał napisać książkę o akcji pod Bezdanami i że musiał wyrzec się tego zamiaru tylko z powodu nawału pracy. Pobóg przedstawił dokumenty i relacje uczestników akcji, przechowywane przez gen. Stachiewicza i w archiwum PPS. Konfrontacja tych materiałów z tekstem książki oczyściła debiutującego wówczas histo-

(1) ,,Instytut Jednego Człowieka" — ,,Kultura", nr 9/197.
(2) Wówczas premierem rządu R.P.

-ka, z jakichkolwiek zarzutów o nierzetelność w posługiwaniu się mate-
ałem źródłowym. Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z tego, że zachodzi
onflikt, dosyć typowy dla podobnych sytuacji, pomiędzy obiektywną pracą
storyka, a subiektywną optyką uczestniczki wydarzeń, nie rozporządzającej
resztą źródłami, lecz opierającej się na pamięci, jakże często, mimo naj-
epszej woli, zawodnej. Gdy w kilka lat później nastąpiły nowe oskarżenia,
m razem z powodu ukazania się pierwszych dwóch tomów biografii Józefa
iłsudskiego (3), rozumieliśmy, że mamy do czynienia z troską o przekazanie
otomności spiżowej bryły, zamiast obrazu człowieka żywego. Ale Pobóg-
Malinowski nie miał ani ochoty, ani zwyczaju malowania obrazków z Epinal.
ardziej mu odpowiada rysunek Goyi. A w tym rysunku zarysowuje się
hyba najlepiej tragiczna wielkość Józefa Piłsudskiego, pełna pozornych
przeczności, polegająca na darze przezwyciężania samego siebie, na wy-
orze metod działania, sprzecznych z rutyną i przez to zaskakujących, na
miejętności odrzucania, czasami niszczenia narzędzi działania, gdy prze-
tawały być skuteczne w walce o cele, które sobie nakreślał, a jednocześnie
ak pełna zwyczajnych, ludzkich cech. Był Józef Piłsudski zaprzeczeniem
onformizmu w polityce, w stosunku do ludzi, w życiu osobistym. Tylko
istoryk o niekonformistycznej postawie mógł go zrozumieć i sportretować
ez pomniejszenia, choć realistycznie.

Po przeczytaniu ,,Przestrogi dla historyków", wraz z przypływem
wspomnień, doznałem prawdziwego kryzysu sumienia. Napisałem na temat
prac pisarskich Pobóg-Malinowskiego kilka recenzji, w tym trzy o każdym
tomów jego ,,Najnowszej politycznej historii Polski", a we wrześniu rb.
rtykuł pt. ,,Instytut Jednego Człowieka", w którym starałem się przedstawić
ego znaczenie w powojennej historiografii polskiej. Nie udzielałem Pobogowi
aurek, byłem zawsze raczej surowy w podkreślaniu formalnych i meto-
dycznych usterek jego pracy, ale widziałem w nim, szczerze, autentycznego
historyka, dokonywującego pionierskiej pracy na polu, przez nikogo jeszcze
nie uprawionym, otwierającego polskiemu czytelnikowi oczy na naszą prze-
szłość, stawiającego problemy i otwierającego znaki zapytania, zmuszają-
cego milczących dotychczas aktorów wydarzeń do zabrania głosu, imponują-
cego rozmiarami osiągnięć badawczych i bogactwem ujawnionych, a przed
nim najczęściej nieznanych źródeł. W podziwie dla namiętności, cechującej
jego pisarstwo i dla jego odwagi w ujawnianiu najbardziej kłopotliwych
faktów, oraz w zajmowaniu własnej postawy, przyrównałem go do Moch-
nackiego, a jego dorobek wydał mi się godny rangi instytutu. Okazało się,
że nie byłem wśród piłsudczyków odosobniony w moim kryzysie sumienia.
Na łamach tego samego ,,Tygodnia polskiego" z 14 października ukazał
się świetny artykuł Bogusława Miedzińskiego ostatniego marszałka senatu
R.P., pt.: ,,Pomimo przestrogi". Wstęp, który tu zacytuję, oddaje ściśle
moją reakcję:

,,Poczułem się jak gdyby na ławie oskarżonych pod ciężkim zarzutem,
że zalecałem pisarza, który operuje ,,plotką" i ,,nieprawdą", sformułowa-
niami ,,graniczącymi z oszczerstwem"; ,,zniekształca" i ,,ośmiesza" postacie
historyczne, z którymi łączył mnie przez lata całe stosunek nie tylko współ-
pracy lecz przyjaźni i przywiązania...

(3) Władysław Pobóg-Malinowski, ,,Józef Piłsudski", tom I 1867/
1901, tom II 1901/1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1935.

Gdybym milczał w tym stanie rzeczy — byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do winy; nie poczuwam się do niej w sumieniu swoim i dlatego bronić się będę, choćbym miał i na siebie ściągnąć gniew Dostojnej Autorki „Przestrogi". Gniew, którego powrotna fala — po latach trzydziestu — ugodziła tak twardo, a zdaniem moim krzywdząco, w Pobóg-Malinowskiego".

W dalszym ciągu swego artykułu Bogusław Miedziński zbija punkt po punkcie, z elegancją, spokojem i taktem, przy pomocy wyostrzonej jak lancet chirurga argumentacji logicznej, wszystkie oskarżenia, zawarte w „Przestrogach". Gdy piszę ten artykuł, nie posiadam jeszcze „Tygodnia Polskiego", mającego zawierać obronę samego Pobóg-Malinowskiego, znam jednak jej treść. Napisana ze zwykłym u niego żarem, zawiera cytaty nie do odparcia i nie do zakwestionowania, gdyż pochodzą z najbardziej autentycznych źródeł, m.in. ze znajdujących się w jego rękach i przygotowywanych do druku pamiętników Walerego Sławka. W tych warunkach dolewanie jeszcze jednej kropli do wypełnionego już naczynia byłoby przesadą. Z najczystszym sumieniem podtrzymuję wszystko, co do tej pory o pracy pisarskiej Pobóg-Malinowskiego napisałem. Nie będę natomiast dodawał nowych argumentów do tych, których użyli Bogusław Miedziński i Pobóg-Malinowski i które w zupełności wystarczają, aby wykazać bezpodstawność „Przestrogi dla historyków".

O wiele poważniejszą sprawą jest dla mnie stosunek Instytutu im. Józefa Piłsudskiego, a więc nie jednostki, lecz zespołu który powinien mieć czas na rozwagę, do osoby i pracy Pobóg-Malinowskiego. Jako piłsudczyk, poczułem się zawstydzony, a jako człowiek piszący — do żywego dotknięty gdy przeczytałem na łamach „Orła Białego" oraz „Tygodnia polskiego", poniższy komunikat:

„Wobec tego, że działalność historyczno-publicystyczna p. Władysława Pobóg-Malinowskiego dokonywana jest całkowicie poza Instytutem, oraz mając na uwadze rozbieżność poglądów członków Instytutu na tę działalność, Rada Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie stwierdza, że prace piśmiennicze p. Władysława Pobóg-Malinowskiego nie mogą być w żadnym razie wiązane z Instytutem".

W pierwszej chwili uderza paradoksalność faktu, że instytucja, pieczętująca się nazwiskiem Józefa Piłsudskiego, złożona ze starych i zasłużonych piłsudczyków, odżegnywa się od oficjalnego biografa Józefa Piłsudskiego, którego całe życie wypełniła praca badawcza nad życiem i działalnością Pierwszego Marszałka Polski i który sam jest i zawsze był żarliwym piłsudczykiem. Treść przytoczonego komunikatu dowodzi, że w tym wypadku nie chodzi o spór w rodzinie, lecz o sposób pojmowania swej roli przez zespół ludzi, mających na pewno jak najlepsze intencje, ale niezupełnie zdających sobie sprawę z tego, co jest praca naukowa, w danym wypadku historyczna i jakie są prawa i obowiązki instytucji, pragnącej uchodzić za naukową.

Przede wszystkim nasuwa się pytanie, jakim prawem Rada Instytutu zabiera głos w sprawie działalności pisarskiej Władysława Pobóg-Malinowskiego, i to w sensie odżegnania się od niego, skoro ten w żadnej ze swoich prac na Instytut się nie powołuje i jego odpowiedzialności nie angażuje.

książki wydaje nakładem bądź własnym, bądź firm wydawniczych, nic z Instytutem nie mających wspólnego. Czyżby Rada Instytutu, a przynajmniej jej większość stanęła na stanowisku, że należy jej się wyłączność w zakresie literatury o Józefie Piłsudskim? Wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale ponieważ jest powszechnie wiadomo, że ludzie, nie umiejący się śmiać lubią się ośmieszać, więc, ostatecznie, nic nie jest wykluczone.

Intencja komunikatu jest widoczna: chodzi o poderwanie zaufania do Pobóg-Malinowskiego na rynku wydawniczym. Zamiar to niewątpliwie śmiały ze strony instytucji o dorobku raczej skromnym w porównaniu z bogactwem osiągnięć naukowo-pisarskich zwalczanego historyka, który zdobył sobie na polu naukowym i na rynku czytelniczym pozycję dostatecznie poważną na to, by się obejść bez patronatów, zmuszających najczęściej pisarza do kompromisów z własnym sumieniem.

Sprawa bowiem ma swoją historię, której, wobec ogłoszenia wspomnianego wyżej komunikatu, nie ma potrzeby otaczać tajemnicą i która pozwala dociec, o co naprawdę chodzi autorom uchwały Instytutu.

W roku 1960 zawiązał się w Londynie komitet, który postanowił wydać książkę o marszałku Józefie Piłsudskim w związku z 25 rocznicą jego śmierci, zwracając się do Władysława Pobóg-Malinowskiego o opracowanie tej zamierzonej biografii.

Przyjąwszy propozycję, historyk zwrócił się do jednego z członków Komitetu o interwencję w Instytucie Józefa Piłsudskiego w celu udostępnienia mu materiałów archiwalnych. Przebieg tej sprawy poznałem z korespondencji jaka wywiązała się pomiędzy Pobóg-Malinowskim i interweniującym członkiem komitetu. W liście z 13 grudnia 1960 roku donosi on, że zwrócił się do właściwej osoby w Instytucie o udostępnienie materiałów, na co otrzymał odpowiedź wymijającą. W liście z 19.12.60. czytamy:

„Sprawa zapoznania się z materiałem w archiwum Instytutu J.P. komplikuje się. Pan X po tygodniu namysłu odmówił. Nie przyjąłem tej decyzji, tak nieprawdopodobnej i zwróciłem się do prezesa Instytutu, to samo zrobił Miedziński. Prezes zdecydował oddanie decyzji Radzie Instytutu".

W liście z 1 stycznia 1961 roku interweniujący członek komitetu zawiadamia, że wyniku jego zabiegów zarząd Instytutu powziął nieoczekiwanie następującą uchwałę:

„Zarząd Instytutu J.P. w Londynie uważa, że z powodu artykułu p. Pobóg-Malinowskiego pt.: „Skoro nie szablą, to piórem", ogłoszonego w paryskiej „Kulturze", oraz treści wielu ustępów z jego „Najnowszej Historii", Instytut J.P. nie powinien utrzymywać z nim stosunków w pracy historyczno-badawczej. Z tego powodu Instytut J.P. nie może udzielić p. P.-M. prawa wglądu do archiwum Instytutu, gdyż taki wgląd i ewentualne powoływanie się w publikacjach na źródła, zaczerpnięte z Instytutu, wytwarzałoby pozory współpracy. Natomiast Zarząd zgadza się na udostępnienie członkom Komitetu, wydającego książkę p. P.-M., posiadanych przez archiwum opracowań i relacji za zgodą ich autorów, z tym tylko zastrzeżeniem, by p. P.-M. nie powoływał się na Instytut, tylko wprost na autora".

Zajmijmy się analizą tego niezwykłego i nigdzie jeszcze nieopublikowanego dokumentu.

Fakt odmówienia historykowi dostępu do archiwum jest czymś niesłychanym i niepraktykowanym w stosunkach naukowych. Świadczy on, niestety, o niezdawaniu sobie przez autorów uchwały sprawy z tego, czym jest instytut naukowy, co jest archiwum naukowe i jakie są normalnie pratykowane uprawnienia władz instytutu naukowego w sprawach udostępniania, lub odmowy posiadanych przez niego materiałów.

Wzmianka o tym, że udostępnienie archiwum wytworzyłoby pozory współpracy pomiędzy Instytutem, a historykiem, świadczy co najmniej o pomieszaniu zasadniczych pojęć. Jeżeli pisarz wypożyczy z biblioteki potrzebną mu w jego pracy książkę, to z tego faktu nie można wysnuć wniosku o współpracy. Żadna biblioteka nie może odmówić wypożyczenia książki, chyba, że chodzi o kogoś, kto je niszczy. Żadne archiwum nie może być zamknięte przed pisarzem, dlatego, że jego dzieła nie podobają się instancjom, czy osobom, za to archiwum odpowiedzialnym. Biblioteka Polska w Paryżu udostępnia materiały, którymi dysponuje, historykom i pisarzom, krajowym i emigracyjnym, nie pytając ich o poglądy, ani nie usiłując roztaczać nad nimi kontroli. Czy z tytułu tych usług przyjdzie komu do głowy zarzucać bibliotece i jej użytkownikom współpracę tematową i współodpowiedzialność za powstałe stąd dzieła?

Niektóre postanowienia Zarządu, jak np. odmowa wglądu do archiwum niemiłemu władzom Instytutu historykowi, a zgoda na udostępnienie mu tylko opracowań i relacji i to nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem członków Komitetu wydającego książkę i pod warunkiem, że ich autorzy udzielą na to zgody, oraz pod dodatkowym warunkiem, że historyk nie powoła się na Instytut, lecz na autorów zdeponowanych w jego archiwum opracowań, posiada wręcz charakter obraźliwy, nieco złagodzony bezsensownością. Nic dziwnego, że w tych warunkach praca historyka, a przecież chodzi tu o historyka emigracyjnego, uległa poważnym komplikacjom i wynikającemu z nich opóźnieniu.

Z dalszego przebiegu udzielonej mi do wglądu korespondencji, wynika, że opublikowany w prasie komunikat Rady Instytutu J.P. w Londynie stanowi trzeci punkt uchwały, powziętej w maju 1961 roku. Spośród dwóch paragrafów nie opublikowanych, pierwszy poleca zarządowi opracowanie regulaminu, normującego sprawę korzystania z archiwum Instytutu, a drugi określa, że z chwilą wejścia w życie regulaminu straci definitywnie moc obowiązującą uchwała zarządu w sprawie Pobóg-Malinowskiego. Nie wiadomo, czy uchwała powyższa zmierza do wycofania się z niewygodnej pozycji, czy też przeciwnie, prowadzi do opracowania tak rygorystycznych postanowień regulaminowych, które pozwalałyby w przyszłości nie uzasadniać odmowy dostępu do archiwum specjalnymi uchwałami, lecz powołaniem się na sam regulamin. Wolę przypuszczać, że zdecydowano się na pierwszą alternatywę.

W walce z Pobóg-Malinowskim ogłoszono swego czasu jeszcze jeden komunikat, kwestionujący jego pracę redaktorską nad wydaniem „Pism, Mów i Rozkazów" Józefa Piłsudskiego.

Wątpliwości na ten temat nie wytrzymują najłagodniejszej krytyki.

Fakt, że Władysław Pobóg-Malinowski redaguje to wydawnictwo, zawierające całokształt działalności pisarskiej Marszałka, był wśród nas, pracowników Wojskowego Biura Historycznego, powszechnie wiadomy. Za-

nie to powierzył mu generał Julian Stachiewicz, szef W.B.H. i jednocześnie pełnomocnik Marszałka w sprawach, związanych z jego prawami torskimi. Oczywiście, istniał, jak zawsze w tego rodzaju przedsięwzię-ch, Komitet Redakcyjny, który sprawował kontrolę nad wykonawcą, zielał mu wskazówek, pokrywał go swoim autorytetem. Komitety redakjne wydawnictw książkowych składają się zazwyczaj z osobistości wybitch, należących do kategorii, którą Francuzi nazywają: *personalités* i sprająjących naraz kilka wysokich funkcji. Istotną pracę wykonawczą, w tym vpadku — redakcyjną, spełnia ten, dla którego ona jest jedynym zadaniem, znaczy sekretarz. Ilustracja przy pomocy istotnego przebiegu sprawy poda dostateczną wymowę. Najpierw, bo w roku 1929, wyszedł tom ,,Pism, Mów i Rozkazów" pod tytułem: ,,1926-1930. Przemówienia, ywiady, Artykuły". Notatka redakcyjna: ,,Zebrali i do druku przygowali Antoni Anusz i Władysław Pobóg-Malinowski". Zdaje się, że nie a w tym stanie rzeczy tematu do dyskusji, czy atakowany historyk wykował, czy nie prace redakcyjne.

Tomy: I i II, wydane w roku 1930, posiadają notatkę redakcyjną o eści następującej: ,,Komitet redakcyjny: Michał Sokolnicki i Julian Staiewicz. Sekretarz redakcji Władysław Malinowski. Wstęp i przypisy o I tomu (względnie II) opracował Leon Wasilewski. ,,Przypomnijmy, że en. Stachiewicz był szefem Wojskowego Biura Historycznego i że kiewnictwo tą wielką instytucją naukową pochłaniało prawie całkowicie jego zas, ograniczony złym i bez przerwy pogarszającym się stanem zdrowia. imo wielkiego zainteresowania osobistego dziełem rozpoczętym pod jego adzorem, musiał się ograniczyć do ogólnych wskazówek. Udział Michała okolnickiego, wybitnego historyka i jednego z najstarszych współpracowków Marszałka w pracy niepodległościowej, był oczywiście niezwykle ceny, ale jego wiek, wysokie stanowisko urzędowe i własna pozycja naukowa ykluczały z jego strony pracę wykonawczą. Sprawowali ją w tym czasie w wielkiej harmonii Leon Wasilewski i, oczywiście, sekretarz Komitetu edakcyjnego, Pobóg-Malinowski.

W notatkach redakcyjnych do tomów: III (1930), IV (1931), VI i VII 931) znika nazwisko Leona Wasilewskiego, który uważał za swój oboiązek ustąpić z Komitetu Redakcyjnego w związku z zaostrzeniem się opoycji stronnictwa PPS, do którego należał. Inne nazwiska z I i II tomu ozostały bez zmiany. Odejście Leona Wasilewskiego zwiększyło jednak lę i odpowiedzialność sekretarza Komitetu Redakcyjnego i to tym bardziej, z dniem 1 sierpnia 1931 roku Michał Sokolnicki przeszedł ze stanowiska aczelnika wydziału historyczno-naukowego M.S.Z. na ministra pełnomocego w Kopenhadze.

W notatce redakcyjnej do tomów V i VIII, obok trzech nazwisk dochczasowych, znajdujemy w ostatnim wierszu nazwisko Kazimierza Świlskiego, w tym czasie marszałka sejmu, jako tego, który współpracował zy redagowaniu. Współpraca ta polegała na udostępnieniu materiałów, ajdujących się w bibliotece sejmowej.

W tomie pt. ,,Suplementy", wydanym w roku 1936 i obejmującym ateriały, które wyszły na jaw w ciągu druku 9 tomów poprzednich, znika kretarz, ale za to znajdujemy nową listę Komitetu Redakcyjnego, w ład którego wchodzą tym razem: uczczony w ten sposób, bo od dwóch

lat już nieżyjący, generał Julian Stachiewicz, uczestniczący w opracowaniu dwóch pierwszych tomów Leon Wasilewski, który zgodził się na obecność przy tym ostatnim akordzie i wreszcie Władysław Pobóg-Malinowski. Zdaje się, że to zestawienie rozstrzyga o pracy i odpowiedzialności redakcyjnej młodego wówczas, lecz, jak widzieliśmy, rosnącego w znaczenie historyka, którego rolę stara się, dla niezrozumiałych powodów, pomniejszyć, a nawet zakwestionować emigracyjny Instytut Józefa Piłsudskiego.

Piszę ten artykuł nie dlatego, żeby godzić w instytucję, która powstała i działa w ciężkich warunkach, z najlepszymi bez wątpienia intencjami. Milczenie o trudnościach pisarza i historyka z instytucją, pragnącą uchodzić z naukową, przestało być celowe z chwilą, kiedy Instytut ogłosił, ni stąd ni zowąd, bez żadnego uzasadnienia, przytoczony tutaj komunikat, wyrządzając sobie samemu ciężką i raczej trudną do naprawienia krzywdę. Znam osobiście chyba większość członków Rady i jestem pełen szacunku dla ich zasług w przeszłości i jak najlepszych intencji obecnie. Żałuję, że muszę im wyrządzić przykrość. Chciałbym im doradzić, aby zaprosili do swoich organów wykonawczych jednego ze swych członków, mającego doświadczenie w pracy historyczno-naukowej i który umiałby odradzić im takie gaffy, jak te, które im się wydarzyły, w sprawie Pobóg-Malinowskiego. Na razie, gdy trzeba dokonać wyboru pomiędzy pisarzem, który tworzy a placówką, która hamuje, i to wbrew zadaniom do których jest powołana, uznałem że nie wolno się wahać z zajęciem stanowiska. Dobre imię instytucji można jeszcze uratować. Trzej członkowie Rady, Bogusław Miedziński, gen. Kazimierz Sawicki i Konrad Libicki wnieśli *votum separatum* przeciwko uchwale, ogłoszonej w komunikacie Rady. Ta zdrowa reakcja dowodzi, że są ludzie zdecydowani nie dopuścić do utożsamienia Instytutu Józefa Piłsudskiego z instytutem cenzury.

A. KAWAŁKOWSKI

W 20-tą rocznicę zamordowania Henryka Erlicha i Wiktora Altera

Przed dwudziestu laty zamordowani zostali w Rosji dwaj najwybitniejsi przywódcy Ogólnego Żydowskiego Związku Robotniczego w Polsce („Bundu"), radni miasta Warszawy Henryk Erlich i Wiktor Alter. Obaj zostali uwięzieni po raz pierwszy we wrześniu 1939 roku, Erlich dostał się w ręce okupacyjnych władz sowieckich w Brześciu nad Bugiem, Alter — w Kowlu. Obaj zostali (każdy z osobna) skazani na karę śmierci w Moskwie

sierpniu 1941 roku. Obaj zostali zwolnieni z więzienia we wrześniu 1941 ku i ponownie uwięzieni (razem) w Kujbyszewie w nocy z 3 na 4 grud- a 1941 roku.

Fakt stracenia ich ujawnił Maksym Litwinow, ambasador sowiecki Waszyngtonie, listem skierowanym w dniu 23 lutego 1943 roku do Wil- ama Greena, prezydenta Amerykańskiej Federacji Pracy. List Litwinowa -pisany został na polecenie Mołotowa, do którego Green oraz 14 innych ybitnych osobistości amerykańskich (w tej liczbie Albert Einstein) skie- wało depeszę, żądającą „w imię sprawiedliwości i ludzkości" przywró- enia wolności „tym znakomitym, odważnym bojownikom antyfaszystowskim antynazistowskim, Henrykowi Erlichowi i Wiktorowi Alterowi".

List Litwinowa do Greena miał następujące brzmienie!

„P. Mołotow, komisarz ludowy spraw zagranicznych, powiadomił mnie otrzymaniu przez niego telegramu podpisanego przez pana a dotyczącego wóch obywateli sowieckich, Altera i Erlicha.

Z polecenia p. Mołotowa powiadamiem pana o następujących faktach:

Za czynną działalność wywrotową przeciw Związkowi Sowieckiemu pomaganie organom wywiadu polskiego w zbrojnych działaniach, Erlich Alter skazani zostali na karę śmierci w sierpniu 1941 roku.

Na żądanie rządu polskiego. Erlich i Alter zostali zwolnieni we wrześ- iu 1941 roku.

Jednakże po ich zwolnieniu, podczas najbardziej rozpaczliwych walk vojsk sowieckich przeciw napierającej armii hitlerowskiej, podjęli oni na owo swą wrogą działalność, m.in. wzywając wojska sowieckie, by zanie- hały przelewu krwi i natychmiast zawarły pokój z Niemcami.

Za to zostali na nowo aresztowani i skazani w grudniu 1942 roku po- ownie na karę śmierci przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego. Vyrok ten został na obu wykonany".

W dodatkowym liście Litwinow sprostował datę wyroku i egzekucji: iała ona miejsce nie w grudniu 1942 roku, lecz w grudniu 1941 roku.

W liście Litwinowa na uwagę zasługują trzy elementy. Po pierwsze, wraca uwagę określenie Erlicha i Altera jako obywateli sowieckich, cho- iaż obaj urodzili się w Polsce (Erlich w Lublinie w 1892, Alter w Mła- vie w 1890), nigdy nie zrzekli się obywatelstwa polskiego i nigdy nie przyjęli bywatelstwa sowieckiego, a ponadto zwolnieni zostali z więzień sowiec- ich we wrześniu 1941 roku jako obywatele polscy, na mocy układu Sikorski- Majski. Rzekome obywatelstwo (należałoby raczej powiedzieć „poddań- ywo") sowieckie Erlicha i Altera służyć miało za pretekst do zaliczenia ałej tej sprawy do czysto wewnętrznych spraw ZSSR.

Drugi ważki element listu, to jego data. Protestów przeciw uwięzieniu Erlicha i Altera było wiele, protestowała przede wszystkim ambasada pol- ka w Kujbyszewie, protestowały organizacje robotnicze w całym wolnym wiecie. Na wszystkie listy i telegramy — władze sowieckie odpowiadały iewzruszonym milczeniem, a zdecydowały się ujawnić fakt zgładzenia Erlicha i Altera dopiero z końcem lutego 1943 roku. Skądże ta data? Otóż st Litwinowa (z polecenia Mołotowa) napisany został w kilka tygodni po rzełomie w Stalingradzie, po odwróceniu się losów wojny. List Litwinowa o Greena był jak gdyby wyzwaniem, rzuconym opinii publicznej świata za- hodniego przez zwycięskiego już (a w każdym razie zwyciężającego) Stali- a i próbą, co przełknąć potrafi żołądek świata zachodniego; okazało się, e żołądek ten jest strusi, wszystko strawi.

Trzeci zwracający uwagę i najważniejszy element listu Litwinowa, to bsurdalność i potworność oskarżenia. Przechowałem łączny list Erlicha i Altera, który otrzymałem w Londynie w dniu 12 listopada 1941 roku. Po-

daję ten list poniżej w całej jego rozciągłości, gdyż jego treść moim zdaniem wyjaśnia prawdziwy powód zamordowania dwóch polsko-żydowskich socjalistów:

Kujbyszew 23.10.41.

Szanowny Towarzyszu!

Około 10 dni temu złożyłem na ręce Ambasadora pismo w sprawie naszego udziału w Radzie Nar. Powołałem się tam na stanowisko naszych towarzyszy amerykańskich, którzy chcieliby widzieć w Radzie N. dwóch przedstawicieli Bundu. Oświadczyłem, że stanowisko to uważam za uzasadnione, że wszelako realnie w warunkach obecnych może być mowa tylko o pobycie jednego z nas dwóch (mnie i Altera) w Londynie i dlatego zgłosiłem imieniem naszej partii oficjalnie jako kandydata do R.N. tow. Altera.
Ambasador obiecał przesłać pismo moje do Londynu i poza tym zakomunikować jego treść telegraficznie Rządowi. Nie wątpię, że uczynił i jedno i drugie. Jeżeli piszę o tym, to dlatego, że chciałbym Was prosić, byście sprawę naszą poparli i w miarę możności przyspieszyli jej załatwienie.
Ściskam serdecznie dłoń!

H. ERLICH

Szan. Tow.!

Widziałem się tu z Citrine'em i mówiłem mu o sprawie amnestii. Obawiam się, żem nie potrafił przekonać go o konieczności poruszenia przez niego tej sprawy, gdyż on stoi na stanowisku „nie wtrącania się".
Tym bardziej ważnym jest, by sprawa ta była poruszona w prasie. Wiem, że macie duże stosunki i nie wątpię, że w tej sprawie zrobicie co możecie.
Ostatnie wypadki podkreślają jeszcze konieczność szybkiej amnestii. Przeszkodzić dalszym sukcesom Hitlera może tylko „a change of heart" ludności tutejszej (o ile nie jest już za późno). A niezbędnym warunkiem tej zmiany nastrojów jest amnestia.

Uścisk dłoni.

W. ALTER

Zbrodnią Erlicha i Altera było przeświadczenie, że w interesie zwycięstwa nad Niemcami konieczna jest w Rosji szybka amnestia powszechna. Oto jest moim zdaniem prawdziwa przyczyna zamordowania tych dwóch ludzi. Ich poglądy były niewątpliwie znane władzom sowieckim. Równie niewątpliwie obawiały się one, że Alter będzie tym poglądom dawał wyraz po swym przybyciu do Londynu, Erlich zaś — po swym przybyciu do Nowego Jorku, dokąd zamierzał się udać, by połączyć się z przebywającym tam przedstawicielstwem polskiego „Bundu".
Żądanie rehabilitacji uchybiałoby pamięci Erlicha i Altera. Należy jednak, po ujawnieniu na XXII zjeździe KPZR niektórych zbrodni władz sowieckich, przypomnieć i tę zbrodnię, popełnioną na obywatelach polskich, znakomitych socjalistach żydowskich, o nieskazitelnych w całym świecie nazwiskach.

Adam CIOŁKOSZ

Kronika kulturalna

Nagroda Literacka "Kultury" za rok 1961

Jury postanowiło przyznać tegoroczną nagrodę „Kultury" Józefowi Łobodowskiemu.

◆

Józef Łobodowski jest naszym ostatnim poetą romantycznym „szkoły ukraińskiej". Wiersze romantyczne nie są dziś w modzie. Lecz nie tylko to dzieli Łobodowskiego od jego rówieśników i młodszych kolegów. Posłuchajmy np., co mówi o koniach:

„Wierzchowców długie grzywy faluje łagodny rytm"

Łatwo zgadnąć, że Łobodowski jak sam emir Rzewuski, w młodości jeździł konno po stepie, gdy większość jego rówieśników i młodszych kochanków muz hasała po asfalcie, w tramwajach i taksówkach. Nic więc dziwnego, że w jego słowach jest więcej zrywu i naporu niż misterności. Ale nie o to chodzi. Jury „Kultury", przyznając mu nagrodę, nie zamierzało zajmować stanowiska w sprawach poetyki. Tradycja romantyczna, którą reprezentuje wśród nas Józef Łobodowski, nie da się zresztą do tych spraw sprowadzić.

Poeci romantyczni, bredzący Litwą i Ukrainą, zostawili nam obraz Rzplitej Jagiellońskiej z jej borami i stepami, z jej dobrymi i złymi urokami, z jej tragicznymi sprzecznościami wewnętrznymi. W ich otoczeniu spisane zostały pierwsze książki o folklorze i własnym obliczu ludów, wchodzących w skład dawnej

Rzplitej. Wiedzeni instynktem, autorzy ich pragnęli jak gdyby oddzielić się barierą nowych ludów od zwycięskiej potęgi Rosji.

Następne pokolenia odwróciły się od tego ogromnego fresku romantyków i od zagadnień cywilizacji jagiellońskiej. Myśli ich zwróciły się w inną stronę, jak gdyby w przeczuciu późniejszych wyroków losu.

Dziś, gdy po pięciuset latach Polska wróciła do granic piastowskich, wizja pozostawiona przez romantyków stawia nowe pytania. Wielu z nas, czy tego chcemy czy nie, jest synami Rzplitej Jagiellońskiej, naznaczonymi w jakiś sposób przez jej osobliwą cywilizację. Czasami, nawet w tłumie rodaków, odczuwamy wynikłą stąd milczącą odrębność. Co mamy z nią zrobić w naszej piastowskiej ojczyźnie?

Spotkanie z Józefem Łobodowskim pozwala nam przejrzeć się na nowo w zwierciadle naszych jagiellońskich wspomnień i skonfrontować je z nową rzeczywistością. On jeden słyszy wyraźnie głosy, dochodzące poprzez kordony graniczne z dawnych obszarów Rzplitej, a które dla wielu z nas są tylko niejasnym szmerem pamięci. Mam tu na myśli jego tłumaczenia poetów ukraińskich i białoruskich, naznaczonych również przez cywilizację jagiellońską. Oznajdujemy u nich znane nam dobrze skądinąd barokowe kształty folkloru i łacińskie reminiscencje:

A dokąd z krzywdą swoją tak kroczą?
Czyim pragną pokazać ją oczom?
Światu całemu.

(Janka Kupała)

I gasły mi Skorpiona wróżby chmurne,
a ręka Strzelca unosiła w górę
swój srebrny łuk i była mi przyjazna.

(Mykoła Zerow)

W swej próbie zbliżenia ponownie rozproszonych przez bieg historii fragmentów starej cywilizacji dzieło tłumacza przekracza tu granice, zakreślone zazwyczaj temu rzemiosłu poetyckiemu.

Chłonność Łobodowskiego, jego zdolność rozumienia i opanowywania wyobraźnią poezji obcej jest na miarę Renesansu, kiedy literatura europejska posiadała jeszcze wspólny język — łacinę. Jest on bowiem również zapalonym znawcą poezji rosyjskiej i hiszpańskiej. Przekłady z tej ostatniej zyskały mu szerokie uznanie. Naginając się, jako tłumacz, do wymagań tylu stylów i języków, Łobodowski zostaje jednak zawsze sobą. Nawet jego

wiersze tłumaczone z hiszpańskiego mają jakieś tajemne powinowactwo z jego pierwszą muzą stepową:

Przez równinę, poprzez wiatr,
Czarny koń, czerwony księżyc.

Przyznając mu tegoroczną nagrodę, jury „Kultury" pragnie wyróżnić nie tylko talent, lecz także szlachetną i samotną postawę Józefa Łobodowskiego.

P. H.

Polski sezon jesienny w Paryżu

Dwie wystawy Jana Lebensteina. Jedna, to realizacja jego nagrody na pierwszej paryskiej Biennale: olbrzymia sień i kilka sal Muzeum Sztuki Nowoczesnej miasta Paryża, w którym jednocześnie na górnych piętrach mieści się wystawa drugiej Biennale. Wystawa Lebensteina wygląda rzeczywiście imponująco: czterdzieści pięć wielkich obrazów olejnych, kilkanaście gwaszy, dwadzieścia sześć wielkich rysunków. Sale przyznane Lebensteinowi są tak obszerne, tak wysokie, że dzieło innego malarza mogłoby w nich zniknąć. Ale przepych materii tych dużych, często wąskich i wysokich obrazów, ich hieratyczna powaga nie tylko przezwyciężają przestrzeń, ale wypełniają ją szczególną fascynacją. Od pierwszych figur osiowych Lebensteina z roku 1957 do wielkich totemów które maluje on obecnie, przebiega jedna, stała linia rozwojowa. Zwiedzającego uderza jednolitość atmosfery. Te atawistyczne bóstwa, barbarzyńskie herby, organiczne łupy są jakby eksploracją, przez na wskroś współczesną wrażliwość, prastarych, zapomnianych cywilizacji. Materia malarska Lebensteina należy do najbardziej wyszukanych, do najpyszniejszych w epoce w której właśnie materia jest głównym bodaj terenem doświadczeń i poszukiwań młodych twórców. Patrząc długo na te obrazy, wydaje się że mienią się jak bańki mydlane, że lśnią tęczą utlenionych metali czy nafty rozlanej na podmiejskich bagnach. Czasami mają groźne wzdęcia ledwo ostygłej lawy. Kiedy indziej znów powierzchnia staje się chropowata, zwisa jak skóra nosorożca czy hipopotama. Podobnie jak większość młodych polskich malarzy, Lebenstein jest niemal monochroniczny. Najbardziej interesują go trudne i subtelne

rozwiązania w gamie kolorów szarych, brązów i czerni. Czasami tylko odważna, dźwięczna plama koloru — karminu, złotej żółci, błękitu — tkwi jak rzadki klejnot w miedzianej czy ołowianej oprawie.

Przedmowę do pięknego, bogato ilustrowanego katalogu, który miasto Paryż wydało z okazji wystawy Lebensteina, napisał Raymond Cogniat, główny komisarz paryskiej Biennale. Zrozumiał on dobrze samotność Lebensteina, jego skupienie i powagę.

„Często się zastanawiałem — pisze Cogniat — co Paryż i Francja, gdzie Lebenstein żyje od dwóch lat, mu dały. Jego sztuka nic nie zawdzięcza naszej słodyczy życia, naszemu klasycyzmowi, ani przezroczystości paryskiego nieba. Cóż znalazł Lebenstein u nas? Może po prostu właśnie możliwość milczenia i skupienia, poczucie samotności wśród tłumu — tłumu ludzi i tłumu myśli — może wzbogacił się tym szumem, nie poddając mu się.

„Wydaje mi się że Lebenstein wybrał na te dwa lata Paryż tak jak się wstępuje do klasztoru, aby utwierdzić się w powołaniu, oddać się powołaniu bez reszty. A powołanie Lebensteina jest surowe, nie pozwala mu na żadne roztargnienie. Być może właśnie w ramach tego surowego powołania, w ramach tego ascetyzmu, odkrył Lebenstein swoją wolność, poprzez owe pyszne zestawienia materii malarskiej, które pęcznieją, układają się w odwieczny porządek, jak skorupa ziemska czy skóra zwierzęca.

„W dziele Lebensteina — kończy Cogniat — jest powaga, jest trzymana w ryzach pasja które dziełu temu nadają jego jedyny akcent i jego wielkość".

Jan Lebenstein był już oczywiście malarzem dobrze znanym na Zachodzie przed swoją wielką paryską wystawą. Od czasu gdy otrzymał pierwszą nagrodę na Paryskiej Biennale w r. 1959, miał on dwie wystawy w Paryżu — w Galerii Lacloche i w Galerii Lambert, oraz wystawę w Turynie. Lebenstein uczestniczył również w tegorocznej zbiorowej wystawie Dwunastu Współczesnych Malarzy Polskich w paryskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej oraz w zbiorowej wystawie Piętnastu Polskich Malarzy Współczesnych w Muzeum Sztuki Nowoczesnej i zbiorowej wystawie młodego polskiego malarstwa w Gallery Chalette w Nowym Jorku. Po wszystkich tych wystawach krytyka francuska, amerykańska, włoska często podkreślała, że Lebenstein jest spośród młodych polskich artystów twórcą najoryginalniejszym. Obecna wystawa przyjęta została przez większość francuskiej prasy wręcz entuzjastycznie. Znany krytyk Michel Ragon stwierdza w wielkim tygodniku artystycznym „Arts":

„Gdyby jedyną zasługą paryskiej Biennale było odkrycie wspaniałej sztuki Lebensteina, już to samo wystarcza na jej usprawiedliwienie".

Głosów niechętnych niewiele, a i te zwrócone głównie przeciw sukcesowi tak młodego cudzoziemca:

„Co to za pomysł robić temu chłopcu wystawę w skali wystaw retrospektywnych Picassa czy Max Ernsta?" — zapytuje na przykład „France-

Observateur", dodając poczciwie: „To przecież zdolny malarz, wy mu szkodzicie...".

Jednocześnie z wielką wystawą w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Galeria Lambert urządziła małą wystawę gwaszów, rysunków i szkiców Lebensteina. Wystawa mała, ale niezmiernie ciekawa, gdyż daje ona szereg kluczy do zrozumienia malarstwa Lebensteina. Dobrze się stało, że Lebenstein wystawił szereg swych obsesyjnych rysunków figuratywnych. Widać z nich jasno że obrazy jego są kryptograficzne. Jest to szczególny wypadek użycia abstrakcji dla zaszyfrowania telegramów, które samotny artysta wysyła w świat powtarzając raz po raz główne motywy swej alienacji. Trudno mi powstrzymać uśmiech myśląc o paryskich czy nowojorskich damach spoglądających ze spokojnym zadowoleniem na „swego Lebensteina" i nie posądzających, że pod przepychem materii i hieratyczną formą zarysowują się pieczęcie pary której na imię: Eros, Thanatos.

◆

Druga paryska Biennale (przeznaczona jak wiadomo dla młodych artystów między 25 i 35 rokiem życia) otwarła się zatem pod znakiem wielkiego polskiego sukcesu sprzed dwóch lat. Ale sukces ten ograniczył oczywiście możliwości polskich malarzy na Biennale obecnej. W zasadzie jury Biennale miało prawo ponownie nagrodzić dzieło polskiego malarza, ale w praktyce wiadomo, że wszelkie tego rodzaju wystawy i konkursy międzynarodowe przestrzegają pewnej rotacji między krajami biorącymi w nich udział.

Stało się tak i tym razem. Jeden z francuskich członków jury powiedział mi że w początkowym stadium dyskusji najpoważniejszym kandydatem do nagrody był Tadeusz Dominik i że odpadł on właśnie aby zadowolić „międzynarodową kolejkę". W dziale muzyki otrzymał natomiast nagrodę młody polski kompozytor Henryk Górecki. Druga paryska Biennale nie ograniczyła się bowiem do malarstwa, rzeźby i grafiki, mimo że są to nadal jej główne działy. Obok Góreckiego, który przedstawił swą „Symfonię" z r. 1959, uczestniczyli w Biennale dwaj inni polscy kompozytorzy, cieszący się już zresztą na Zachodzie dużym prestiżem: Wojciech Kilar („In memoriam", oda poświęcona Bartokowi) oraz Penderecki (Strofy).

Grafikę polską reprezentowali Aleksander Kornijasz, Włodzimierz Kunz, Lucjan Mianowski i Stefan Suberlak. Uderzyła mnie piękna i pomysłowa litografia Mianowskiego pod tytułem „Katedra Ikonograficzna". Do zorganizowanego przez Biennale konkursu na ilustracje „Nieznanego Arcydzieła" Balzaca stanęli Jan Młodożeniec i Franciszek Starowieyski. W dziale dekoracji teatralnej zadano również w tym roku z góry obrane tematy konkursowe: na projekt dekoracji do „Nosorożca" Ionesco, lub

do „Hamleta". Projekty Zofii Góralczyk i Andrzeja Sadowskiego do „Nosorożca" oraz Andrzeja Majewskiego i Zofii Wierchowicz do „Hamleta" należały zresztą do najciekawszych. W dziale filmów o sztuce Polska reprezentowana była dwoma kolorowymi krótkometrażówkami: „Z kraju Smutnej Bajki" Tadeusza Jaworskiego oraz „Nieco inny świat" Kazimierza Karabasza.

Ale wróćmy do malarstwa i rzeźby. Obok Dominika, Polskę reprezentowali w tym roku malarze Zbigniew Jaskierski, Jacek Sempoliński, Jacek Sienicki, Jan Szancenbach i Jerzy Tchórzewski oraz rzeźbiarze Anna Dębska i Stanisław Kulon. Dział polski jest w tym roku mniej oryginalny, mniej śmiały niż dwa lata temu. Ponieważ jednak poziom ogólny drugiej Biennale wydaje się również słabszy od pierwszej, dział polski należy mimo to do najciekawszych na wystawie. Spośród malarzy, dwaj tylko dobrze są znani na Zachodzie: Tadeusz Dominik i Jerzy Tchórzewski. Obaj mieli już indywidualne wystawy w Paryżu, obaj byli reprezentowani na najważniejszych polskich wystawach zbiorowych w Paryżu, Nowym Jorku, Wenecji, Kassel, Sao Paolo. W tegorocznym zestawie polskim oni dwaj — Dominik i Tchórzewski — reprezentują zresztą malarstwo najśmielej awangardowe. Obrazy Dominika są mniej kolorowe, mniej kosmiczne od jego dawniejszej twórczości. Wydaje mi się natomiast że zyskały na głębi, tajemniczości. Są to dwie ciemne kompozycje — jakby krajobrazy wewnętrzne — w czerniach, srebrach i szarych odcieniach, w których samą plamą barwną dochodzi Dominik do bardzo ciekawych rozwiązań przestrzennych.

Jerzy Tchórzewski, którego nadrealistyczne wizje elektrycznej atmosfery, drapieżnej, ptasiej przestrzeni, wysoko cenię, w tym roku reprezentowany był jednym tylko obrazem i to nie najszczęśliwiej wybranym. Pozostali malarze należą raczej do świata kulturalnej stylizacji niż autentycznego stylu. Wybór ich był być może rezultatem kompromisu między polskimi zwolennikami abstrakcyjnej awangardy, a rzecznikami malarstwa figuratywnego. Osobiście wolałbym żeby kompromis ten wyraził się szczerzej: żeby na przykład przedstawiono nam z jednej strony malarzy równie odważnych i nowych jak Dominik i Tchórzewski, z drugiej bardziej otwarcie figuratywnych malarzy. Kompozycje Sempolińskiego z instrumentami muzycznymi są smacznym, dekoracyjnym malarstwem.



W Galerie Charpentier w Paryżu odbył się w środę 18 października wernisaż wystawy pod oryginalnym tytułem „Malarze polscy przedstawieni przez władze polskiej Republiki Ludowej".

Po wystawie „Dwunastu polskich malarzy współczesnych" w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, po polskim zespole na Biennale, oto trzecia w tym roku duża wystawa polskiego malarstwa w Paryżu. Galeria Charpentier jest jedną z ostatnich twierdz starej, zmurszałej francuskiej burżuazji, o mocnych podstawach finansowych i charakterze bardziej towarzyskim niż artystycznym. Wernisaże w Galerie Charpentier przypominają rysunki Steinberga: trudno się ruszyć, gdyż tyle miejsca zabierają skomplikowane olbrzymie kapelusze rzeźkich staruszek, które ruszają się ze swych willi w Neuilly czy w Auteuil w wyjątkowych tylko okazjach: na przyjęcie nowego członka Akademii Francuskiej, na premierę sztuki Montherlanta, czy właśnie na doroczny wernisaż u Charpentier. Galeria ta co roku organizuje wystawę pod niezmiennym, stale atrakcyjnym tytułem „Ecole de Paris". Nie trzeba tego tytułu brać zbyt dosłownie: wielu największych malarzy szkoły paryskiej nigdy swych obrazów w Galerii Charpentier nie wystawia. Doroczny Salon Majowy jest o wiele ciekawszym i odważniejszym przeglądem współczesnych prądów artystycznych i jego prestiż ściśle plastyczny jest o wiele większy. Galeria Charpentier zna natomiast od wielu lat swoją klientelę i co roku stara się kompromisowo rozwiązać trudny problem zestawu malarzy współczesnych, ale niezbyt odważnych, którzy by jednocześnie zadowalali snobizm bogatych klientów chcących iść z duchem czasu i byli do przyjęcia w ich konserwatywnych mieszkaniach. Jest to więc galeria gustownej, spokojnej abstrakcji (co w moich ustach nie jest bynajmniej pochwałą), przyrządzonego w nowym sosie postimpresjonizmu i tak zwanego „realizmu poetyckiego", którego główną cechą jest że mało ma wspólnego zarówno z rzeczywistością, jak z prawdziwą poezją. Nie znaczy to oczywiście żeby nie było na wystawach Galerii Charpentier dobrych malarzy i udanych obrazów — mówię raczej o ogólnej atmosferze tych wystaw — które utrzymane są w tak zwanym dobrym tonie, z myślą o tym żeby obrazy nie gorszyły Ludwików (foteli) i Arrasów z którymi będą sąsiadować — ani ich właścicieli.

Obok stałej wystawy Ecole de Paris, Galeria Charpentier organizuje co roku dział zagraniczny. W zeszłym roku byli to Włosi, w tym roku Polacy. Myślę że prastare hrabiny i żony prezesów rad nadzorczych (które z malarstwem polskim nie zetknęły się na pewno ani w Muzeum Sztuki Nowoczesnej ani na Biennale) szły na tegoroczny wernisaż z lekkim niepokojem: co też ci polscy komuniści nam pokażą? Otóż, o dziwo, zestaw malarzy przedstawionych (cytuję znów tytuł wystawy) przez władze Polskiej Republiki Ludowej pasuje jak ulał do gustu klientów Galerii Charpentier! Hrabiny były zachwycone, trzęsły piórami w kapeluszu i kolczykami i pokrzykiwały co chwila: jakie śliczne, jakie gustowne obrazy! Oczywiście od sztuki nowoczesnej, w której polscy malarze zdobyli sobie w ciągu ostatnich pięciu lat tak wybitne miejsce, jesteśmy bardzo daleko.

Wyrażałem przed chwilą żal, że tegoroczny zestaw polski na Biennale jest, poza Dominikiem, mniej śmiały, mniej frapujący od zestawu na pierwszej Biennale dwa lata temu. Ale w porównaniu do malarzy wystawionych w Galerii Charpentier, polscy malarze na Biennale to szczyt awangardy. Poważnie mówiąc, z nostalgią myślałem o pięknej, obiektywnej, spokojnej, bardzo malarskiej wystawie 12 malarzy nowoczesnych, zorganizowanej w Muzeum Sztuki Nowoczesnej przez prof. Stanisława Lorentza. Nie była to wystawa ,,uderzeniowa'' i wyraziłem to zastrzeżenie w ,,Kulturze'', ale cechował ją pewny malarski smak.

Pan Jerzy Zanoziński, komisarz obecnej wystawy, stwierdza w katalogu że Zachód zna wyłącznie dwa kierunki polskiej sztuki nowoczesnej — kapistów i nowych abstrakcjonistów. Wystawa w Galerii Charpentier ma, jego zdaniem ,,wypełnić lukę i pokazać trzeci kierunek''. Ten trzeci kierunek to, cytuję p. Zanozińskiego, ,,klimat specyficznie poetycki wszystkich tych obrazów, klimat idący od dziwności czasem surrealistycznej aż do liryzmu bardzo osobistego i intymnego koncepcji zdarzeń rzeczywistych i ich malarskiej interpretacji''. A więc znów nieszczęsny realizm poetycki, który może w Galerie Charpentier czuć się jak w domu.

Chcę zaraz powiedzieć że jest na tej wystawie trochę dobrych malarzy i ciekawych obrazów, ale niestety giną one w całości. Co mnie najbardziej dziwi, to udział w wystawie Tadeusza Brzozowskiego, jednego z najlepszych i najciekawszych, najbardziej oryginalnych młodych malarzy polskich. Co prawda p. Zanoziński wybrał dwa figuratywne obrazy Brzozowskiego sprzed 11 lat i jeden tylko obraz nowszy, tak jakby chciał powiedzieć krytykom zachodnim, admiratorom Brzozowskiego: widzicie, ten Brzozowski który wam się podoba też kiedyś malował rozsądnie! Ale mimo że wolę okres nieco późniejszy Brzozowskiego (również zresztą figuratywny), te dwa stare obrazy trzymają się świetnie, są dowodem autentyczności i ciągłości dzieła Brzozowskiego. Co jeszcze jest dobrego? Cztery bardzo smaczne, bezpretensjonalne krajobrazy Ariki Madeyjskiej, która ma ograniczony świat wyobraźni malarskiej, ale wyraża ten świat przekonywująco i szczerze. Jest wreszcie Jerzy Nowosielski. Osobiście nie lubię jego bizantyńskiej stylizacji, wolę krajobrazy od postaci ludzkich, ale przyznaję że jest to malarz z prawdziwego zdarzenia. Reszta niestety nuda, banał, pretencjonalność, strojenie min. Szczytem słodkawego złego smaku są dla mnie obrazy Kazimierza Mikulskiego — dziesiąta woda po surrealistycznym kisielu i to woda osłodzona złymi landrynkami. Wiele miejsca poświęcono państwu Panasom, którzy malują trochę monumentalnie, trochę socrealistycznie, trochę figlarnie, ale zawsze ciężko. Z autoportretów widać że są z siebie i ze swego malarstwa zadowoleni.

Nie będę jednak łamał rąk nad tą imprezą. Polscy malarze, czy to starszego pokolenia — Jan Cybis, Józef Czapski, Euge-

.iusz Eibisch, Piotr Potworowski, czy to młodzi — Lebenstein, Dominik, Gierowski, Brzozowski, Tchórzewski, zdobyli sobie ak duże uznanie na Zachodzie, tak ugruntowali tutaj opinię • polskim malarstwie w kołach poważnej krytyki, że nikt nie weźmie wystawy ,,realizmu poetyckiego'' p. Zanozińskiego za eprezentatywny zestaw polskich malarzy. A że smak ,,władz Polskiej Republiki Ludowej'' zbiega się ze smakiem paniuś z paryskiej burżuazji, to też żadne zmartwienie.

Na osłodę (i ku mojej uldze) dodał p. Zanoziński na marginesie tej wystawy piękny zestaw 25 akwarel Nikifora. Prawie zawsze uroczy, Nikifor jest bardzo nierówny, a że rodacy przywożą zagranicę ,,Nikiforki'' niemal masowo, dobrze się stało że pokazano tym razem stare, bardzo piękne okazy prymitywnego malarza z Krynicy.

Ciekawe, że w ramach francuskiego działu ,,Ecole de Paris są dwa dobre polskie obrazy: nowy, silnie skonstruowany Wostan i bardzo piękny Kujawski.



Wreszcie wystawy indywidualne po galeriach. Rzeźby Aliny Ślesińskiej w Galerii La Roue. Są to tym razem marzenia rzeźbiarskie o nowej architekturze. Nie tyle projekty, co sny o mostach, miastach i stadionach. Ślesińska ma duże wyczucie rytmów organicznych i całość wystawy jest pomysłowym zastosowaniem rzeźby do ,,science-fiction''.

Kute miedzie Wostana u Lary Vinci mniej mi się podobają od dawniejszych, zarazem barbarzyńskich i wyrafinowanych, jak secesyjny sen o zbrojach Lombardów i Gotów. Tym razem Wostan nie utlenia metalu, nie uwodzi tęczowo-pawią błoną, formy jego są na pozór prostsze, bardziej liryczne. Ale zarówno prostota jak liryka mają tu dla mnie retoryczny dźwięk, wydają się nawrotem do stylizacji z lat trzydziestych. W albumie galerii, wśród wielu innych komplementów, jeden ze zwiedzających napisał: ,,Wspaniałe, przejmujące, jak koncert Rachmaninowa'', Tak, niestety...

O dwa kroki, w smutnej i zakurzonej galerii Raymond Duncan wystawiają swe obrazy Basiak — młoda Polka, architekt z zawodu i Anglik o włoskim nazwisku — Peretti. Panuje między nimi idealna zgoda: ta sama forma — mgławica, kula świetlna, kosmiczny wir, ta sama materia — trochę zbyt wykończona, na pograniczu emalii, polewy, ,,artystycznego rzemiosła''. Ale wystawa jest przyjemna, Basiak ma duże i bardzo współczesne wyczucie koloru, oboje sporo obiecują jeśli potrafią się wyzwolić z ograniczeń zbyt dobrego (ale także zbyt rozpowszechnionego) smaku.

K.A. JELEŃSKI

Zawiłości i uproszczenia

Rzutowanie wczoraj w dzisiaj — tzw. *historia est magistra vitae* — zawsze brzmi sztucznie i nadęto. Zalatuje c.k. dziewiętnastowieczem i naftaliną i jest równie fałszywe jak zakłamane. Zwykle typu „ojczyzna, nauka, cnota" lub „a co, nie mówiłem". Między Polakami każda dyskusja polityczna sięga w przeszłość. Stare żale, zabliźnione rany, postrzępione chorągwie! „Tak, tak, Panie Gerwazy". — „Tak, Panie Protazy". Wydaje mi się, że historia w polityce jest szkopułem równie uciążliwym jak niepotrzebnym. Jest niepotrzebna, bo szermuje argumentami, które mogą być tylko analogią (a więc niczego nie dowodzą) i jest uciążliwa, bo zmusza do konfrontacji które zawsze — choć często niesłusznie — wychodzą na korzyść historii a na niekorzyść polityki.

Historia jest, słowami A.J.P. Taylor'a, „sprawą wyboru". Pierwszy kronikarz wybiera wydarzenia, które zapisuje a pomija inne, których nie zapisuje. Czas, niszcząc niektóre dokumenty i pamiątki a zachowując inne, wybiera po raz drugi. Potem historyk wybiera z zachowanych dokumentów te które wydają mu się istotne. W końcu czytelnik wybiera ułomną pamięcią to co zapomni i to co zapamięta. Jak można z tak przerzedzonej przeszłości wysnuwać wnioski na dzisiaj? Podobnie z polityką! Fakty codzienne, które wpływają na politykę są przerzedzane wyborem podobnie przypadkowym jak wybór historyczny, dlatego próby racjonalizowania polityki są... tak nieracjonalne. Stąd ślepy zaułek historycznego materializmu. Prawa przyczyny i skutku nie zawsze działają nawet we fizyce. Skoro więc fizyka zrozumiała współcześnie, że przypadek ma także swoje przemożne i logiczne racje, po co szukać racji politycznych w przeszłości. Przeszłości która jest „sprawą wyboru".



A.R.M. Lower jest historykiem o światowym zacięciu, który wyróżniłby się w każdym kraju. Jest Kanadyjczykiem urodzonym w Kanadzie i jest — w pewnym sensie — bardzo typowy dla kanadyjskiej mentalności i temperamentu. Jest najlepiej znany jako autor *Colony to Nation*, świetnie napisanej i... bardzo spornej historii swej ojczyzny. Ktoś nazwał go raz z przekąsem *Canada's angry old man*. W kraju tak młodym jak Kanada, w kraju któremu brak wyrobienia i pewności siebie —

ych zasadniczych podstaw narodowej kultury — takie określenie ma specyficzny posmak. Bunt jest symbolem młodości, starość szuka porozumienia. *The angry young men* Anglii przestają być *angry* gdy przekraczają trzydziestkę powodzenia. *The beat generation* Ameryki jest zielona, nieobyta i nahalnie kłótliwa. Marek Hłasko jest „gniewny" i... młody. A.R.M. Lower ma dziś ponad 70 lat — jest zaledwie o 20 lat młodszy od skonfederowanej Kanady — i w czasach gdy ideałem kanadyjskiej młodzieży jest ubezpieczenie na wszystkie strony, stała posada i konformizm polityczny, społeczny i religijny, profesor Lower jest arogancki, niezależny, nieortodoksyjny, zrzędliwy, nieprawomyślny. *The angry man* młodego społeczeństwa jest człowiekiem starym. Jakie to ma znaczenie, nie wiem. Wyczuwam morał ukryty za fałdami paradoksu, ale nie umiem go określić. Przypomina mi się czytana przed laty książka Jacques Rivière'a pierwszego redaktora *Nouvelle Revue Française*. Wspomnienia czy pamiętnik o obozie jeńców wojennych w Niemczech podczas pierwszej wojny światowej. Tytuł: *L'Allemagne* albo może *Le Russe*. Mówiąc o Rosjanach, z którymi w obozie przebywał, użył porównania, które streszczam z ułomnej — po tylu latach — pamięci. — Ludzie zachodu są indywidualistami na starość a tłumem za młodu. Inaczej Rosjanie! Indywidualistyczni w młodości stają się bezwolną masą na starość. — Znowu cień jakiegoś głębszego znaczenia, ale... jakiego?

W najnowszej książce Lowera (*Canadians in the making*) znalazłem analogię innego paradoksu. Parokrotnie spotkałem w literaturze scjentyficznej uwagi o rzekomym konflikcie między katolicyzmem a scjentyfiką. Ciekawy jest na tym tle następujący cytat z Lowera: „Anglo-Kanadyjczycy zwykli umniejszać wykształcenie Franko-Kanadyjczyków i uważali rzymsko-katolicyzm za synonim ignorancji. Nie znajdzie chyba sprzeciwu twierdzenie, że protestanci, a w szczególności kalwini, okazali najwięcej entuzjazmu dla powszechnego nauczania, bo kalwinizm będąc religią „Pisma" kładł wszędzie nacisk na to aby ludzie umieli czytać Biblię. Szkocja, Holandia i Nowa Anglia są tego wystarczającym dowodem. Biorąc kalwinizm jako miarę, katolicyzm nie wywiązał się dobrze z powszechnego nauczania. Podobnie zresztą jak anglikanizm, który zajmuje pośrednie miejsce. W 18-ym wieku, większość Szkotów i mieszkańców Nowej Anglii umiała czytać i do pewnego stopnia pisać. Większość Franko-Kanadyjczyków (i większość Anglików) nie umiała".



A skoro mowa o paradoksach: marcowy (1960) numer *Kultury* ma znamienny leitmotyw. Czołówka *Kultury* — Miłosz, Gombrowicz i Mieroszewski — znaleźli wspólną nutę.

„Selma Lagerlöf sprawiedliwie dostała nagrodę Nobla".

,,Nagroda Nobla dla Sienkiewicza była, niestety, pomyłką'', pisze Miłosz. Z wysokości paryskiego diariusza (miłoszowe okno na świat) patrzy z uśmiechem pobłażania na ,,parafiańszczyznę'' polskiej rzeczywistości. Pankowski przypomina mu Zegadłowicza, który ,,swobody seksualne uznał za równoznaczne z lewicową emancypacją''; Sienkiewicza równa z Rodziewiczówną bo jego ,,narracja... jest watowana podobną egzaltacją, niedostrzegalną dopóki swojskość i patriotyczny patos ją chronią przed okiem krytycznym''; płacze nad zanikiem prozy polskiej po XVII wieku i nie umie zmierzyć następstw tej klęski. Nie umie zmierzyć następstw ale wydaje mu się, że widzi powody. Przytaczając — za Trevor-Roperem — wkład intelektualny trzech uciekinierów z nietolerânckiej Polski do angielskiego przewrotu (skąd się wziął pusty slogan naszych propagandystów o Polsce *asylum hereticorum?*) stwierdza: ,,Tak się złożyło, że upadek protestantyzmu w Polsce... otwierał erę ciemnoty''.

Gombrowicz pisząc (jak zwykle) o Gombrowiczu i przeciwstawiając go reszcie literackiej braci emigracyjnej wyczuwa ,,we wszystkim co piszecie brak tej najbardziej ogólnej orientacji w dziejach myślenia...''. ,,Trzeba się wsłuchać, wczuć, wejść w nowość stającego się świata, w jego smak, styl, rytm, pasję''. ,,Rozbrat uczuciowy między (literaturą emigracyjną) a nowoczesnością jest rozmiarów katedry kolońskiej''. I podobnie jak Miłosz, nieśmiało i podszyty kompleksami, zaklinając się, że ,,nie jest wrogiem katolicyzmu'' i kłaniając się gdzie należy — filozofii, liberalizmowi, scjentyfizmowi, socjalizmowi — wytyka: ,,Katolicyzm! No, cóż robić, katolicyzm! ...te końskie okulary na oczach polskich, nie pozwalające zerkać na boki''. Nawet w kraju jest nielepiej! ,,Nowa ewangelia materialistyczna (która) była skądinąd szturchnięciem wytrącającym z ciasnoty katolickiej tradycji, która w Polsce stała się tak hamująca...'' skompromitowawszy Kościół sama się skompromitowała ciasnotą i dogmatyzmem.

Miłosz i Gombrowicz wplątują katolicyzm w polskie niedociągnięcia intelektualne. Zaciekawi ich chyba, że ani Polska ani oni nie są odosobnieni. S.S. Mason (*Main Currents of Scientific Thought*, New York, 1953) omawiając wpływ purytanizmu protestanckiego na scjentyfikę XVII wieku zauważa niewspółmierną przewagę liczebną protestanckich scjentystów nad katolickimi, a Anna Roe (*The Making of a Scientist*, New York, 1952) badając afiliacje religijne 64 wybitnych fizyków, biologów i socjologów znajduje 59 protestantów i 5 Żydów, a nie znajduje żadnego katolika. W kraju w którym katolicyzm jest wprawdzie w mniejszości lecz mimo to wcale pokaźny, ten brak jest — zdaniem pani Roe — zastanawiający.

Miłosz i Gombrowicz podkreślają odśrodkowo rozbrat między polską a światową rzeczywistością intelektualną. Obcowanie ze światem nie poszerza polskiego horyzontu. Mieroszewski, argumentując dośrodkowo, kontynuuje leitmotyw w innym klu-

u. Świat działa na Polaków polonizująco! „...stopień zakorzenia — po 13 latach pobytu w Anglii okazuje się niewystarczacy". „Kontakty z Anglikami są nikłe...". „Czują pewne osamotnienie oraz niejasny niedosyt życiowy". „W Londynie powają tzw. gminy polskie". O katolicyzmie Mieroszewski ani rumru. Lepiej zna się na polityce lub bardziej jest z polityką rzaskany. Woli (z lekka kulejący) przykład inżyniera-poety, óry wraca do Polski bo „w Anglii poeta nie ma żadnych ans utrzymania się z pióra". Gdyby pisał po angielsku jak eterkiewicz, miałby! Gdy pisze po polsku, nie ma! Ale to sproadza ogólny argument na osobiste tory. Nie świat przeszkadza poecie-inżynierowi, lecz brak uzdolnienia językowego.

Ta trylogia leitmotywu stwierdza oczywisty, choć freudowzo zatajany fakt, że Polacy na ogół kiepsko się asymilują; wierdza pewne braki w naszym uzdolnieniu; stwierdza — rzez pominięcie — daltonizm scjentyficzny emigracyjnych intelktualistów; jest wreszcie znamienna samokrytyką. Lękliwą, umaczącą się, przezierającą niedocerowanymi dziurami, jeszcze u i ówdzie klepiącą się po ramieniu — „cacy-cacy" — ale imo to pełną cywilnej odwagi, której brakiem — w przeciwrawieniu do odwagi fizycznej — Polacy zawsze niestety grzezyli. W Polsce o tych sprawach nie mówiono. Nie przypuszzam, nota bene, aby Kościół je tłumił. Nie żyliśmy w Polsce od terrorem Kościoła lecz pod terrorem politycznego katoliyzmu. Gorliwcy polityczni rozgrywając swe rozboje katolicyzem, krzyczeli „świętości nie szargać" i maszerowali w delach i z lagami na Jasną Górę. Nie Kościół nakładał „końkie okulary" na polskie oczy, ale parafiańszczyzna, która nawet Anglii, po 20 latach, nie pozwala nam wyrwać się na Zahód, „nawiązać kontakty z Anglikami", mówić po angielsku, nyśleć po angielsku. Kontakty z ludźmi są sprawą dwustronną, ięc może nie oziębłość angielska ale polska parafiańszczyzna ie pozwala Polakom wyrwać się z polskiego getta w Anglii, Kanadzie, Argentynie, Australii, nawet w New Yorku; nie nglicy każą czołowym pismom emigracyjnym babrać się wspoinkarstwem; daltonizm scjentyficzny emigracji nie jest sprawą przyrodzoną, jak świadczą m.in. polski wkład do współzesnej matematyki i logiki oraz żywotność zainteresowań scjenyficznych Polaków młodego pokolenia w kraju i zagranicą; ie zachód wreszcie każe nam wsłuchiwać się wyłącznie w echa wschodu.

„Jedźmy, nikt nie woła!".



Canadian Broadcasting Corporation (CBC) przyniosła nieawno półgodzinny telewizowany wywiad z Otto Skorzenym. rzypuszczam, że pomysł takiego wywiadu powstał na skutek

sprawy Eichmanna, prawem przyczyny i skutku, dwa a dwa jest cztery, uderz w stół a nożyce się odezwą, akcji i reakcji. Wywiad sfilmowano dla *Close-up,* najbardziej inteligentnego programu kanadyjskiej telewizji. Ta pochwała jest ważna, bo wywiad tak sporny i tak drażliwy, interesuje nie tylko ze względu na osobę Skorzenego, ale także reakcją dziennikarza który z nim rozmawiał i reżysera który nadał programowi kształt i barwę. Jeśli ten *highbrow* program wybrał więc jako temat tak przyziemnego prostaka jakim z wyglądu i rozmowy okazał się Skorzenny — coś musiało zagrać na wrażliwości reżyserów. Aktualność grała niewątpliwie pewną rolę. Może podsunęła pomysł, ale to chyba wszystko. *Close-up* nie liczy się zbytnio z aktualnością choć od czasu do czasu się jej kłania. Nie było w programie także wspominkarstwa polityczno-historycznego. Już raczej morał polityczny! Twórcy *Close-up* snobują się liberalizmem, chlubią się tolerancją, światłą i postępową demokratycznością, wyrozumiałą obiektywnością. Innymi słowy — mają dobre wyczucie tego co publika chce.

Z wywiadu ze Skorzenym wypływa szereg morałów. Więc przede wszystkim, że draństwo popłaca. Pierre Berton, dziennikarz, który interviewował, sprytnie rozpoczął wywiad spacerem po irlandzkiej posiadłości za którą Skorzeny zapłacił — według własnego zeznania — 50,000 dolarów.

,,Kupiłem na spekulację'', powiedział. Jeśli się wydaje na spekulację 50 tysięcy dolarów, musi ich być gdzieś jeszcze dużo większa kupka.

,,Czy pozostał mu po wojnie jakiś majątek?''.

,,Nie. Straciłem wszystko''.

,,Czy prawdą jest, że zarobkował szmuglowaniem broni?''.

,,Nigdy nie zniżyłbym się do tak haniebnej działalności''.

,,Czy znaczy to, że nie handlowałby bronią w żadnym wypadku?''.

,,O nie! Jeśliby jakiś rząd się do mnie wprost zwrócił, nie widziałbym w handlu bronią niczego hańbiącego''. Ale nie precyzuje jaki rząd i tak się wysławia, że koniec końców nie wiadomo czy handlował bronią czy nie. Ale tak czy siak, posiadłość — niczego sobie! Wywiad odbywa się na tle bielącego się pałacyku.

,,Czy ktoś — po wojnie — próbował angażować go do mokrej roboty''? Może wypada przypomnieć czytelnikom, którzy wojnę znają tylko z historii, że Skorzeny był najsłynniejszym hitlerowskim ,,commando'' i że wsławił się szeregiem fantastycznych wyczynów m.in. oswobodzeniem Mussoliniego.

,,Wielu próbowało kupić moje usługi. Między innymi Amerykanie''. Mimochodem rzucona insynuacja niczego nie precyzuje i niczego nie wyjaśnia. Jacy Amerykanie? Gdzie? Kiedy? Przeciw komu?

,,Co myśli o Hitlerze?''.

„O tym wypowie się historia. Hitler popełnił niewątpliwie szereg błędów, ale nie można zaprzeczyć mu wielkości". Użył nawet w tym związku słowa „zbrodnia" (*crime*), ale ogólnikowo, daleko, abstrakcyjnie.

„Czy wiedział o obozach koncentracyjnych?".

„Nie wiedziałem. Prawie nikt w Niemczech nie wiedział".

„Co o tym sądzi?".

I znowu słowo *crime* nieosobowo i mimochodem i przerzut do czegoś innego. „Napijmy się! *Cheers!*". Aparat telewizyjny koncentruje soczewkę na szklance z wódką w ręku Skorzenego. „*Cheers*" brzmi makabrycznie i niezbyt ochoczo wychodzi. Pierre Berton jest zbyt doświadczonym reporterem aby się dać zbić z tropu. Wydaje mi się nawet, że *cheers* było wypowiedziane jego głosem, choć aparat telewizyjny obserwował Skorzenego. Lewą stronę twarzy z dwiema bliznami, które rozlanej, grubej, goeringowej twarzy mężczyzny mocno powyżej „średniego wieku" nadają wyraz rozpustnie cyniczny. (*Sorry*, nie umiem tego inaczej opisać!).

„Czy widział fotografie z obozów koncentracyjnych?".

„Widziałem".

„Co o nich myśli?".

„Niektóre były fałszowane. Wyraźne fotomontaże! Znałem ludzi, którzy byli na tych fotografiach i twierdzą, że tło było dorobione po nalocie bombowym".

Nie wyjaśnia kim byli jego znajomi. Katami? Ofiarami? Gdzie, kiedy i przy jakiej okazji zdjęcia były robione? I mówi tylko o tych „niektórych" które „były fałszowane". Pozostałe fotografie pomija milczeniem. Tym razem dziennikarz kanadyjski zmienia temat. Nie trzeba więcej mówić. Wszystko zostało powiedziane.

Przy innej okazji — nie pamiętam czy przed tem czy potem — Pierre Berton zapytał jeszcze czy prawdą jest, że brał udział w paleniu wiedeńskich synagog.

„Słyszałem o tym zarzucie. Mówiono, że podpaliłem pięć synagog. Mogę udowodnić, że kłamią. Chowałem się we Wiedniu, znam Wiedeń doskonale i wiem, że miasto nie miało nigdy więcej niż cztery synagogi". Draństwo popłaca! Skorzenemu wiedzie się nie najgorzej. Jak ten człowiek bez zawodu, bez wykształcenia, może i chytry ale niezbyt mądry, mógł w ciągu 15-tu lat dorobić się posiadłości ziemskiej i pałacyku w Irlandii, nie wiem. Nie wiem także jak mógł przypuszczać, że apoteoza Hitlera i głupawe odpowiedzi na pytania o obozach koncentracyjnych i paleniu synagog znajdą pobłażliwy posłuch u kogokolwiek z tej strony Renu lub tamtej strony Odry. Ale pałacyk stał jak byk za twarzami Skorzenego i Bertona przez cały czas wywiadu a chytre cwaniactwo nie pozwoliłoby mu chełpić się wiernością poza grób, gdyby nie był pewien, że komuś się to podoba, że ktoś to pochwali.

Kto?

◆

Groźba wojny atomowej — wizja końca ludzkości — i groźba eksplozji demograficznej — koszmar przeludnienia naszej planety — są równie i podobnie złowróżbne. Obie groźby są pomniejszane przez zainteresowanych konfuzją, która pozwala zwolennikom próbnych wybuchów i przeciwnikom planowanego macierzyństwa przeciwstawiać się wszelkiej rozsądnej debacie.

W XIX wieku sloganów i patosu powiedziano by, że to wspólnota interesów. Militaryści potrzebują mięsa armatniego, a zwolennicy nieograniczonego rozmnażania potrzebują wojny i pomoru. Dziś nie jest to tak proste. Wojna atomowa nie oznacza natychmiastowego wytępienia, wysadzenia ziemi lub tp., ale nikt się nie łudzi, że jakikolwiek porządek społeczny ją przetrwa. Pytanie: ,,Co jest lepsze, komunizm czy wojna atomowa?'' — jest *eo ipso* absurdalne. Po wojnie atomowej nie będzie komunizmu nawet jeśli Rosja wygra, a to co będzie jest nieprzewidzialne a więc prawdopodobnie gorsze. Podobnie kwestia przeludnienia nie grozi natychmiastowym i nieuchronnym wygłodzeniem ludzkości, ale spowoduje — i już powoduje — przewroty społeczne, których też nie umiemy przewidzieć a więc których powinniśmy się bać.

◆

Czytelnicy którzy dostrzegli moje nazwisko i skojarzyli z nim moje pseudonimy, zrównali je z ,,postawą scjentyficzną''. Obawiam się, że nawet ja sam raczej naiwnie w to uwierzyłem. Ma to korzyści, więc oportunizm grał u mnie prawdopodobnie pewną rolę. Niewielu Polaków na emigracji pisze o scjentyfice, współzawodnictwo nie jest zbyt trudne, temat jest na czasie i schlebia snobizmowi który zachłystuje się dziś współczesnością postawy scjentyficznej (i niestety także bzdurami fantastyki scjentyficznej). Patrzymy na scjentyfikę jak na drogowskaz podróży międzyplanetarnych, jak na spełnienie Jules Verne'a, jak na mecano bardzo dziecinnie naiwnych fantazji. Gdy więc filozofia wskazała na scjentyfikę jako dobry przykład problemów semantycznych które mnie interesowały i gdy rozwijałem przykładami czerpanymi z fizyki, chemii, astronomii, matematyki, biologii, ewolucji itp. tezę o humanizmie nauk ścisłych w essayach i artykułach drukowanych we ,,Wiadomościach'' i ,,Kulturze'' w ciągu ubiegłych 15-tu lat, zgubiłem nagle, zapatrzony w detale, perspektywę szerokiego widoku jaki się przede mną roztaczał. W normalnych warunkach napisałbym pewnie książkę i ciągłość konstrukcji nie pozwoliłaby mi zagubić się w szczegółach. Ale gdzie tu marzyć o wydaniu książki kuzynkowi

kanadyjskiej prowincji. Pisałem więc essaye którymi łatwo watować periodyki. Ziarnko do ziarnka! Byłaby z tego miarka, gdyby je zebrać, ale rozproszone częściowo w Paryżu a częściowo w Londynie i rozrzucone w czasie, zabajtlowały — co tu mówić — nawet redaktorów, nie mówiąc o czytelnikach, i zrobiły ze mnie... scjentystę.

Z uczciwości, dla precyzji i przejrzystości tego co piszę stwierdzam przede wszystkim, że nie jestem scjentystą mimo scjentyficznego wykształcenia, które jako chemik otrzymałem. Jestem amatorem — nie zawodowcem we fizyce, astronomii, biologii, nawet chemii. Rozrost scjentyfiki sprawił, że tzw. ogólne wykształcenie scjentyficzne nie pasuje już na zawodowca. Nawet geniusz Leonarda nie byłby dziś w stanie sprostać uniwersalności jego zainteresowań. Mówiąc scjentysta — myślę zawodowiec, a zawodowcem jestem tylko w bardzo wąziutkiej dziedzinie, którą nie wszyscy nawet zaliczają do scjentyfiki. Piszę więc o scjentyfice jako zainteresowany amator cokolwiek o tym myślą redaktorzy, którzy mnie drukują i czytelnicy którzy czytają. Cokolwiek wreszcie myślę ja sam w porywach megalomanii. Jest skromnym faktem, że żyłka do pisania i talencik którym wyżywam moje życiowe rozczarowania wyolbrzymiły to co wiem o scjentyfice do rozmiarów przerastających moją wiedzę. A temat, współczesny i pasjonujący, zrobił resztę. Nie jestem pewien czy to co myślę ma iskrę oryginalnej wartości. Nie wiem nawet — w chwilach zwątpienia i zniechęcenia — czy wyraziłem zrozumiale to co chciałem wyrazić, a to zwątpienie jest potęgowane pedantyzmem ludzi którzy ze mną polemizują. Wybierając dla polemiki bardzo brzeżne drobnostki przesłaniają fakt, że tylko całość wyraża myśl autora, nigdy fragment. Nie można krytykować łazienki dlatego, że lokator nie kąpie się w wannie lecz hoduje w niej karpia. Uwagi moich polemistów są często arcy-słuszne i prawie zawsze ciekawe, ale zawsze — jak dotąd polemizowano ze mną na innej niż moja płaszczyźnie. Wanna służy zasadniczo do kąpieli, ale można — na upartego — hodować w wannie karpia. Puryzm ma na pewno jakąś najwłaściwszą funkcję, ale ja używałem puryzmu dla innego, może mniej właściwego celu. Hodowałem karpia, co przed świętami jest dla niektórych ważniejsze niż burżuazyjny przesąd czystości. Wittgenstein ukuł na to wyrażenie ,,Sprachspiel'' — ,,Language game'', ale... to sprowadza nas na bardziej szerokie tory. Więc może kiedy indziej!

Henryk SCHOENFELD

Książki

Polskie prawo pracy i demokracja

Przez długie lata po wojnie nie wolno było w Polsce oceniać bezstronnie przepisów prawa pracy, wydanych w okresie dwudziestolecia, nie wolno było stwierdzać, że były one korzystne dla pracowników i stanowiły szeroką podstawę ochrony ich pracy. Ocena taka byłaby bowiem sprzeczna z ustaloną z góry tezą, że w Polsce kapitalistycznej istniał bezwzględny wyzysk pracowników i że dopiero wprowadzony po wojnie ustrój ,,socjalistyczny'' zmienił całkowicie ich sytuację: znosząc własność prywatną uczynił pracowników współwłaścicielami i gospodarzami przedsiębiorstw, co miało w konsekwencji usunąć automatycznie antagonizmy klasowe i wszelkie formy wyzysku oraz zapewnić jaknajlepsze warunki pracy.

Dopiero po październiku zaczęły pojawiać się głosy, podnoszące szereg dobrych stron przedwojennych ustaw, z których wiele zresztą obowiązywało i nadal, jak również i głosy krytyki zmian, wprowadzonych w nich przez nowy ustrój. Zaczęto też wytykać fatalne warunki, istniejące nie w starych odziedziczonych po kapitalistach fabrykach, ale w nowych zakładach pracy, przy budowie których nie zabezpieczono nieraz nawet elementarnych warunków bezpieczeństwa życia i zdrowia robotników.

W tych warunkach łatwiej jest zrozumieć ukazanie się obszernej książki prof. dr. Macieja Święcickiego, omawiającej polskie prawo pracy w latach 1918-1939 (1). Praca ta daje bowiem bezstronną ocenę przedwojennych ustaw, podkreślając wszystkie ich dodatnie momenty, choć nie brak jest w niej i ostrych słów krytyki, odnoszących się szczególnie do okresu, nazwanego przez autora ,,totalitarnym władztwem sanacji''.

---

(1) Maciej Święcicki: *Instytucje polskiego prawa pracy w latach* 1918-1939. Instytut Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk. Warszawa, grudzień 1960. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 356.

W książce swej prof. Święcicki analizuje przepisy prawa pracy i źródła ich powstania, starając się udowodnić, że o wydaniu ustaw bardziej lub mniej korzystnych dla klasy robotniczej decydowały przede wszystkim czynniki polityczne. W tym celu autor przytacza szczegółowo wszystkie zmiany w projektach ustaw zarówno wydanych jak i zaniechanych, sięga do dyskusji w sejmie i zgłaszanych w nim wniosków, a choć szczegółów tych jest może zbyt wiele, książkę czyta się z wielkim zainteresowaniem, napisana jest bowiem żywo, nie suchym stylem prawniczym, ale z dużym zacięciem polemicznym.

Celem przeprowadzenia tezy o dominującym wpływie czynników politycznych na rozwój prawa pracy, autor odstępuje od bardziej słusznego w danym wypadku układu przedmiotowego i ujmuje temat historycznie; całe dwudziestolecie dzieli na trzy okresy, w których omawia kolejno wydanie i dalsze losy poszczególnych ustaw.

W okresie pierwszym — lata 1919-1920 — napięcie rewolucyjne i sytuacja wytworzona przez wojnę skłaniały, w myśl tezy autora, do stosunkowo dużych ustępstw dla klasy robotniczej. Stąd szereg śmiałych aktów normatywnych, które były w wielu wypadkach nowością dla wszystkich trzech zaborów.

W okresie drugim — lata 1921-1925 — charakteryzującym się przetargami sejmowymi, ciągłymi zmianami gabinetów i ciężką sytuacją gospodarczą, wydano jednak ustawy korzystne dla pracowników, mimo że stanowiły one istotne obciążenie przemysłu.

W ogólnej charakterystyce obu tych okresów, prof. Święcicki stwierdza, że ,,dały (one) klasie robotniczej w wielu dziedzinach więcej niż to, co w owych czasach można było spotkać w ustawodawstwach krajów kapitalistycznych. Standartowe rozwiązania europejskie wyprzedziliśmy najbardziej w dziedzinie czasu pracy dzięki 46-godzinnemu tygodniowi pracy i wysokim dodatkom za godziny nadliczbowe. Wyprzedziliśmy je również w zakresie urlopów dzięki temu, że obowiązywały one wszędzie (poza rolnictwem). Ochrona pracy młodocianych i kobiet znajdowała się conajmniej na poziomie najbardziej zaawansowanych ustawodawstw europejskich. Mieliśmy wzorową ustawę o ubezpieczeniu społecznym na wypadek choroby i macierzyństwa, dobrze postawioną inspekcję pracy i postępowe jak na owe czasy przepisy o związkach zawodowych, co dla umacniania się organizacyjnego klasy robotniczej miało duże znaczenie''.

Analizując przyczyny tego postępowego ustawodawstwa pracy, autor wymienia takie czynniki, jak silne oddziaływanie sąsiedztwa Związku Radzieckiego, zagrożenie ustroju Polski w latach 1918-1920, wzgląd na państwa zachodnie, głoszące ,,oficjalną postępowość społeczną''. Podkreśla jednak też znaczenie, jakie miały tu postępowe i rewolucyjne poglądy i tradycje, zrodzone z prądów umysłowych i kulturalnych panujących w Polsce w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku oraz

z walk o wyzwolenie narodowe i społeczne. Przenikały one nie tylko klasę robotniczą, ale i kręgi postępowej inteligencji.

Natomiast okres trzeci — lata 1926-1939 — charakteryzuje, według prof. Święcickiego, nastawienie antydemokratyczne ,,niosące z sobą elementy faszyzacji prawa pracy''. Wymienia on jednak bezstronnie wszystkie wydane w tych latach przepisy korzystne dla pracowników.

Autor rozróżnia tu trzy podokresy. Pierwszy — lata 1926-1928 — był ilościowo najbogatszy w akty normatywne choć o nie tak zasadniczym znaczeniu, jak wydane poprzednio. Były to: dekret o inspekcji pracy, którego przepisy ,,stały się wzorem na terenie międzynarodowym'', wprowadzenie sądów pracy, zasługujących na ,,pozytywną ocenę'', ,,korzystnie unormowano niektóre instytucje umowy o pracę'', postawiono ,,ważne, choć zaledwie ogólne zasady'' w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy itd. Wprawdzie autor twierdzi, że wydanie przepisów tych wynikało wyłącznie z motywów politycznych — z chęci przekonania zarówno dawnych towarzyszy jak i klasy robotniczej, że Piłsudski, ,,który doszedł do władzy na bagnetach... nie wyrzekł się dawnej socjalistycznej ideologii''. Nie umniejsza to jednak korzyści, jakie wynikały z nich dla pracowników.

Podokres drugi — lata 1929-1934 — był, według słów książki, ,,nacechowany bezwzględnym terrorystycznym władztwem sanacji, któremu towarzyszyła recesja prawa pracy tak co do treści przepisów, jak i co do ich wykonania''. Na dowód przytacza autor przede wszystkim pogorszenie przepisów o czasie pracy (wprowadzenie 48-godzinnego tygodnia pracy i obniżenie dodatków za godziny nadliczbowe z 50 i 100 do 25 i 50 procent) (2), niekorzystne orzeczenia Sądu Najwyższego w sprawie czasu pracy i urlopów, ograniczenie samorządu ubezpieczeń.

Ale i w tym podokresie czytamy o takich korzystnych pociągnięciach jak znaczne podniesienie sankcji karnych i wprowadzenie bezwzględnego aresztu za przekroczenie (po raz drugi) niektórych przepisów prawa pracy, jak rozszerzenie w ustawie scaleniowej z 1933 r. zakresu ubezpieczeń społecznych (wprowadzenie ubezpieczenia na starość) i ich reorganizację, której zasady autor zalicza do rozwiązań ,,wyróżniających się w płaszczyźnie międzynarodowej''.

I wreszcie podokres trzeci — lata 1935-1939 — w którym, według autora, nastąpiło połączenie dążeń do faszyzacji prawa pracy z pewnymi ustępstwami dla klasy robotniczej, wynikającymi ze słabości i tarć w obozie rządowym po śmierci Piłsudskiego oraz wzmagających się tendencji opozycyjnych i wręcz rewolucyjnych w społeczeństwie. Jako zdobycze tych ostatnich lat

(2) Rząd ówczesny zmiany te tłumaczył kryzysem gospodarczym, trudnościami konkurencji na rynkach zagranicznych i koniecznością dostosowania przepisów polskich do innych krajów i konwencji międzynarodowej. Konwencja ta przyjęła 48-godzinny tydzień pracy i 25 % dodatku za wszystkie godziny nadliczbowe.

autor cytuje ustawy: o układach zbiorowych pracy, o skróceniu czasu pracy w górnictwie węglowym i o sądach ubezpieczeń społecznych.

Tak wygląda w ujęciu prof. Święcickiego historia prawa pracy w okresie dwudziestolecia. Obok jednak podkreślania zarówno pozytywnych momentów jak i krytyki poszczególnych przepisów, autor stara się w całej swej książce udowodnić, że począwszy od 1926 r. istniały w Polsce groźne dla klasy robotniczej tendencje wprowadzenia totalitarnego ustroju pracy, a tezę tę opiera na różnych dowodach. A więc ,,groźne'' projekty ustaw przygotowywanych choć następnie zarzuconych, jak np. projekt izb pracy. Izby te były przewidziane już w konstytucji marcowej z 1921 r., której nikt chyba nie może przypisywać tendencji totalitarnych. Kiedy natomiast w latach 1927-1928 powstały izby przemysłowo-handlowe i izby rolnicze, Polska Partia Socjalistyczna wysunęła postulat zorganizowania i izb pracy. Po różnych jednak próbach opracowania ustawy, projekt ten został po 1937 r. ostatecznie zarzucony. Mimo to jednak prof. Święcicki pisze, że ,,z chwilą ideologicznej i politycznej inwazji prądów faszystowskich... izby pracy mogły z łatwością posłużyć za narzędzie ,,konstruktywnej'' przebudowy ustroju pracy w kierunku jego etatyzacji''.

Dalsze dowody tendencji totalitarnych to ustawy korzystne dla pracowników, ale uznane przez autora za niebezpieczne ze względu na czas ich wydania i potencjalne możliwości szkodliwego ich wykorzystania w przyszłości. Do takich należą dwie ustawy z 1937 r.: o układach zbiorowych pracy i o komisjach rozjemczych dla załatwiania zatargów zbiorowych w przemyśle i handlu. Ustawę pierwszą autor ocenia bardzo wysoko: jest to ,,dzieło oryginalne'', ,,o dużych wartościach formalnych i merytorycznych'', reprezentuje ona ,,zalety, które wysuwały ją na czoło aktów normatywnych, obowiązujących w owych czasach''. Ustawodawca zdecydował się zrealizować w niej ,,w zasadzie wszelkie główne postulaty robotnicze wysuwane od zarania niepodległości i to zrealizować w bardzo prawidłowych formach prawnych''; została ona przyjęta przez sfery robotnicze ,,wręcz przychylnie'', umacniała bowiem pozycję związków zawodowych. Omawiając ustawę drugą autor podkreśla, że przeciwko interwencji rządowej w formie przymusowego rozjemstwa wypowiadały się sfery przemysłowe, a nie robotnicze i że zresztą przepisy jej były stosowane niezmiernie oględnie i z ,,całkowicie pozytywnymi skutkami dla pracowników''. Cóż więc było w nich groźnego dla klasy robotniczej? Prof. Święcicki uważa, że mogły one być wykorzystane w przyszłości dla regulowania stosunków pracy wyłącznie przez państwo, bo obie te ustawy ,,miały tę szczególną cechę, że mogły — i miały — stać się elementem budowy ustroju totalitarnego''. Choć sam się zastrzega, że przed takim zarzutem ,,każdy z tych aktów normatywnych wzięty sam w sobie... mógł być przekonywująco bro-

niony''. Trudno, doprawdy, zgodzić się z takim rozumowaniem.

Dalej sprawa związków zawodowych, które chciano jakoby scalić, zetatyzować i opanować, oraz osłabić ich zainteresowania obroną interesów pracowników, a skierować je na sprawy ,,służące dobru ogólnemu''. Były wprawdzie faktycznie próby rozbijania związków od wewnątrz przez tworzenie ,sanacyjnych'' ich odłamów, mimo to jednak, jak podkreśla prof. Święcicki, trzy stare centrale związkowe utrzymały się aż do wybuchu wojny. Przetrwał również bez zmiany do końca dwudziestolecia ,,postępowy'' dekret o związkach zawodowych z 1919 r.

I wreszcie sprawa strajków. Zwracając uwagę na ,,zakamuflowane'' posunięcia antystrajkowe w przepisach kodeksu karnego z 1932 r., prof. Święcicki wyjaśnia, że przepisy te ,,znacznie groźniej wyglądały w interpretacji prawniczej, niż w ówczesnej praktyce'', największe bowiem nasilenie strajków było w okresie 1935-1938 i ,,nikt nie śmiał się temu przeciwstawić na jakimś szerszym froncie''.

Stąd wysuwa się bezsprzeczny wniosek: jeśli nawet istniały w pewnych środowiskach przed wojną tendencje wprowadzenia totalitarnego ustroju pracy, to jednak potrafiły się im przeciwstawić zarówno mocno ugruntowane w Polsce postępowe i rewolucyjne poglądy i tradycje jak i silne nadal wpływy związków zawodowych. Sam autor zresztą osłabia swoje twierdzenie pisząc: ,,w jaki sposób, gdyby nie wojna, potoczyły by się wypadki w dziedzinie socjalnej — na to nigdy nie otrzymamy odpowiedzi''

Mamy już natomiast odpowiedź, w jakim kierunku poszły zmiany polskiego prawa pracy w nowym, wprowadzonym po wojnie, ustroju. To też omawiając pracę prof. Święcickiego, niepodobna nie zilustrować ich choć na kilku przykładach.

Zacznijmy od inspekcji pracy, ponieważ bez jej skutecznej kontroli najlepsze nawet ustawy nie mają praktycznego znaczenia. Pisząc o inspekcji pracy i Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, któremu ona podlegała, prof. Święcicki podkreśla przede wszystkim ważną rolę, jaką obie te instytucje odegrały przed wojną w rozwoju prawa pracy, w jego obronie i realizacji w praktyce. Nie podobna też pominąć uwagi autora, że zarówno w Ministerstwie jak i w inspekcji pracy znalazło się wielu ludzi postępowych, niemal zawsze pozytywnie ustosunkowanych do reform społecznych. Duża liczba tych ludzi przetrwała na swych stanowiska aż do wybuchu wojny. Dopiero po wojnie zaczęto stopniowo ograniczać rolę Ministerstwa, a od 1949 r. rozpoczął się ,,proces spychania i usuwania fachowego personelu przeważnie tego, który z takim trudem opierał się kiedyś reakcyjnym i aspołecznym poczynaniom sanacji w stosunku do mas pracujących'' (3). Aż wreszcie w 1960 r. Ministerstwo to uległo likwidacji.

Analogiczny los spotkał już dużo wcześniej inspekcję pra-

(3) Cytuję z artykułu J. Zielińskiego: *Administracja socjalna w Polsce*, ,,Przegląd Zagadnień Socjalnych'', nr 3/58.

cy. Organizację jej przed wojną ustalił dekret z 1927 r., określony przez prof. Święcickiego jako ,,godny najbardziej pozytywnej oceny''. Za niezmiernie ważne cechy tej organizacji uznaje autor przede wszystkim jednolitą strukturę terytorialną inspekcji pracy, jej niezależność od administracji ogólnej i ,,szerokie ujęcie podstawowego zakresu właściwości inspekcji pracy... które umożliwiło najbardziej wszechstronną ingerencję inspektorów w stosunki pracy''. Mocno podkreśla też autor wagę uprawnień inspektorów pracy do bezpośredniego nakładania kar administracyjnych (grzywny i aresztu) za przekroczenia ustaw, co podnosiło ich autorytet i przyczyniało się do lepszego przestrzegania przepisów prawa pracy. A chociaż możliwości skutecznej działalności były ograniczone na skutek zbyt małej ilości inspektorów pracy i chociaż szeregi pierwszych zahartowanych działaczy inspekcyjnych przerzedziły się, to jednak, jak stwierdza prof. Święcicki, inspekcja pracy miała zawsze ,,duże osiągnięcia'' przy wykonywaniu nadzoru nad warunkami i stosunkami pracy i cieszyła się wielkim zaufaniem ,,nie tylko w okresie Dwudziestolecia, ale aż do 1954 r.'' tj. do momentu jej likwidacji.

Ponieważ pracowałam przez 10 lat przed wojną na stanowisku inspektora pracy, chętnie cytuję tę opinię. Niestety, zaufanie to nie przeszkodziło w likwidacji inspekcji pracy, która była zresztą tylko zakończeniem procesu stopniowego ograniczania jej kompetencji i rozbijania jej organizacji. Najpierw przekreślono jej jednolitą i niezależną od administracji ogólnej strukturę, podporządkowując inspektoraty pracy wojewódzkim i powiatowym radom narodowym, potem odebrano jej tak ważne prawo bezpośredniego nakładania kar. Zmiany te przeprowadzane były celowo: inspekcja pracy, przez swoje wymagania w zakresie ochrony pracy, przeszkadzałaby w wykonywaniu nadmiernie wygórowanych w okresie sześciolatki planów produkcyjnych, osiąganych bardzo często kosztem zdrowia i życia robotnika.

Po ostatecznym zlikwidowaniu w 1954 r. państwowej inspekcji pracy, nadzór nad warunkami pracy powierzono związkom zawodowym, które powołały — według wzorów sowieckich — tzw. techniczną inspekcję pracy. Została ona zorganizowana nie na dawnych wypróbowanych zasadach jednolitej sieci terenowej, ale jako inspekcja branżowa, rozbita między dwadzieścia kilka zarządów głównych związków zawodowych. A co jeszcze gorsza, powierzono jej wyłącznie prawie nadzór nad warunkami bezpieczeństwa i higieny pracy, pozostawiając wszystkie inne ustawy o ochronie pracy bez żadnego organu kontrolnego. Ponadto zaś, nawet w zakresie jej podległym, obniżono wymiar kary grzywny i wyłączono całkowicie karę aresztu, pouczając jednocześnie technicznych inspektorów pracy w instrukcji, że prawo karania powinno odgrywać w ich działalności rolę pomocniczą, a kary stosowane z ,,należytą oględnością''. W ten spo-

sób przekreślono wszystkie najważniejsze, tak mocno podkreślane przez prof. Święcickiego dawne cechy organizacyjne i środki działania inspekcji pracy, co doprowadziło w następstwie do stałego i zupełnie bezkarnego nie liczenia się przez większość przedsiębiorstw z przepisami prawa pracy.

Do takich przepisów, nad którymi nie ma dziś niemal żadnej kontroli należy przedwojenna ustawa o czasie pracy, która obowiązuje nadal. A chociaż wkrótce po wojnie przywrócono zasady, obowiązujące do 1933 r., tj. 46-godzinny tydzień pracy i wyższy wymiar stawek za godziny nadliczbowe, to jednak przez wiele lat następnych — szczególnie w okresie sześciolatki — były to zasady czysto teoretyczne. Robotnicy pracowali po kilkanaście godzin na dobę, w dzień i w nocy, w niedzielę i święta, bądź nie otrzymując żadnego dodatkowego wynagrodzenia za pracę ponad 8 godzin, bądź też stawki niższe, niż przewidziane w ustawie. Wprawdzie i przed wojną, o czym pisze prof. Święcicki, miało miejsce łamanie przepisów o czasie pracy przez prywatny przemysł, z pewnością jednak nie na taką skalę i nie tak bezkarnie jak w upaństwowionych po wojnie zakładach pracy.

Dopiero w 1956 r. prasa uderzyła na alarm, ujawniając olbrzymie ilości nielegalnych i niepłatnych godzin nadliczbowych i stwierdzając, że „w takich wypadkach administracja (zakładów pracy) w sposób niecny i tchórzliwy dopuszcza się pogwałcenia prawa" (4). O rozmiarach wyzysku pracowników, wynikających z niepłacenia należnych im stawek — w znacznej mierze właśnie za pracę w godzinach nadliczbowych — świadczyć może zapomniana już dziś, a wydana w pierwszym rewolucyjnym zrywie ustawa z listopada 1956 r. o uregulowaniu zaległych roszczeń pracowników. Już wkrótce po jej ukazaniu się zgłoszone roszczenia osiągnęły wysoką sumę 9 miliardów złotych, co doprowadziło w marcu 1957 r. do wydania drugiej ustawy o umorzeniu zaległych roszczeń — udowodnienie ich zresztą w ówczesnych warunkach nie zawsze było łatwe.

Bezkarne łamanie przepisów o czasie pracy jest jednak nadal w Polsce zjawiskiem bardzo rozpowszechnionym. Kontrolę nad ich wykonaniem przez zakłady pracy sprawują formalnie związki zawodowe, których zarządy okręgowe są upoważnione do wydawania — w ramach ograniczonych ustawą (5) — zezwoleń na zatrudnianie robotników ponad 8 godzin. Jak jednak stwierdza prasa krajowa, związki zawodowe odnoszą się dość swoiście do swoich obowiązków w tym zakresie: mecha-

(4) „Trybuna Ludu" z 21 kwietnia 1956 r.

(5) Ustawa o czasie pracy przewiduję możność przedłużania dnia roboczego w wypadkach „spowodowanych szczególnymi i udowodnionymi potrzebami zakładu pracy". Ogranicza jednak zatrudnianie pracownika w godzinach nadliczbowych do najwyżej 4 godzin dziennie i 120 rocznie i wymaga otrzymania uprzednio zezwolenia. Przed wojną zezwoleń udzielali okręgowi inspektorzy pracy.

icznie akceptują wszelką ilość godzin nadliczbowych, zgłoszo-
ych przez zakłady pracy — o ile te zadają sobie w ogóle trud
obienia takich zgłoszeń — i ani nie sprawdzają czy istnieją
zasadnione przyczyny pracy ponad 8 godzin, ani czy żądana
lość mieści się w granicach ustawy. Nie przeprowadzają też
następnie kontroli, czy zezwolenie nie zostało przekroczone.
Zresztą gdyby nawet zarząd okręgowy związku stwierdził, że
kierownictwo przedsiębiorstwa łamie przepisy o czasie pracy,
est on bezsilny, nie ma bowiem prawa nałożenia kary. Może
edynie wystąpić do rady narodowej z wnioskiem o ukaranie
dyrektora, ale rady narodowe uchylają się z reguły od obo-
wiązku rozpatrywania wniosków związków zawodowych w tych
sprawach.

Ciekawą ilustrację wykonania przepisów o czasie pracy
stanowi artykuł w prasie krajowej z września br. (6). Podaje
on nie tylko fakty zatrudniania pracowników po 12, 16, 17 i 19
godzin na dobę bez płacenia im za godziny nadliczbowe, ale i
przytacza zarządzenia władz, które — wbrew podstawowym
zasadom praworządności — są sprzeczne z przepisami prawa
pracy. Tak więc minister żeglugi zmienia w okólniku zasady
ustawy i podnosi ilość godzin nadliczbowych dopuszczalnych dla
jednego pracownika ze 120 do 170 rocznie; a prezes Narodo-
wego Banku Polskiego w piśmie do oddziałów ustala, że nie
związki zawodowe, ale jednostki nadrzędne nad przedsiębior-
stwami regulują ilość godzin nadliczbowych (7).

Warto tu przypomnieć, że w marcu 1953 r. ukazało się
niezmiernie charakterystyczne orzeczenie Sądu Najwyższego.
Ustaliło ono, że ponieważ w zmienionym ustroju społeczno-
gospodarczym nie ma antagonistycznych sprzeczności między
interesami pracownika państwowego a interesami państwa,
obowiązujące nadal przepisy ustaw międzywojennych, sformu-
łowane jako bezwzględnie obowiązujące — *z reguły* — nie mu-
szą mieć w nowym ustroju takiego charakteru. Prof. Święcicki
w jednym ze swoich dawnych artykułów (8) orzeczenie to na-
piętnował określając je jako „klasyczny wyraz tendencji i fra-
zeologii minionego okresu. Usankcjonowało ono najbardziej nie-
bezpieczną formę łamania praworządności — wydawanie norm
niższego rzędu sprzecznych z ustawą". Niestety, jak się okazuje,
tendencje takie charakteryzują nie tylko okres „miniony".

I jeszcze kilka przykładów zmian, wprowadzonych w pra-
wie pracy po wojnie. Zlikwidowano instytucję sądów pracy,

(6) Z. Toczek: *Godziny kradzione życiu*, „Głos Pracy" z 9 września
1961 r.

(7) Pismo to — jak podaje Z. Toczek — miało rozwiać wątpliwości
oddziałów banku, które, zgodnie z przepisami „wzdrygały się przed wypła-
caniem zakładom pracy pieniędzy za godziny nadliczbowe, jeśli nie dos-
tarczono im zaświadczenia, że właściwy zarząd okręgowy zaakceptował ich
ilość".

(8) M. Święcicki: *Z problematyki prawnej wynagrodzenia za pracę*,
„Przegląd Zagadnień Socjalnych", nr 8-9/1957.

których korzyści dla pracowników prof. Święcicki opisuje szczegółowo w swej książce, rozbito tak chwaloną przez autora strukturę organizacyjną ubezpieczeń społecznych i ustrój sądów ubezpieczeniowych — przedwojenne ich zasady przywrócono dopiero w 1960 r., przekreślono zakaz zatrudniania kobiet w nocy, a przez wiele lat pracowały one i pod ziemią w kopalniach węgla itd., itd. Naturalnie były i zmiany korzystne: zwiększono uprawnienia urlopowe robotników i szeroko rozwinięto zapoczątkowaną zaledwie przed wojną akcję wczasów pracowniczych, rozszerzono zakres ubezpieczeń społecznych, obejmując i robotników rolnych i wprowadzając nowe ubezpieczenie rodzinne, rozszerzono również ochronę macierzyństwa pracownicy itd., itd.

Najbardziej jednak charakterystyczną zmianę przeprowadzono w organizacji i roli związków zawodowych. Dekret z 1919 r., który stanowił istotną podstawę swobodnej organizacji ruchu związkowego, został zastąpiony w 1949 r. przez nową ustawę. Ustawa ta, głosząc, że gwarantuje robotnikom i pracownikom umysłowym prawo dobrowolnego zrzeszania się w związki zawodowe i że znosi wszelkie ograniczenia w tym względzie, jakie pozostały po rządach kapitalistycznych, narzuciła jednocześnie ruchowi związkowemu jednolitą organizację i ustaliła z góry strukturę jego władz centralnych. Wkrótce po przeprowadzeniu w ten sposób scalenia związków zawodowych, przestały one mieć jakikolwiek głos w ustalaniu warunków pracy. Chociaż formalnie obowiązywały nadal przedwojenne przepisy o układach zbiorowych pracy, zastąpiono je, począwszy od 1950 r., zarządzeniami administracyjnymi, które regulowały odtąd wyłącznie stosunki pracy. A i dziś, choć związki zawodowe powróciły do formy układów zbiorowych, stawki płac są w nich ustalane nie w drodze dobrowolnej umowy dwóch równych sobie układających się stron, ale zgodnie z zarządzeniami i rozporządzeniami Rady Ministrów.

Jeśli prof. Święcicki pisze, że począwszy od 1926 r. „w sferze ustawodawstwa punktem docelowym było niewątpliwie wydanie gdzieś w przyszłości zespołu aktów normatywnych, powołujących do życia „nowy" totalitarny ustrój pracy", to właśnie dziś możemy obserwować realizację charakterystycznych cech takiego ustroju. Ruch związkowy został zcalony, opanowany i zetatyzowany, narzucono mu szereg funkcji administracyjnych, należących normalnie do organów państwowych, zamiast obrony interesów pracowników, ma on zajmować się „sprawami służącymi dobru ogólnemu"; strajki zostały zakazane, a sprawy pracy wraz z poziomem zarobków regulowane są przez państwo.

To też niepodobna nie przyznać całkowicie racji słowom, jakimi prof. Święcicki kończy swą książkę: „jak wielkie niebezpieczeństwo dla klasy robotniczej kryje się w upadku demokratycznych form rządzenia".

Janina MIEDZIŃSKA

Rosja w Europie

Książka Aleksandra Rogalskiego: ,,Rosja — Europa, wzajemne związki, wpływy i zależności kulturalno-literackie''*) składa się z dwóch partii o zupełnie odmiennym charakterze. Jedna, określona jako część wstępna i zatytułowana ,,Polska-Rosja'', ma charakter postulatywny, zgłasza żądania. Pozostałe trzy części, stanowiące właściwy trzon książki (,,Rosja-Niemcy'', ,,Rosja-Francja'' i ,,Rosja-Anglia'') mają charakter przeglądowy, relacyjny i informacyjny. Ta uderzająca odmienność ujęcia nakazuje odmienne traktowanie obydwu partii dzieła.

Można się domyślać, że Rogalski — eseista o imponująco rozległym kręgu zainteresowań i imponująco wielkim dorobku — podjął tę pracę jako zadanie społeczne. Obcowanie z literaturą francuską i niemiecką uświadomiło mu ich rozliczne i złożone związki z rosyjskim światem duchowym. W sposób naturalny narzuciło się porównanie z sytuacją własną, polską. Wszystko razem doprowadziło do przekonania, że jest to ,,problem o zasadniczym znaczeniu i najszerszym zasięgu''. Z tego wyrósł ambitny plan czterodzielnego opracowania, oświetlającego wszystkie strony problemu. Wydana teraz książka jest pierwszym członem wielkiej panoramy.

Nie czekając na urzeczywistnienie całości, szczególniej trzeciego tomu, który miałby zobrazować rozwój stosunków kulturalno-literackich między Polską a Rosją, Rogalski opatrzył już obecnie ogłoszoną pracę wstępem dotyczącym tej sprawy. Wyprzedziła go w tym znakomita książka Wacława Lednickiego ,,Russia, Poland and the West'' (1953). Ale przeciwnie niż Lednicki, Rogalski występuje tu mniej jako badacz, a więcej jako publicysta. Stwierdza braki, formułuje postulaty. Wstępna partia ,,Rosji-Europy'' jest to jeden krzyk ubolewania nad ,,ubóstwem naszej naukowej rusycystyki literackiej'', nad ,,niedorozwojem zainteresowań wykształconego ogółu polskiego zdobyczami i właściwościami kultury rosyjskiej''. Gorliwość popycha Rogalskiego w przesadę n.p. wtedy, gdy twierdzi, że w literaturze o stosunku Mickiewicza do Rosji panuje sztampa i banał. Wystarczy przytoczyć odkrywcze prace Lednickiego o związkach łączących Mickiewicza i Puszkina, podstawową rozprawę Stanisława Pigonia ,,Dramat dziejowy polsko-rosyjski w ujęciu Mickiewicza'' (przedrukowaną w zbiorze ,,Zawsze o Nim'') i

*) Aleksander Rogalski: *Rosja — Europa, wzajemne związki, wpływy i zależności kulturalno-literackie*. Warszawa 1960. Stron 460.

źródłowy szkic Wiktora Weintrauba: ,,Mickiewicz-Bakunin" (ogłoszony w ,,Kulturze" w r. 1949 nr 8/25) — aby stwierdzić, że przynajmniej na tym odcinku sytuacja nie jest aż tak niepomyślna, jak się Rogalskiemu przedstawia.

Jest on świadom, że u dna takiego a nie innego odnoszenia się do kultury rosyjskiej tkwią u nas doświadczenia natury uczuciowej. Ważą one nie od dziś i to po obu stronach. Sam Rogalski zestawia przykłady takich uprzedzeń i idiosynkrazji. Reprezentują je po stronie polskiej: Joseph Conrad (bo, rzecz jasna, jego ustosunkowanie się do Rosji jest uwarunkowane polskim pochodzeniem a nie przynależnością do literatury angielskiej) i Marian Zdziechowski; po przeciwnej stronie: kniaź Wiaziemski i zwłaszcza Dostojewski, którego antypolskość miała charakter patologicznej obsesji.

Ale sytuacja, przeciw której Rogalski tak gorąco powstaje, ma również bliższe przyczyny, leżące w zasięgu ręki, w zasięgu doświadczenia bezpośredniego. Między kulturą polską i rosyjską, między rosyjską i polską świadomością kulturalną legły w ostatnim ćwierćwieczu sprawy, o których się nie mówi, ale o których się myśli, które się czuje: układ Ribbentrop-Mołotow, napaść we wrześniu 1939 r., masowe zsyłki, łagry, Katyń i — *last but not least* — władanie sowieckie w Polsce, determinujące jej ustrój i jej styl życia. Zbyt dobrze znam piękną twórczość Rogalskiego, by podejrzewać jego intelektualną dobrą wolę i jego szczerość. Domyślam się, że przemilczenia są wynikiem cenzury zewnętrznej nie wewnętrznej. Ale jeśli Rogalski nie mógł powiedzieć tego wszystkiego co należało powiedzieć, powinien był sobie oszczędzić pisania części wstępnej. Jego książka byłaby na tym zyskała, a nie straciła. Zyskałaby na tym nawet jego osobista dążność do przezwyciężania emocji, zwłaszcza emocji negatywnych. Jest pewna miara racji w poglądzie Rogalskiego, że ,,naród powinien być panem także swojej historii", ale droga do tego prowadzi przez akty świadomości, a nie przez tłumienie, spychanie uczuć w podświadomość, przez wydobycie ich na jaw a nie przemilczanie.

Cała reszta książki, poza wstępem, prawie siedem ósmych całości, jest dokonaniem rzetelnym, pierwszym tego rodzaju u nas i trwałym. Staje obok ,,Historii literatury rosyjskiej" Aleksandra Brücknera, którą Rogalski określa jako ,,największe wydarzenie w rusycystyce polskiej ostatnich stu lat" i stawia sobie za wzór. Jego ,,Rosja-Europa", jak ,,Historia" Brücknerowska, jest książką kompilacyjną. Rogalski przyznaje się do tego i usprawiedliwia się przed czytelnikiem. Właściwie bez powodu. Książki o takim zasięgu nieuchronnie muszą się opierać na badaniach cząstkowych, wynikach gromadzonych w ciągu długiego czasu. Praktycznie trudno sobie wyobrazić kogoś kto by sam zgruntował wszystkie związki łączące literatury jednego kontynentu. A książka Rogalskiego oświetla wzajemne związki między

eraturą rosyjską a trzema czołowymi literaturami zachodnio-
ıropejskimi: niemiecką, francuską i angielską.

Czyni to w sposób budzący zaufanie. Bibliografia zestawio-
ı na końcu liczy 12 stron, około 300 pozycji w kilku językach,
-zypisy odsyłają szczegółowo do każdej pozycji, nieraz wzbo-
acają tekst główny. (Przy sposobności należy napiętnować
arbarzyńską praktykę, która ostatnio ustaliła się w wydawni-
wach krajowych, nawet o tak poważnym charakterze jak książ-
a Rogalskiego: nie cytuje się w nich nazwisk pisarzy emigra-
yjnych, a jeśli się cytuje, to bez imion, co np. w moim przy-
adku — mam kilku imienników czynnych w kraju — może
rowadzić do nieporozumień; a jeśli wykrztusi się imię lub ini-
jał, nie podaje się danych bibliograficznych dotyczących cyto-
anej pracy. Wskutek tego autor zawisa w próżni a jego praca
tyka w jakiejś ziemi niczyjej. W ,,Rosji-Europie'' Rogalski
rzytacza doskonałe studium J.P. Dąbrowskiego: ,,Conrad a
wielka trójka'' literatury rosyjskiej'', ogłoszone w książce
biorowej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie ,,Conrad
ywy'', Londyn 1957, lecz ani w przypisach ani w bibliografii
ie ma wzmianki o tym wydawnictwie. I w przypisach i w biblio-
rafii figuruje natomiast wspomniana książka Lednickiego, wyda-
a w Nowym Jorku tyle że nie po polsku ale po angielsku. Gdzie
u logika, panie cenzorze? I że się panu chce bawić w tę meski-
ıeryjną zabawę? I że panu nie wstyd?).

Rogalski panuje nad tym olbrzymim materiałem. Nie po-
ada w pedanterię. Ma wyćwiczony dar odróżniania rzeczy istot-
ıie ważnych od mniej ważnych: stronice przeciążone wyliczeniami
ibliograficznymi, nazwiskami i tytułami należą do rzadkości.
Książka odznacza się przejrzystym rozplanowaniem i ujmującą
larownością stylu. Zaleca się walorami czytelniczymi. Czyta
ię ją nie tylko z wielkim pożytkiem, ale z niemniejszym zain-
eresowaniem, bez oporów i mozołu.

Praca Rogalskiego jest przeznaczona dla szerokich kół czy-
elników, ale i specjalista znajdzie w niej zapewne niejedną
zecz instruktywną, nie jeden raz posłuży się nią jako przewod-
ikiem i pomocą. Każde nowe uporządkowanie materiału wydo-
ywa z niego nowe światło. Są w nim zresztą rzeczy nawet
ıateriałowo nowe. Jeśli mi wolno sądzić np. oświetlenie stosunku
Dostojewskiego do Woltera — jak niespodziane i uderzające!
— jest własną zdobyczą Rogalskiego.

Dla niespecjalisty jego praca jest niezmiernie pouczająca,
od pewnymi względami rewelacyjna. Potwierdza pogląd, że
Rosja jako ,,kategoria kulturalna'', w szczególności jako kate-
oria literacka przynależy do Europy. Można w świetle tej
siążki powiedzieć, że bez Europy nie byłoby literatury rosyj-
kiej, nie byłoby zwłaszcza dwóch jej zjawisk: ,,złotego wieku
oezji'' z Puszkinem, Lermontowem, Tiutczewem, jak i ,,wiel-
iej trójki'' powieściopisarzy: Turgieniewa, Tołstoja, Dostojew-
kiego. Rosjanie uczyli się pisać na literaturach zachodnich.

Puszkin wychował się w kulturze francuskiej i jego epoką macierzystą był francuski wiek XVIII. Jako człowiek dojrzały poznał język angielski, czytał Byrona, Szekspira i Water Scotta, inspirował się nimi w swojej twórczości. Ciekawe, że wątki swoich bajek i baśni rosyjskich zaczerpnął ze źródeł obcych, głównie francuskich. Lermontow jako chłopiec pisał po niemiecku. Tiutczew ponad dwa dziesiątki lat swego życia spędził na Zachodzie. Ubiegło tam prawie całe twórcze życie Turgieniewa. Wbrew obiegowym wyobrażeniom, które każą go widzieć w towarzystwie Flauberta i braci Goncourtów, równie silne, jeśli nie silniejsze więzy łączyły go z Niemcami i ich kulturą; kiedyś w uniesieniu krzyknął do Dostojewskiego, że ,,czuje się Niemcem''... Tołstoj nazywał Schopenhauera ,,najgenialszym ze wszystkich ludzi''. Dostojewski przed własną pierwszą książką przełożył ,,Eugenie Grandet'' Balzaca, wśród wyznaczonych sobie głównych zadań życia umieścił nakaz: ,,Napisać rosyjskiego Kandyda''.

To co literatura rosyjska wzięła od Europy, szeroką miarą jej oddała. Wszystkie kraje zachodnie doznały olśnienia wobec jej wielkich twórców i utworów. Najpóźniej, bo dopiero tuż przed pierwszą wojną światową uległa ,,febrze rosyjskiej'' Anglia. I miała ona na wyspach angielskich najsłabszy przebieg (Kryłow był tu popularniejszy od Puszkina, który nie wywarł żadnego wpływu na literatury anglosaskie). Ale w Niemczech i we Francji można mówić o wielokrotnej i powrotnej epidemii. Rogalski świetnie się w tym orientuje i doskonale w to wprowadza, bo jest najbardziej spoufalony z literaturami obu krajów.

We Francji przełom spowodowała książka Melchiora de Vogüé ,,Le roman russe'' (1886), będąca sama niezwykłym świadectwem inteligencji i artyzmu, nazwana ,,bezkrwawym odwetem'' Rosji za najazd napoleoński. Drugim szczytem odbioru literatury rosyjskiej była książka André Gide'a o Dostojewskim (1923). Obie te słynne prace Rogalski zna z pierwszej ręki, wnikliwie analizuje, otwiera za nimi rozległe perspektywy. Słusznie z ducha Dostojewskiego wywodzi twórczość Duhamela, Bernanosa, Mauriaca i Malraux. Słabiej wypadł rozdział o ,,tołstoizmie'' we Francji i np. o stosunku Péguy do Tołstoja dałoby się powiedzieć wiele więcej istotnych rzeczy.

Równie frapująca jak część francuska książki Rogalskiego jest odpowiednia partia dotycząca literatury niemieckiej. Oddziaływanie Dostojewskiego na Niemcy zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej było zjawiskiem bez precedensu w historii długich i ścisłych stosunków literackich niemiecko-rosyjskich; niektóre utwory autora ,,Biesów'' ukazały się wpierw w przekładzie niemieckim, co stanowi przypadek chyba jedyny w swoim rodzaju. Rogalski ustawia trafną analogię dla tego procesu w odbiorze Szekspira przez wczesny romantyzm niemiecki, przez dobę ,,burzy i naporu''.

Oddziaływanie geniusza rosyjskiego na literaturę niemiecką

czytuje w dwóch osobowościach twórczych: Rilkego i Thoasa Manna.

Mann określał literaturę rosyjską jako „świętą", swój wiązek z nią uważał za „sprawę życiowej doniosłości"; jego „Czarodziejska góra" urodziła się pod gwiazdą Tołstoja, drugie ielkie dzieło życia „Doctor Faustus" pod znakiem Dostojewkiego. „Idąc śladami pisarzy rosyjskich Mann rozszerzył tak ardzo pojęcie zawodu pisarskiego jak to w ogóle było możliwe jego warunkach: zuniwersalizował je maksymalnie".

Rilke — trzeci obok Goethego i Heinego liryk niemiecki europejskim i światowym rezonansie — do końca twórczości ozostawał pod urokiem Rosji, jej krajobrazu, ludu i obyczaju. „Jest to z pewnością — pisze Rogalski — jedno z najciekawzych zjawisk jakie zna historia literatury światowej".

Rozdziały o Rilkem i Mannie stanowią dwie samodzielne, najbardziej wyczerpujące i sugestywne całości, dwa wierzchołki książki. Liczą się do najlepszych kart jego wielostronnej eseistyki, zebranej w takich zbiorach jak „Literatura i cywilizacja" 1956, „Profile i preteksty" 1958 (obie te książki zawierają zresztą szkice poświęcone tym pisarzom).

Badając dwustronne związki między literaturą rosyjską a literaturami zachodnio-europejskimi, Rogalski nie tai tkwiącej w nich ambiwalencji, dwoistości. Jest ona widoczna zwłaszcza po stronie rosyjskiej. Typowy przykład stanowi Puszkin chwiejący się między dwoma biegunami: atrakcji i awersji, miłości i nienawiści.

Rogalski nie przeocza również takich zawiłości i splątań jak zoologiczny anty-katolicyzm Dostojewskiego i jego zachwyt dla Bismarcka, takich jak nawoływanie Manna — w pewnej na szczęście przejściowej, fazie rozwoju — do duchowego sojuszu niemiecko-rosyjskiego przeciw Zachodowi. Ale nie wydobywa patetycznej dramatyczności, która jest treścią naszego czasu: literatura rosyjska wyszła z Europy, wróciła do niej przyjęta jak objawienie, a teraz uderza w same jej podstawy. Ta dramatyczność o wiele ostrzej, choć na ograniczonym historycznie obszarze występuje w książce Lednickiego „Russia, Poland and the West".

Ten tytuł prowadzi na powrót do punktu wyjścia książki Rogalskiego i punktu wyjścia moich uwag. Pragnąłbym je zakończyć akcentem osobistym, który może ułatwi ustosunkowanie się do całej sprawy. Z rodowodu i urobienia jestem od Rosji niemal równie daleki jak od krajów azjatyckiego Wschodu. Jak każdy lub niemal każdy Polak mego pokolenia nie jestem wolny od osobistych urazów. Ale noszę w pamięci jedno drobne zdarzenie, które chyba raz na zawsze określiło mój stosunek do Rosji. Kiedyś Józef Czapski, malarz i pisarz żyjący na emigracji, autor „Wspomnień starobielskich", człowiek, który otarł się o Katyń a potem jak żaden inny Polak chodził jego śladami — żarliwie stanął w obronie ludu rosyjskiego i jego kultury.

Wróciło to do mnie, gdy doczytałem cenną książkę Rogalskiego. Myślę, że należy odróżniać naród rosyjski od ustroju sowieckiego, należy odróżniać politykę od kultury. Polityka, ustrój przeminą, kultura pozostanie w glorii.

Tymon TERLECKI

Szekspir odczytany na nowo

,,Szkice o Szekspirze''*) Jana Kotta poczęły się nie w pracowni, nie na biurku czy na stole bibliotecznym, ale w teatrze. Książka składa się w jednej trzeciej z recenzji przedstawień szekspirowskich. Wiem skądinąd, że stosunki między Kottem-krytykiem teatralnym a ludźmi teatru nie są najlepsze. Ponieważ nie mogę zadość uczynić zasadzie *audiatur et altera pars,* ponieważ nie widziałem ani jednego z tych widowisk, o których Kott pisze, wstrzymam się od opinii czy jest on dobrym czy złym krytykiem teatralnym. To jest zresztą mało ważne dla oceny ostatniej książki. Dwie trzecie jej zawartości tworzą studia wykraczające poza granice doraźnej krytyki teatralnej, choć nie można mieć wątpliwości, że była ona ich pierwszym bodźcem.

Kott spojrzał na Szekspira świeżymi oczyma, odczytał go na nowo w świetle doświadczeń naszego czasu i w świetle dramaturgii, którą ten czas wydał. Wynik tego zabiegu jest rewelacyjny. Potwierdza pogląd Kotta: ,,Szekspir jest jak świat albo życie. Każda epoka znajduje w nim to czego szuka i co sama chce zobaczyć''. Potwierdza również jego drugą tezę: ,,Szekspir był zawsze żywy, jeśli żywa była dramaturgia, poprzez którą odczytywano jego dramaty. Kiedy Szekspir jest martwy i nudny, martwy jest nie tylko teatr, martwa jest dramaturgia epoki''.

Kroniki dramatyczne, tzw. dramaty królewskie, przede wszystkim ,,Ryszarda II'' i ,,Ryszarda III'', a także ,,Makbeta'', po części ,,Hamleta'' ujmuje Kott w kategoriach walki o władzę, w kategoriach determinizmu historycznego, konieczności dziejowej. Upatruje w nich działanie ,,Wielkiego Mechanizmu'', jak nazywa historię. Ze słynnej inscenizacji ,,Ryszarda

*) Jan Kott: *Szkice o Szekspirze,* Warszawa 1961. Stron 332.

I" przez Leopolda Jessnera przejmuje sugestywną metaforę ielkich schodów. Po tych schodach królewscy bohaterowie zekspira pną się w górę znacząc każdy stopień uzurpacjami, wałtami, zdradami, morderstwami, docierają do szczytu i krawędzi. Gdy jeden z nich runie zepchnięty w przepaść ktoś inny, :n który go zepchnął, zaczyna tę samą drogę po to, żeby ją kończyć tak samo. Kott widzi w tym schemat obowiązujący historii feudalnej. Nie trudno w tym dostrzec również schemat przystający do wszystkich ustrojów totalistycznych, tyrańskich. Sam przez się narzuca się znak równania między Ryszarem III a koestlerowskim „Nr 1" czyli Stalinem.

Widziane od tej strony kroniki przedstawiają się jako dramaty filozoficzne, ukazujące „sprzeczność między porządkiem moralnym i porządkiem działania", między tym jak człowiek powinienby postępować a tym ku czemu pcha go automatyzm ustroju. „Hamlet", „dramat narzuconych sytuacji", ukazuje się jako próba przezwyciężenia tej sprzeczności, przezwyciężenia tego automatyzmu. Jego bohater mszcząc ojca ginie sam i w ten sposób unika zemsty z rąk Fortynbrasa. Powinien on pomścić na Hamlecie śmierć swego ojca, ale obejmuje tron duński bez przelewu krwi. „Fortynbras jest pierwszym władcą, który nie jest ani katem, ani ofiarą". Przerywa się w nim zaklęty kołowrót.

Raz po raz wracają w wywodach Kotta bezpośrednie nawiązania do współczesności. Czytamy np.: „Pierwsze dno. Można je nazwać doświadczeniem oświęcimskim". Albo: „Trzeba tę scenę (w „Ryszardzie III") odczytywać poprzez własne nasze doświadczenia, trzeba znaleźć w niej noc okupacji, noc obozów koncentracyjnych, noc masowych zbrodni".

Niemniej, a może jeszcze bardziej odkrywcze jest spojrzenie na Szekspira poprzez dzisiejszy dramat, jego filozofię i jego poetykę. „Formuły, którymi Makbet próbuje sam siebie określić — stwierdza trafnie Kott — są zadziwiająco podobne do języka egzystencjalistów... (Makbet) wie, że z koszmaru nie ma ucieczki, że jest losem i dolą ludzką albo, mówiąc językiem bardziej współczesnym, sytuacją człowieka. Zrozumiał, że wybór jest absurdalny albo raczej nie ma żadnego wyboru".

Szekspir zobaczony przez pryzmat Brechta, Becketta, Ionesco, Dürrenmatta ukazuje nową twarz, objawia się jako pisarz na wskroś współczesny. W tym względzie szczególnie uderzający jest rozbiór „Króla Leara". Kott odrzuca jego ujęcie romantyczne, jego jeszcze mniej sensowne ujęcie archeologiczne. Pojmuje go jako „dramat o rozkładzie i upadku świata" wysłowiony nie w kategoriach tragedii, ale groteski (w analizie porównawczej tych dwóch pojęć daje najlepszą miarę ostrości i precyzji myślenia). „Król Lear" to nie romantyczna opera, to nie melodramat, ale „filozoficzna błazenada". Prowadzi do tego ujęcia zrównanie arcydzieła Szekspira z utworem Becketta „Fin de partie" (N.b. ciągle myślę, że polski przekład tego tytu-

łu — „Końcówka" — jest nietrafny. Wprawdzie wyjaśniono mi, że jest to *terminus technicus*, oznaczający ostatni etap rozgrywki szachowej, ale tak i tak kojarzy się on również, a może przede wszystkim z końcówką w znaczeniu sufiksu, zakończenia słowa. Wymowniejszy, bardziej jednoznaczny byłby przekład: „Koniec gry", „Koniec partii", nawet „Koniec zabawy"). „W obu „Końcówkach" szekspirowskiej i beckettowskiej — mówi Kott — zawalił się świat współczesny: renesansowy i nasz".

Rewizjonistyczne jest jego spojrzenie na „Troilusa i Kresydę", nad którym nie bez powodu unosił się młody Żeromski. Kott widzi w nim „spór o istnienie porządku moralnego w okrutnym i bezrozumnym świecie", jego bohaterowie wydają mu się „zadziwiająco współcześni". To spojrzenie potwierdził teatr, dwie wspaniałe inscenizacje angielskie, jedna w strojach nowoczesnych, będąca dziełem Tyrona Guthrie, druga pokazana przez Peter Halla i Johna Bartona rok temu w Stratfordzie nad Avonem oraz polska Bohdana Korzeniewskiego, niezależna zarówno od wcieleń angielskich, jak i od interpretacji Kotta.

Ten sam poziom odkrywczości co w analizie „Ryszardów" i „Leara" osiąga Kott w eseju o „Burzy". Odrzuca dwie tradycje ujmowania tego dzieła: jako feerii i alegorii, jako romantycznego pokazu cudowności i symbolicznej, szyfrowanej autobiografii Szekspira. Pisze: „Prawdziwa „Burza" jest groźna i surowa, jest liryczna i groteskowa, jest — jak wszystkie wielkie dzieła Szekspira — namiętnym obrachunkiem z rzeczywistym światem". Miejsce akcji określa jako „wyspę udręczeń", „scenę, na której dzieje się i powtarza historia świata". Kojarzy mu się ono z malarstwem „szalonego Hieronima Boscha, prekursora baroku i nadrealizmu". Sens tej „tragedii straconych złudzeń" ujmuje w takie słowa: „Historia jest szaleństwem, ale muzyka leczy dusze ludzkie z szaleństwa i tylko gorzką mądrość można przeciwstawić historii. Nie da się od niej uciec. Wszyscy przeszli przez burzę i są mądrzejsi...". Swoją metodę przerzucania przęseł między dramaturgiem elżbietańskim, między fantastycznym światem jego dramatów a światem dzisiejszym demonstruje w powiedzeniu o ostatnim monopolu Prospera: „Nie jest to poetycka Apokalipsa romantyków, ale Apokalipsa wybuchów jądrowych i atomowego grzyba".

Kott jest dobrze zorientowany w nowszej literaturze szekspirologicznej, zna ostatnie interpretacje „Hamleta", ale szczęśliwie unika dłubactwa. Jego książka niczym nie przypomina traktatu naukowego, nie ugina się pod cytatami i przypiskami. Przeciwnie wibruje osobistą pasją, tętni żywym pulsem, udziela czytelnikowi swojej wibracji i ciepła. Bardzo sprawnie posługuje się Kott zdaniem krótkim, wartkim, ostrym, nieraz jadowitym. Jest to styl o własnym profilu i artystycznym zacięciu. Jest w nim coś z migotania szermierczej szpady, coś z ruchliwości rtęci, coś z trzasku sypiących się iskier.

Teatralny rodowód książki Kotta poświadczają recenzje stanowiące zarodki obszernych esejów. Poświadcza go stała obecność wizji scenicznej. Kott zna teatr elżbietański i nieraz się na niego powołuje, jak na koronnego świadka, zna również teatr współczesny. Tekst szekspirowski silnie odczuwany, podziwiany gorąco za ,,gęstość'', ,,dosłowność'', ,,brak pustych miejsc'', funkcjonalność (,,Szekspir zawsze się śpieszy, od razu gwałtownie rysuje konflikt i sytuacje'') — nie jest celem sam w sobie. Kott go nie tylko czyta, ale i widzi. Widzi na scenie.

Prospera charakteryzuje na Leonarda da Vinci. ,,Stawia'' — mówiąc żargonem reżyserskim — inną postać tego utworu: ,,Ilekroć myślę o Arielu, zawsze go sobie wyobrażam jako szczupłego chłopca o bardzo smutnej twarzy... Ariel porusza się szybciej od myśli. Niech zjawia się na scenie i schodzi z niej niepostrzeżenie. Ale nie wolno mu ani tańczyć, ani biegać''. Widzi plastycznie również Kalibana (,,jest człowiekiem nie potworem''). Obie te wizje wynikają z odrzucenia utartej, już przysłowiowej antytezy: Ariel — Kaliban jako ,,filozoficznie płaskiej i teatralnie pustej'', co stanowi jedną z największych zdobyczy studium o ,,Burzy''.

Takie przykłady scenicznego widzenia można by mnożyć. W bardzo wnikliwym, jednocześnie entuzjastycznym i krytycznym, rozbiorze książki Wyspiańskiego o ,,Hamlecie'' Kott przekonywająco dowodzi, że zawarty w niej scenariusz końcowego pojedynku ,,jest klasyczną kartą polskiej szekspirologii i wzorem nowoczesnej myśli reżyserskiej''. Ku wstydowi polskich ludzi teatru stwierdza, że ,,nikt nie podjął próby choćby częściowego sprawdzenia inscenizacji Wyspiańskiego w żywym teatrze''*).

,,Szkice o Szekspirze'' nie obejmują całego Szekspira. Ich autor jest wyraźnie mniej zainteresowany komediami. Pisze o nich tylko jako recenzent, poza tym wspomina je incydentalnie. Do głębi urzekają go tragedie, ciemna strona szekspirowskiego księżyca. Udało mu się wymownie pokazać, że właśnie tą stroną Szekspir patrzy w naszą epokę, przejmująco ją wyraża.

Odsłonięcie tej aktualności mistrza ze Stratfordu, uderzające inteligencją, odkrywczą wrażliwością, świetną formą pisarską czyni z książki Kotta dokonanie o poziomie europejskim.

Tymon TERLECKI

---

*) *Przypisek dodany w korekcie.* Taka próba się odbyła. Odnotował ją Leon Płoszewski w posłowiu do t. XIII ,,Dzieł zebranych'' Wyspiańskiego (Kraków 1961), s. 251. ,,W roku 1960 — czytamy — wystawił ,,Hamleta'' Teatr ,,Wybrzeże'' (premiera 14 sierpnia w gmachu Teatru Wielkiego w Gdańsku). Andrzej Wajda, inscenizator, reżyser i scenograf sztuki, korzystał z koncepcji Wyspiańskiego w ujęciu postaci Hamleta (grał go Edmund Fetting), w reżyserii sceny pojedynku i w scenografii; skomponował ramy dekoracyjne, częściowo zgodne z ,,przekrojem zamku Hamletów''.

Nadesłane nowości wydawnicze

GINALSKA (Maria). *Polskie Boże Narodzenie,* Wyd. I. Str. 316. 6 plansz wielobarwnych, 100 fotografii czarno-białych, nuty 10 najpiękniejszych kolęd polskich, rysunki pomocnicze do wyrobu ozdób choinkowych. Trójbarwną obwolutę oraz 10 rysunków czarno-białych wykonał art-grafik Tadeusz Terlecki. Na wydawnictwo składają się następujące rozdziały: Antologia poezji świątecznej. — Geneza świąt Bożego Narodzenia. — Opłatki. — Kolędy, kantyczki, pastorałki. — Jasełka, szopki, herody. — Pająki, korony, gwiazdy. — Historia choinki. — Zdobnictwo choinkowe. — Obrzędowe potrawy świąteczne. — Bibliografia. — Wykaz ilustracji. — Spis treści. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1961, cena 52/6 lub dol. 8,-).

Jean Colin d'Amiens (1927-1959). Textes de Jean Colin avec nombreuses reproductions de ses deseins et de ses toiles dont 14 en couleur. Préface de Jacques Desbrière et de Joseph Czapski. (Ed. Librairie de Marignan, Paris, 1961, prix 150 NF.).

SUŁKOWSKI (Tadeusz). *Dom złoty.* Poezje. Str. 84. (Skład i druk Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).

LEŚMIAN (Bolesław). *Wiersze rosyjskie.* Przełożył Marian Pankowski. Str. 20. (Skład i druk Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).

Zeszyty do Historii Narodowych Sił Zbrojnych. Zeszyt I. Str. 74. Powielacz, (Chicago, 1961).

JANTA (Aleksander). *Losy i ludzie.* Spotkania — przygody — studia. 1931-1960). Str. 426, z ilustracjami. (Wyd. ,,Wiadomości'' w Londynie, Polski Instytut Naukowy w Ameryce. Okładka Feliksa Topolskiego. Odbito w Oficynie Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).

SUŁKOWSKI (Tadeusz). *Tarcza.* Poezje. Okładka i rysunki Feliksa Topolskiego. Str. 24. (Odbito w Oficynie Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).

JIMENEZ (Juan Ramón). *Srebroń i ja. Przełożył* Florian Śmieja. Okładka i rysunki Zygmunta Turkiewicza. Str. 68. (Skład i druk Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).

CZAYKOWSKI (Bogdan). *Sura.* Poezje. Str. 16. (Skład i druk Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).

PASTERNAK (Borys). *Stichi i poemy* 1912-1932. Pod redakcją prof. G.P. Struwe i B.A. Filippowa. Str. 495. (Wyd. The University of Michigan Press, Ann Arbor, 1961, cena dol. 8,50).

PASTERNAK (Borys). *Proza* 1915-1958. *Powiesti, rasskazy, awtobiograficzeskije proizwiedienia.* Pod redakcją prof. G.P. Struwe i B.A. Filippowa. Str. 362. (Wyd. The University of Michigan Press, Ann Arbor, 1961, cena dol. 8,50).

PASTERNAK (Borys). *Stichi* 1936-1959. *Stichi dla dietej. Stichi* 1912-1957, *nie sobrannyje w knigi awtora. Statii i wystuplenja.* Pod redakcją prof. G.P. Struwe i B.A. Filippowa. Str. 297. (Wyd. The University of Michigan Press, Ann Arbor, 1961, cena dol. 8,50).

[S]HEVCENKO (Taras). *Song out of Darkness.* Poems translated by Vera Rich. Str. 128. (Ed. Mitre Press, London, November 1961, 16/-).

[D]MITRIK (Kosimo). *Hantise d'un Zaporogue. Poèmes.* Pp. 52. (Editions de la Revue Moderne, Paris, 1960).

[M]IŁOSZ (Czesław). *West und Oestliches Gelände.* Przekład z polskiego oryginału („Rodzinna Europa") Maryli Reifenberg. Str. 340. (Ed. Kiepenheuer & Witsch, Koeln-Berlin, 1961).

[K]UNCEWICZOWA (Maria) *Gaj oliwny.* Str. 254. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Pax", Warszawa, 1961.

MALAK (Henryk, ks.). *Klechy w obozach śmierci.* Wyd. II przejrzane i poprawione: T. I. Str. 319 (czerwiec 1961 — T. LII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej"). T. II. Str. 320-370, (sierpień 1961, T. LIII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej"). (Nakładem Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn. Cena za całość 42/-).

ANTONOWYCZ (S.). *Korotkij istoricznyj narys Poczaiwśkoj Uspinśkoj Ławry.* Str. 72. (Wyd. Peremoha 1961, Argentyna).

ŁAHODYNSKA (Halia). *Do Soncia — do woli. Mandrywka junosti.* Str. 254. (Wyd. Mykoła Denysiuk, Chicago, 1960, cena dol. 3,-).

PARFANOWYCZ (S.). *Wirnyj pryjatiel.* Str. 207. (Wyd. Mykoła Denysiuk, Chicago 1961, cena dol. 2,50).

MAZURKIEWICZ (Kazimierz J.) — TUREK (Wiktor). *Alfons J. Staniewski* (1879-1941). Przyczynek do historii prasy polskiej w Kanadzie. Pod redakcją Franciszka Głogowskiego. Str. 62. (Ed. Polish Alliance Press, Ltd., Toronto, 1961).

WEINTRAUB (Wiktor). *Wyznaczniki stylu realistycznego.* Str. 399-413. (Nadbitka z „Pamiętnika Literackiego", 1961, Z. 2.

POPIEL (Gerald). *Pachanga si! — Two Months in Castro's Cuba.* Str. 139-158. (Odbitka z „The Dalhousie Review, Vol. 41, nr 2).

POPIEL (Gerald). *Survival of the Fittest Behind the Iron Curtain.* Str. 103-112. Odbitka z „Il Politico", University of Pavia, vol. XXVI, nr. 1, 1961.

LANGROD (Jerzy Stefan). *Studium prawa dla oficerów polskich przy „Université Française de captivité", w obozie jeńców w Edelbachu* (Oflag XVII A) 1940-1945. Str. 3-13. Odbitka z „Nauki Polskiej na obczyźnie", Zeszyt 3, Londyn, 1961).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *The Nature of the Soviet System.* Str. 351-368. (Odbitka z „Slavic Review, Vol XX, nr 3, October, 1961).

KOMUNIKAT

„POLISH UNIVERSITY COLLEGE ASSOCIATION", 5, Princes Gardens, London, S.W.7. ogłasza *konkurs* na stypendium na studia uniwersyteckie na rok 1962/63.

Wysokość sumy stypendialnej £ 300.

Kandydaci pochodzenia polskiego w wieku lat 18-30 mogą otrzymać Regulamin Stypedialny w Sekretariacie P.U.C.A.L., adres jak wyżej.

Termin składania podań do dnia 1.1.1962.

Listy do Redakcji

Londyn, dn. 25.10.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zdziwieniem wyczytałem w nr. 10/168 *Kultury*, we wspomnieniu o amb. Laroche wtrącone — bez żadnego związku z tematem — zdanie następujące: „Nawiasem mówiąc, jeszcze bardziej niebezpieczny jest stan euforii, wmawiany w emigrację polską przez „Dziennik Polski", który chce w nas wmówić, iż w Wielkiej Brytanii posiadamy dzisiaj alianta, omalże gwaranta". Nie mogę sobie przypomnieć choćby jednego artykułu „Dziennika", czy to w ostatnich dwóch latach pod moją redakcją, czy poprzednio, który by głosił tezy, choćby trochę uzasadniające tego rodzaju twierdzenie.

Może p. Wacław Zbyszewski zechciałby podać, na czym swe zarzuty opiera. W przeciwnym razie trzeba będzie to zdanie uznać za próbę wykpienia „Dziennika" w oczach tych czytelników *Kultury*, którzy go nie czytują.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

A. BREGMAN



Chamalières (Puy-de-Dôme), 4.11.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

Dokładnie przed trzema laty „Kultura" ogłosiła artykuł W.A. Zbyszewskiego na temat zagadnień demograficznych. Było w tym artykule, jak Francuzi mówią, *à boire et à manger:* obok uwag istotnych a czasem nawet interesujących, sporo nieporozumień, wynikających z niedostatecznego wykształcenia ekonomicznego. W liście, który wówczas skierowałem do Pana Redaktora („Kultura" nr 134 str. 158), sprostowałem kilka grubszych błędów, ale powstrzymałem się od surowszej krytyki.

Artykuł tego samego autora o gospodarce francuskiej, wydrukowany we wrześniowym numerze „Kultury" jest podobną mieszaniną tez słusznych, a nawet mało znanych (np. niekorzystny wpływ na psychikę francuską zbyt długotrwałej stabilizacji franka w XIX wieku), obok niebezpiecznej ignorancji. Niestety ta ostatnia przejawia się w omówieniu niezmiernie ważnej dziedziny, jaką jest rola planowania gospodarczego w świecie zachodnim.

„Planowanie jest frazesem... Planista musi być dyktatorem... Planowanie bez przymusu jest ćwiczeniem umysłowym... Inflacja uniemożliwia jakiekolwiek planowanie, nie tylko dobre...". Ile zdań — tyle głupstw, tym razem nie drugorzędnych, wybaczalnych, ale zasadniczych i groźnych.

Ustrój czystej gospodarki rynkowej, puszczonej samopas, należy do przeszłości. Nic i nikt go nie wskrzesi, chociażby z tego jedynego powodu, że w takim ustroju głębokie depresje koniunkturalne są prawie że nieuniknione. W drugiej połowie dwudziestego wieku mamy przed sobą tylko dwie możliwości: albo planowanie integralne („impérative") w ramach ustroju totalitarnego (jedno bez drugiego jest nie do zrealizowania); albo planowanie częściowe („indicative") operujące bez przymusu, ale przez różnego rodzaju bodźce, w stylu francuskich planów modernizacyjnych i w ramach ustroju politycznego gwarantującego podstawowe wolności.

Gdyby ocena p. Zbyszewskiego na tym ważnym punkcie była uzasadniona i słuszna, oznaczałoby to, że nie ma innego wyjścia niż system gospodarczo-polityczny sowiecki; tezy Chruszczowa o nieuniknionym pokojowym zwycięstwie komunizmu byłyby nie odparte.

Na szczęście p. Zbyszewski jest tylko skądinąd zdolnym, ale zbyt pewnym siebie dziennikarzem, uparcie piszącym o rzeczach, na których się mało zna.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania.

Dr. M. EPSTEIN

✦

Bronxville, 2.11.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Jerzy Stosius w liście swym drukowanym w *Kulturze* październikowej ubolewa czemu „niefortunne wyrazy o żydokomunie i drożdżach niosących ferment i niepokój" wybrane zostały dla informacji o bezstronnej książce Hertza „Żydzi w kulturze polskiej".

Zgłaszam protest w imieniu drożdży.

Niektóre porównania przyjęły się powszechnie, budzą jednakowe skojarzenia i wyraźnie pozytywny lub wyraźnie negatywny stosunek do określonego przedmiotu. Inne natomiast nie są tak proste i jednoznaczne; można rozumieć je negatywnie wbrew intencji autora.

Drożdże są przeciwieństwem zakalca. Niezbędne do życia zdrowe fermenty powodują i przyspieszają rozwój i wzrost. Niepokój zaś nie koniecznie prowadzi do zwierzęcego strachu lub chorób psychicznych, ale również do twórczej działalności, odkryć postępu, poznawania świata i siebie.

Małe ziarno rozwijające się w wielkie drzewo, miarka kwasu czy drożdży przetwarzająca i dźwigająca w górę ciasto chlebowe — to bynajmniej nie są porównania stosowne do „wyrzutków społeczeństwa żerujących na ludzkich nieszczęściach", a przeciwnie, do ludzi i prądów wnoszących elementy twórcze, swym ożywczym działaniem zapobiegające stagnacji.

Przetwarzanie, zarówno w ścisłym sensie fizyczno-chemicznym, jak i w duchowym, jest istotą wszelkiej ewolucji. Porównanie do drożdży uważać chyba należy za wielce pochlebne, pomimo że ferment i niepokój budzić mogą skojarzenia niefortunne.

Łączę wyrazy poważania, „Cześć drożdżom!".

Ewa GIERATOWA

Londyn, 15.11.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Witold Gombrowicz prowokuje mnie do odpowiedzi zajmując się znowu moją skromną osobą w fragmentach z dziennika ogłoszonych w listopadowym zeszycie ,,Kultury''. W swoim ataku na mnie p. Gombrowicz ucieka się do najbardziej zdyskredytowanych chwytów polemicznych, a mianowicie wyrywania słów z kontekstu, jak również przeinaczania faktów. Istotnie, napisałem list do redakcji czasopisma ,,Kontynenty'', w Londynie z okazji artykułu p. Marii Danilewiczowej o literaturze emigracyjnej aby wytłumaczyć moje stanowisko wobec powieści Mariana Pankowskiego ,,Matuga idzie'' (stanowisko to było przedmiotem cierpkiej uwagi p. Danilewiczowej) jak również aby przypomnieć jej, że pominęła w swoim zestawieniu autorów i książek mój dorobek chociaż miała czas i miejsce na omawianie książek, które jeszcze nie wyszły (tom ,,Ryby na piasku''). Napisałem również szkic dla tychże ,,Kontynentów'', gdzie pozwoliłem sobie poddać m.in. krytyce orzeczenia jury nagrody ,,Wiadomości'' i gdzie wspomniałem o nagrodzie dla książki ambasadora Kajetana Morawskiego. Każdy kto przeczyta ten artykuł zorientuje się bez trudu o co mi chodzi i że czynię tam — i to dwukrotnie — rozróżnienie między ludźmi piszącymi a pisarzami. Podkreślam przy tym, iż jest rzeczą osobliwą, że w ,,akademii'' stworzonej przez ,,Wiadomości'' nie ma takich czołowych pisarzy jak Gombrowicz. Autor ,,Ferdydurke'' podchwytuje w żakowski sposób użycie przeze mnie przeciwstawienia pisania i bycia pisarzem i przeprowadza wywód, który jest żałosny w swoim niewydarzonym dowcipie.

Na nielepszym poziomie stoją maniery p. Gombrowicza, które ujawniają się w takich uroczych zwrotach jak ,,to tak łatwo, Grabowski, trzeba tylko troszkę dobrej woli!''. Najzabawniejsze ale i najsmutniejsze zarazem jest to, że to p. Gombrowicz daje mi rady jak unikać egocentryzmu i egotyzmu. Polecam wszystkim przeczytanie fragmentu dziennika z listopada: jest to jedno celebrowanie siebie, przy protekcjonalnym poklepywaniu Brunona Szulca (,,*Bruno mnie wielbił, a ja jego nie wielbiłem*'') i próbie obniżenia Witkiewicza. Na tym tle sąd, który wypowiedziałem w szkicu o polskiej literaturze emigracyjnej na łamach londyńskiego miesięcznika ,,Contemporary Review'', że Gombrowicz jest *miles gloriosus* literatury polskiej i że największym wrogiem jego talentu jest jego patologiczny egocentryzm, wydaje mi się bardziej niż kiedykolwiek usprawiedliwiony.

Racz Pan przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy szacunku.

Zbigniew GRABOWSKI



Neapol, 10.11.1961 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Przykro mi, że J.E. Patriarcha Wenecji, Giovan Battista Urbani, został przeze mnie mimowoli skrzywdzony w zakończeniu mojego artykułu o Hostowcu. Notatkę o tym że wymógł on na dyrekcji muzeum Correr zmianę tabliczki pod obrazem Carpaccia z *Le cortigiane* na *Le dame veneziane* przeczytałem w tygodniku rzymskim *L'Espresso*. W parę tygodni później

kazał się w tymże tygodniku list dyrektora muzeum Correr, donoszący, że ie ma potrzeby wzywać nadaremno imienia purpurata weneckiego: istnieją k się okazuje, wśród historyków sztuki dwie szkoły, z których jedna doatruje się w płótnie Carpaccia dam, a druga kurtyzan. Prostuję to lojalnie, kkolwiek istotny sens mojej aluzji polegał na tym, że panna Władzia z iennej mogłaby swoją osobą łatwo pogodzić także zwaśnionych ekspertów gdyby łaskawszy los postawił ją był na ich drodze).

W każdym razie ma świętą rację redaktor „Wiadomości" londyńskich, dy powtarza za Tuwimem przy każdej okazji: „Sprawdzać, panowie żurnaści, sprawdzać!". Dotyczy to zarówno kronikarza z *L'Espresso*, jak niżej odpisanego.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



Addis Abeba, 7.11.1961

Łaskawy Panie Redaktorze!

W październikowym numerze „Kultury" (str. 133) Pan W. Zbyszewki tak oto określa śp. Aleksandra Mohla, mego nieodżałowanego kolegę z mbasady R.P. w Algierze i Paryżu: — „był to bawidamek, człowiek bez dania, ...którego zdanie było zawsze błędne, jeżeli nie infantylne".

Na infantylizm nie ma monopolów: powyższe arcydzieło wprowadza utora w szranki konkurencji, w której zwyciężyłby mego zmarłego przyaciela.

Umarli są bezbronni. Tylko to usprawiedliwia mój przytyk, który mi . Zbyszewski — zazwyczaj mistrz pióra — wybaczyć raczy.

Z prawdziwym poważaniem.

Jerzy KRZECZUNOWICZ



Edynburg, dn. 2.11.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W książce mojej „Od podwody do czołga" w zestawieniu obsady personalnej na stronie 138 zostało pominięte nazwisko płk. dypl. Leona Mitkiewicza, który był od czerwca 1942 do lutego 1943 zastępcą dowódcy 1 dyw. panc. — zanim płk. dypl. Kazimierz Glabisz objął to stanowisko.

Za łaskawe umieszczenie powyższego na łamach poczytnego pisma Pana z góry uprzejmie dziękuję i pozostaję

Z wyrazami prawdziwego szacunku.

Stanisław MACZEK, *gen. dyw.*



RI-GO w Douai. — Z zasady nie zamieszczamy listów do Redakcji, niepodpisanych przez autorów. Jeśli autor z ważnych przyczyn nie chce czy nie może listu podpisać — powinien podać swoje nazwisko i adres dla wiadomości Redakcji.

OD REDAKCJI

Redakcja „Wiadomości" stwierdziła ostatnio, że część szkiców przedwojennych, zamieszczonych w wydanych przez nas „Pismach Ostatnich" Andrzeja Stawara, była drukowana w „Wiadomościach Literackich". W zostawionym do druku przez Andrzeja Stawara maszynopisie (w jednym ze szkiców brakowało jednej strony) nie było żadnej wzmianki czy szkice te były w ogóle drukowane i gdzie. Autor nie zostawił nam ponadto żadnych dodatkowych wyjaśnień. Nie wiedząc, że były one drukowane w „Wiadomościach Literackich" nie opatrzyliśmy ich żadnym komentarzem — obecnie podajemy to do wiadomości naszych czytelników.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant : Jerzy Giedroyc.
Dépôt légal : 4e trimestre 1961

LTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Roczna
YKA POLUDNIOWA : **Janusz Kruszynski,** 54, 15th rkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ENTYNA : **Tadeusz Dabrowski,** « Libreria Polaca », 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
TRALIA : **« Vistula » (Australia) PTY Ltd.,**Daking Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
IA : **Janina Korab Brzozowska-Csaky,** 116, rue II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b
ZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** ava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Franciszek Paprocki,** rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Tel. : 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am
NCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w niach polskich w Paryzu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
ANDIA : **T. Szpilczynski,** Ruysdaelkade 5 dam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol
AEL : **« Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc,** Holon, w Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
NADA : **M. Jaxa-Debicka,** 221 Howard Park Av., o 3, Ont. lub c/0 **Polish Voice,** 1089 Queen St. ronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. le G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Ra-i,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9; **M. Krôl,** 328 Boyd Avenue, Winnipeg, Man.; **zkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., LE 1-2491; **Olgierd Kiersnowski,** 36 Bermuda Ave., o 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
KSYK : **Victor Stanislawski,** Av. Libertad 1350, 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MCY : **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablon- 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
RWEGIA : **Br. Lubinski,** Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
VAJCARIA : **Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, e. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw
VECJA : **Red Norbert Zaba,** Kallskärsgatan 3/IV olm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
. A. : **W. Bienkowski,** 738 Hampton Avenue, ctady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** t. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew nski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. zykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **Dziewanowski,** 41, Katherine Rd., Watertown, **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robin- Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford e, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey nta Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 nis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book ing Co, Inc.,** 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y., **janowski,** 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. **as-Babczynski,** 1819 B.W. Commonwealth Ave, bra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
BRYTANIA : **« Gryf »** Publication Ltd., 169-171, sea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
OCHY : **Aleksander J. Mikucki,** via Giulio Bechi, 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 3,50 NF